

Jan Rudzki

Wilkołaki

1

Minęła godzina dziewiąta. Z zachodu nadciągały skłębione chmury. Ociężałe sunęły nad dachami domów i strzelistymi wieżami kościołów, pogłębiały mrok w zaułkach Starego Miasta i wilgotnych wnękach murów obrzeżających koryto Odry. Ruch uliczny w tę chmurną, wietrzną noc był mniejszy niż zwykle. Nawet ulice śródmieścia, mimo że jaśniały światłami lamp i barwnych neonów, robiły wrażenie niezwykle wyludnionych. Tylko przed „Orbisem” na szerokim chodniku przechadzało się kilkanaście osób, szeroką jezdnią przejeżdżały tramwaje lub mknęły pojedyncze taksówki. W milczeniu nocy czasem stukotały koła pociągu, niekiedy rozlegał się przenikliwy gwizd parowozu, lecz na ogół cisza była coraz głębsza.

Przejmujący jęk syreny pogotowia przerwał senny spokój. Sanitarka, głosząc drzemiącemu miastu czyjeś nieszczęście, pędziła z Grabiszyńskiej przez plac 1 Maja, a następnie wzdłuż krętej ulicy Mostowej. Nieliczne samochody spieszenie ustępowały jej z drogi. Zawodzenie syreny zamarło dopiero w sąsiedztwie ulicy Pomorskiej. Dzielnicę znowu zaległa cisza.

W wysokich, ciemnych ścianach budynków bladożółte światło wypełniało zaledwie kilka okien. Opodal, w opustoszałym parku, porywisty wiatr rozwiewał sterty suchych liści.

Pod murem starego, zrujnowanego domu chyłkiem przemknął bury kot. Czymś spłoszony, czmychnął w otwartą bramę. W ciemnej sieni czuć było stęchliznę. Lekko stąpając na miękkich łapach, mały drapieżnik zdązał w kierunku wyjścia na podwórze. Nagle wyczulonym węchem złowił osobliwy zapach. Przystanął, nastroszył wąsy i bystrymi ślepiami wpatrzył się w czerń. Wolno zjeżyła mu się sierść na grzbiecie. We wnęce, z której schody wiodą do piwnic, rozszerzone ślepa dostrzegły ciemny, nieruchomy kształt... Człowiek!

Zwierzę, przestraszone nieoczekiwanym spotkaniem, dało susa i zniknęło za najbliższym węglem.

Czający się mężczyzna ostrożnie podszedł do zakurzonej szyby okienka wychodzącego na podwórze. Mimo ciemności rozpoznał wnęki i niszę w szarej ścianie przeciwległego domu oraz wysoki mur łączący budynki. W jednym z pokoi na pierwszym piętrze, za wypłowiałą, zieloną firanką, jeszcze paliło się światło.

Od ulicy dobiegł odgłos kroków. Ktoś ociężałe stąpając przemierzył sień i wolno zaczął wchodzić po schodach. Wkrótce, prawdopodobnie na drugim piętrze, zatrzymał się.

Wytarł obuwie o matę. Metalicznie zachrobotał klucz w zamku. Po chwili trzasnęły drzwi, klatkę schodową znowu zaległa cisza.

Mężczyzna we wnęce nasłuchiwał dłuższą chwilę, potem cofnął się w cień. Bierne czekanie denerwowało go, niecierpliwie przygryzł wargi. Zdawało mu się, że upłynął długi czas od chwili, gdy stracił swego przeciwnika z oczu, a przecież minęły dopiero dwie, może trzy minuty. Z ulicy wbiegł do tej sieni, nagle tamten przepadł jak przysłowiowy kamień w wodę. Na pewno zaczął się gdzieś w tym mrocznym podwórku...

Na zewnątrz jękliwie zawodził wiatr, ciskał strzępami papierów o mury. Zaczęło padać. W oknie domu po przeciwnej stronie zgasło światło, mrok natychmiast pogłębił się. Niezmiernie wolno minęło kilkanaście sekund.

Coraz gęściej padające krople monotonicznie bębniły o jakiś kawał blachy. Czekający stłumił nerwowe ziewanie.

Ponownie zbliżył się do małego okienka. Ściekające po szybie strużki deszczowej wody wyżyłobyły w kurzu rozgałęzione rynienki, co całkowicie uniemożliwiało widoczność.

W jego myśl wkradło się zwątpienie - może tamten jakimś niezrozumiałym sposobem zdołał ujsć? Było całkiem prawdopodobne, że niespostrzeżenie wśliznął się w ciemny korytarz...

Zaniepokojony cichaczem przysunął się do framugi drzwi.

Pod murem z lewej strony coś się poruszyło. Podniósł trzymany w prawej ręce pistolet. Przez kilka sekund nic się nie działo, potem ledwie widoczny cień zaczął przesuwając się w kierunku bramy.

- Słuchaj! - zawołał ten w sieni stłumionym głosem. - Wiem, gdzie jesteś! Radzę ci...

Nisko zza węgła wytrysnęła smuga ognia. Kula uderzyła w mur, huk rozległ się głośnie echem. Natychmiast po oddaniu strzału mężczyzna w podwórzu zerwał się na równe nogi i pomknął do bramy przeciwległego domu.

Tu i ówdzie ciemne prostokąty okien wypełniły się światłem, za szybami ukazały się zaspane i zaciekawione twarze.

Goniący wybiegł na podwórze i pośpieszył za zbiegiem. Ten wpadł do ciemnej sieni i chwilę wahał się, czy dalej uciekać na górne piętra, czy też na ulicę. Impulsywnie rzucił się ku bramie i wyciągniętą ręką po ciemku szukał klamki. Gwałtownie szarpnięte drzwi z rozmachem trzasnęły o ścianę. Za jego plecami zatupotały szybkie kroki. Padło energiczne: „Stój, bo strzelam!”

Wiedząc, że nie ma nic do stracenia, odwrócił się, podniósł broń i nie mierzając nacisnął spust. Jaskrawy błysk dwóch niemal równocześnie oddanych strzałów przez moment oświetlił

zacięte twarze mężczyzn. Pociski wżarły się w tynk. Mury i sklepienia klatki schodowej spotęgowały huk do ogłuszającego grzmotu.

Uciekinier wymknął się na ulicę. Po prawej stronie, w odległości kilkudziesięciu metrów, dostrzegł odchodzący z ulicy wąski ganek. Pobiegł w tym kierunku.

Deszcz wciąż padał. Jak okiem sięgnąć, nie było żywej duszy. W roztaczającej się pomroce tylko nieliczne lampy rzucały blade kręgi światła na mokrą jezdnię i chodniki.

Skręcając między wysokie ściany budynków, zbieg poczuł się bezpieczniej. Odległy wylot ciasnego przejścia przecinał czerń murów szarą pionową szczeliną - tam leżała możliwość ucieczki!

Nie zwalniając kroku, odwrócił głowę. Jego przeciwnik właśnie okrążył narożnik. Był wyraźnie widoczny, wichur rozwiewał połę płaszcza, co upodabniało ciemną postać do ogromnego nietoperza.

Uciekający wymierzył w ruchliwą sylwetkę i dwukrotnie nacisnął spust. Strzały widocznie chybiły, gdyż tamten przywarł plecami do muru i bokiem zaczął wolno skradać się do przodu.

Nerwowe napięcie i zmęczenie dawały się zbiegowi coraz bardziej we znaki. Otwartymi ustami wchłaniał wilgotne powietrze, pod skroniami pośpiesznie biło tętno. Ucieczkę utrudniał nierówny bruk, pełen wybojów i rozmokłych kałuż. Jakaś trącona nogą pułkarka potoczyła się hałaśliwie pod mur. Kilka metrów dalej potknął się o cegłę i upadł na rękę. Wypuszczony z dłoni pistolet przepadł gdzieś w ciemności. Rozcapierzone palce gorączkowo szukały broni w grząskim błocie.

Nie ma!

Z ciężkim sercem, zaprzestając poszukiwań, ociężale podniósł się i pobiegł dalej. Od głównej ulicy dzieliło go zaledwie parę kroków. Wtem usłyszał gwar podnieconych głosów. Snop światła latarki przebił tysiące drobnych kropel deszczu i poraził go w oczy. Zdając sobie sprawę, że droga jest odcięta, oparł się o mur i próbował opanować głośny, nierówny oddech. Prześladowca chwilowo nie był widoczny.

„Pewnie się przyczaił... Jeszcze nie wie, że zgubiłem pistolet... Boi się zbliżyć.”

Latarka migająca z prawej zgasła. Przez krótki czas trwała pełna napięcia, przykra, niepokojąca cisza. Słyszać było tylko bulgot wody wyciekającej z uszkodzonej rynny na kamienie.

Uciekinierem wstrząsnął dreszcz. Był przemoknięty, strużki deszczu ściekały z włosów za kołnierz, koszula przylegała do ciała, w butach bluzgotała woda. Dygocąc, skulił się.

Nagle na sąsiednim podwórku rozległo się głośnie szczekanie. Jakby na dany znak w jednym z okien na parterze zapalono światło. Blask wypełnił mroczny ganek i oświetlił przyczajone postacie. Zbieg odskoczył od muru i jak podcięty batem rzucił się do dalszej ucieczki. Któryś z mężczyzn stojących u wylotu przejścia zagroził mu drogę. Pies ujadł coraz głośnie. Znowu błysnęła latarka. Krzyżowały się pytania i odpowiedzi.

- Co jest, do cholery?! - Ktoś ucieka!

- Gdzie...?

- Trzymaj go! Trzymaj!

Z czeluści ganku huknął strzał. Uciekający poczuł gwałtowne uderzenie powyżej lewego łokcia i natychmiast przenikliwy ból. Gnany paniką, rzucił się z zaciśniętą pięścią na mężczyznę stojącego na drodze i mocnym ciosem zwałił go z nóg.

- Jezusie!!!

- Hej tam! Zatrzymajcie go!

W przejściu zadudniło szybkie staccato kroków. Przed zbiegiem szeroko rozpostarły się ramiona, z boku wyciągnęły się ku niemu czyjeś ręce. Rozpaczliwym wysiłkiem wyrwał się palcom boleśnie ściskającym przestrelone ramię, przeskoczył wstającego z ziemi człowieka i ukosem popędził przez jezdnię.

Przeraźliwie zapiszczały hamulce nadjeżdżającej taksówki. Równocześnie ktoś ostrzegawczo krzyknął. Zablokowane koła ślizgały się po mokrej nawierzchni. Kierowca zaklął głośno. Lecz biegnący nie zważał na to, co się wokół działo. W zmęczonym mózgu kołatała jedna myśl: uciec za wszelką cenę!

Przez strugi rześistego deszczu dostrzegł drzewa parku. Przesadził chodnik i na omdlewających nogach umykał przez mokre trawniki w kierunku czerniejących opodal domów. Desperacki spurt oddalił go od pościgu, jazgot głosów i nawoływań stał się bardziej odległy. Jednak wyczerpany organizm pracował ostatkiem sił. Krwawiąca rana doskwierała coraz bardziej, prawa ręka zwisała bez-« władnie przy boku, serce biło nadmiernie szybkim rytmem. Na dobitkę oczy zatraciły ostrość widzenia, kontury bliskich już zabudowań zacierały się chwilami.

Po prawej wyrosły żelazne pręty ogrodzenia. Nie zastanawiając się, z trudem przeskoczył na drugą stronę. Uderzył okaleczonym ramieniem o słupek. Niemal sparaliżowany z bólu upadł na trawę i zlepione błotem liście. Zagryzając wargi, przyłgnął do niskiego murku i tam pozostał bez ruchu.

Na ulicy z milknącym jękiem syreny stanął milicyjny „gazik”. Promień reflektora, wolno zataczając łuk, metr po metrze penetrował każdą wnękę i bramę. Ukrywającego się

dobiegły strzępy słów. Podniósł się na zdrowej ręce. Zerkając przez pręty, dostrzegł idące przez park postacie w mundurach. Sytuacja była beznadziejna. Próbował poruszyć lewą ręką. Rwały ból przeniknął go na wskroś, całe ramię wydawało się jęczącą raną. Z trudem stłumił krzyk.

W pewnej chwili ogarnęło go uczucie osobliwego letargu. Kojące ciepło rozeszło się po całym ciele. Miał wrażenie, że odpływa do innego, pogodnego świata, że wszystko, co w ostatnich minutach przeżył - słota, nawoływania, szczekanie psów, stłumione krzyki, skradające się cienie i lęk - było sennym majakiem.

Nagle zrobiło mu się znowu zimno. Wstrząsnął nim dreszcz. Zdając sobie sprawę, że na skutek upływu krwi może stracić przytomność, zmusił się do działania. Ostrożnie podniósł się na kolana i nie zważając na błoto zaczął czołgać się ku bramie domu.

Zaledwie oddalił się kilka metrów, smuga jaskrawego światła z ukosa padła na miejsce, które przed chwilą opuścił. Strwożony rozpląszczył się na ziemi. Kurczowo ściskając palce prawej dłoni, bezwiednie rozgniatł mazistą grudę. Gdy promień popęzł w lewo, niepewnie powstał na nogi i wszedł do budynku. Zataczając się, przemierzył krótką sień i stanął w drzwiach wiodących na podwórze.

Do domu przylegały dobudówki i szopy, w tyle małą przestrzeń ograniczał płot. Droga była odcięta.

Głośna rozmowa, już niemal przy bramie, nagliła do pośpiechu. Nerwowo rozejrzał się po podwórku. Jak przez mgłę dostrzegł, że na parterze jedno z ciemnych okien jest uchylone.

- Nie mógł uciec, bo cały teren jest obstawiony! - stwierdził ktoś z sieni. - Musi być niedaleko.

- Pewnie ukrył się gdzieś na schodach albo stoi za jakąś bramą.

- Chodź, przeszukamy ten dom!

- Dobrze, świeć!

Ranny prawą ręką uchwycił się parapetu okna i natężając siły wspiął się na zrąb muru. Głosy zbliżały się. Nie było chwili do stracenia. Ostrożnie pchnął okno. W mrocznym pokoju głośno tykał zegar, prócz tego panowała cisza. Uczepiony framugi, znowu poczuł napływającą falę niemocy. Ból w ramieniu stawał się trudny do zniesienia. Krzepnąca krew przykleiła rękaw do ciała, słabość i zawroty głowy powodowały bezwład graniczący z omdleniem.

- No i co? - rozległo się pytanie.

- Ni czorta!

- To chodź na dół, zobaczymy, czy go nie ma w podwórzu.

Zbieg, całkowicie wycieńczony i niezdolny do sklecenia rozsądnej myśli, działał impulsywnie pod wpływem najmocniejszego z ludzkich uczuć - strachu. Desperackim wysiłkiem odepchnął się nogami od zrębu...

Jakim sposobem wciągnął się na górę - sam nie potrafiłby powiedzieć. Siedząc okrakiem na parapecie, przylgnął rozpalonym czołem do chłodnej, wilgotnej szyby. Gdy szukający go mężczyźni wchodzili na podwórze, zeskoczył na podłogę i szybko zamknął okno.

Stojąc w ciemnym pomieszczeniu, z niepokojem oczekiwał przebudzenia się domowników. Z zewnątrz wyraźnie dobiegały go odgłosy bieganiny, szum silników, gwizdki, pytania, rozkazy; na podwórzu migwały światła latarek. W korytarzu zbliżały się ciężkie kroki. Zapukano do drzwi i natychmiast naciśnięto klamkę.

- Zamknięte!

- Pukałem już przedtem - odparł drugi. - Zdaje się, że nikogo nie ma.

- No to ten sukinsyn nie mógł tam wejść.

- Chyba nie... Zapalimy?

W pokoju rzeczywiście nic się nie poruszyło. Słaniając się na nogach, ranny po omacku zaczął badać otoczenie. Dotknął ręką okrągłego stołu, przy ścianie namacał półkę z radiem, na którym stał ów tykający budzik. Potem wyciągnięte palce dotknęły krawędzi łóżka nakrytego szorstką kapą. Osunął się na nie, obojętny na wszystko.

Mijały minuty. Coraz głębiej pogrążał się w nicość, miał wrażenie, że już nie jest zmęczony i ranny, tylko jakby powalony i ogłuszony. Powoli opuszczały go uczucia strachu i nienawiści, a w próżni powstałej w jego mózgu pojawiły się oderwane wspomnienia i wizje z dalekiej przeszłości.

Leżąc na łóżku w ciemnym, obcym pokoju, nieczuły na dolegliwości fizyczne, obojętny na grożące mu niebezpieczeństwo - usiłował sobie przypomnieć, gdzie tkwią początki tej niefortunnej afery, której epilog rozgrywał się w tę deszczową, listopadową noc.

2

Jesienią 1944 roku dowódcy armii i dywizji niemieckich otrzymali ze Sztabu Generalnego rozkaz następującej treści:

Ściśle tajne.

Proszę wytypować do misji specjalnej oficerów i żołnierzy władających biegle obcymi językami. Zgłoszenia z załączonym życiorysem i z opinią przełożonych należy kierować do kwatery SS-Sturmbannfuhrera Skorzenego w Friedenthal.

Marszałek Polny Kitel

Był luty roku 1945. Na północ od Berlina, w Friedenthal, otoczona lasem i wrzosowiskami stała zaciszna willa myśliwska. Wokół niej, pod rozłożystymi jodłami, kryły się baraki, magazyny, hangary. Teren otoczono wysokim płotem, który w nocy z zewnątrz oświetlano reflektorami, przy bramach czuwały posterunki, na każdym rogu, na wysokim rusztowaniu, wznosiła się budka strażnicza.

W tym nadzwyczaj bacznie strzeżonym obozie podczas ostatnich miesięcy wojny znalazła się przedziwna zbieranina żołnierzy. W ciemnozielonych barakach mieszkali zasłużeni piloci Luftwaffe, szeregowcy dywizji pancernych, oficerowie marynarki wojennej, esesowcy.

Gdyby ktoś nie wtajemniczony w machinacje przywódców Trzeciej Rzeszy mógł zwiedzić Friedenthal i zobaczyć, co się dzieje w tajemniczym obozie, nie uwierzyłby własnym oczom.

Oto przy fontannie przed willą SS-man w czarnym mundurze rozmawia po polsku z podoficerem Wehrmachtu. Parę metrów dalej kapral z rękami w kieszeniach i papierosem w ustach nonszalancko odpowiada porucznikowi, w chwilę później wzrusza ramionami i nie salutując odchodzi. Przed bramą kapitan Luftwaffe płynną angielszczyzną karcaci feldwebela z dywizji „Hermann Goering”; w małej salce niemieccy żołnierze w skupieniu słuchają recytowanych w języku rosyjskim wierszy Puszkina.

O charakterze obozu i jego przeznaczeniu dostatecznie świadczyło nazwisko jego komendanta. Był nim kawaler Krzyża Rycerskiego z Wieńcem Dębowym, SS-Sturbannfuhrer Otto Skorzeny, który we wrześniu 1943 roku uwolnił Mussoliniego z górskiego schroniska w Gran Sasso, osobnik, którego prokurator amerykańskiego sądu wojennego w Norymberdze nazwał później „najniebezpieczniejszym człowiekiem Europy”.

Pod jego batutą w „Wilczej Jamie” - jak Skorzeny zwał swój obóz - szkolono szpiegów, dywersantów, sabotażystów. Ochotników, werbowanych nie tylko z jednostek wojskowych, lecz także spośród członków partii nazistowskiej i różnych organizacji cywilnych, poddawano starannemu treningowi. Zapoznawano ich ze sposobami prowadzenia wojskowych pojazdów wroga, obchodzenia się z różnymi rodzajami broni. Słuchacze tej dziwnej szkoły musieli w oka mgnieniu rozpoznawać stopnie oficerów alianckich, kręcić papierosy z machorki, rozbierać i składać pepeszę, żuć gumę...

Poszczególne grupy szkolono w używaniu materiałów wybuchowych z zastosowaniem lontów i zapalników o działaniu ze zwłoką, instruowano w metodach

wykolejania pociągów, uszkodzania pojazdów mechanicznych, pokazywano, jak poderżnąć krtań nieprzyjacielskiego wartownika. Słowem Skorzeny wtajemniczał swą zbieraninę awanturników we wszystkie skrytobójcze sposoby niszczenia wroga.

Od czasu do czasu starannie spreparowane jednostki stawały do ostatniego apelu przed willą. Niekiedy byli to „żołnierze radzieccy” z pepeszami na ramieniu i odpowiednimi dokumentami w kieszeni, to znowu „Francuzi” z listami i fotografią „narzeczonej z Marsylii” w portfelu.

W niedzielę 4 marca 1945 roku na małym dziedzińcu przed willą komendanta zebrała się wieczorem pięcioosobowa grupa żołnierzy, ubranych wyjątkowo w mundury niemieckie.

Pięć minut przed godziną osiemną przyłączył się do nich oficer Służby Bezpieczeństwa. Z teczki wyjął pięć gęsto zapisanych formularzy i pobieżnie przejrzał życiorysy obecnych.

„Leutnant Karl Hildebrandt, urodzony w Gdańsku. Członek NSDAP. Ochotnik. Dwuletnia szkoła lotnicza. Udział w walkach powietrznych nad Afryką. Malta. Włochy. Dwukrotnie ranny. Odznaczony Żelaznym Krzyżem...”

- Leutnant Hildebrandt?

- Jawohl! - wysoki, szczupły blondyn stuknął obcasami.

„Unteroffizier Werner Hanneman. Dwadzieścia dwa lata. Student medycyny. Artyleria. Ciężko ranny pod Leningradem. Zgłosił się do służby specjalnej w Friedenthal jeszcze podczas rekonwalescencji w lazarecie.”

- Unteroffizier Hanneman?

- Jawohl! - odparł wątpy, blady mężczyzna. - „SS-Rottenfuhrer Willi Meyer, urodzony w Bytomiu. Hitlerjugend. Arbeitsdienst. Waffen-SS. Żelazny Krzyż...”

Oficer spod oka zerknął na pozostałych, próbując odgadnąć, który z nich odpowiadałby tej „wzorowej” karierze. Ten muskularny blondyn o jasnych oczach i cynicznym wyrazie twarzy sprawiał wrażenie osobnika energicznego i zdyscyplinowanego. Spojrzeli sobie w oczy.

- SS-Rottenfuhrer Willi Meyer?

- Jawohl, Herr Oberleutnant! - Pierś zdawała się rozsadzać czarną bluzę, dłonie przepisowo przylegały do szwów spodni, ustawienie stóp dokładnie odpowiadało regulaminowi.

„Dobry żołnierz!” - pomyślał oficer i wzrokiem powrócił do pozostałych formularzy.

„Obergefreiter Albert Tkatschyk, urodzony w Katowicach - czytał. - Wiek dwadzieścia lat. Matura. Volkslista. Dwuletnia służba w artylerii koło Hamburga.”

- Obergefreiter Tkatschyk?

Krępy brunet o krótko strzyżonych włosach, nie wypuszczając papierosa z palców, przyjął postawę zasadniczą.

- Jawohl!

Ostatnim z grupy był dziewiętnastoletni Heinrich Herman, rodem z Poznania. Należał do Hitlerjugend, potem wstąpił do ochotniczej służby w Batalionach Pracy. Od 1944 roku przebywał w szkole lotniczej w Nysie.

- Gefreiter Herman?

Wysoki młodzian w mundurze Luftwaffe miał bystre, zmrużone oczy i ironiczny wyraz twarzy.

- Jawohl! - odparł.

Oficer włożył formularze do teczki i spojrzął na zegarek: godzina szósta. Z willi wyszły dwie osoby. Skorzeny - dwumetrowej wysokości mężczyzna z charakterystyczną szramą biegnącą od lewego ucha blisko ust aż do brody - i jego adiutant, krępy SS-man.

Komendant obozu w Friedenthal bezceremonialnie zwrócił się do oficera SD:

- W porządku, Wilken?

- Jawohl, sturmbannfuhrer! Wszyscy obecni. Oto papiery.

- Dobrze, dziękuję. Może pan wrócić do biura.

Po odejściu oficera Skorzeny stanął przed małą grupą, ujął się rękami pod boki i wygłosił krótkie przemówienie, w którym podkreślił, że „zostali wybrani spośród najlepszych i jako elita odchodzą na front”.

- Za godzinę odleciecie do Festung Breslau - mówił donośnym basem. - Spotkacie tam ludzi odważnych, bohaterów, ale niestety, także osobników małego ducha, tchórzów; obok rzeczy doniosłych zobaczycie sceny przykre i odrażające. Cokolwiek się wydarzy - kończył - ani przez moment nie wolno wam zapomnieć, że postawiono was poza i ponad tym wszystkim. Stanowicie grupę indywidualną, zdaną na własne siły i wykonującą ściśle określone polecenia. Te rozkazy mogą być zmienione tylko przeze mnie albo przez porucznika Hildebrandta, na którego roztropności w pełni polegamy. To wszystko. Do widzenia, żołnierze! Heil Hitler!

Skorzeny podał każdemu z żołnierzy rękę, następnie skinął na porucznika i odszedł z nim kilka kroków na stronę.

- Jakie nastroje, Karl?

- Wyśmienite, sturmbannfuhrer! Pozornie są spokojni, ale prawdę mówiąc nie mogą się doczekać chwili odlotu.

- Tak, tak, korci ich przygoda... Instruktor napisał w raporcie, że język znają doskonale?

- Tak jest. Od sześciu tygodni, według rozkazu, rozmawiają tylko po polsku.

Skorzeny zastanowił się.

- Pod Wrocławiem stoją Sowieci - powiedział. - Jeszcze nie wiadomo, jaki obrót sprawy przybiorą. W każdym razie natychmiast po przybyciu przebierzcie się w odzież cywilną i od tej chwili występujcie jako robotnicy z Górnego Śląska.

- Jawohl, sturmbannführer! Znam instrukcje na pamięć.

- Naturalnie. O waszym przybyciu wiedzą tylko dwie osoby: szef sztabu Oberst Fiessler i Johannes Malwitz, kierownik wydziału spraw... politycznych w gestapo, tymczasem przeniesiony do Arbeitsamtu. Malwitzowi możecie ufać w pełni. Choć młody, położył duże zasługi dla Niemiec. Jest spokrewniony z Hankem.

- Rozumiem. Według otrzymanych rozkazów powinniśmy skontaktować się z nim od razu po przybyciu. Genosse Malwitz wskaże nam kwaterę, zaopatrzy w odzież, prowiant i w czasie naszego pobytu w Breslau będzie ogniwem łączącym nas z dowództwem.

- Tak, tak - znowu mruknął Skorzeny. Chwilę myślał nad czymś, potem rzekł:

- Gdyby ogólna sytuacja zmieniła się drastycznie... - przerwał i wzruszył ramionami.

- Proszę mi wierzyć, sturmbannführer - powiedział Hildebrandt z emfazą - że Wehrwolf nie zawiedzie Führera i Vaterlandu!

Oswobodziciel Mussoliniego przytaknął, pożegnał się z porucznikiem i zmęczonym krokiem odszedł wraz z czekającym opodal adiutantem do swej „Wilczej Jamy”.

*

Stary, wysłużony Junkers 52 wystartował z pobliskiego lotniska kilka minut po godzinie dziewiętnastej. Po dwóch godzinach lotu, gdy byli nad Głogowem, na niebie ukazała się luna.

- Tam jest Wrocław - powiedział pilot do Hildebrandta.

- Pożary? - naiwnie spytał porucznik. Pilot zdumiony zerknął na niego przez ramię.

- Pożary! - powtórzył. - Miasto płonie od miesięcy! Wpierw były naloty. Jeszcze ogni nie ugaszono, gdy zaczęło się ostrzeliwanie z dział i wyrzutni raketowych. Tam na dole jest prawdziwe piekło. Całe dzielnice zostały zrównane z ziemią!

Gdy gorejące miasto stało się wyraźnie widoczne, porucznik odczuł niepokój. Czy lądowanie w tym rozżarzonym i buchającym dymem palenisku w ogóle było możliwe?

Pilot stopniowo zniżał lot i coraz częściej rozglądał się wokoło.

- Jeżeli nas teraz dopadną myśliwce, będzie krucho! - zauważył.

- Łądujemy, panie poruczniku? - spytał Meyer z ciemnej głębi kadłuba.

- Tak. Już jesteśmy nad Klein Gandau.

- Proszę zapiąć pasy bezpieczeństwa! - nakazał pilot.

Z niewidocznej wieży lotniska wystrzeliła zielona rakieta, zatoczyła łuk i wolno zaczęła opadać. Stary Junkers przeszedł w ślizgowy lot. Wkrótce jego opony toczyły się po nierównej nawierzchni.

Przybysze z Friedenthal udali się w kierunku zabudowań. Powietrze było wiosenne, rześkie, lecz ze wschodu falami płynął gryzący śwąd, a niebo nad miastem czerwieniało ogromną łuną. Noc była pełna warkotu silników, detonacji, terkotu karabinów maszynowych i pukania ręcznej broni palnej.

W dużej hali tłoczyły się setki ludzi. Ich podniecone głosy, krzyk dzieci i głośna muzyka radiowa łączyły się w ogłupiający jazgot. Pod ścianami leżały spiętrzone pakunki, toboły, walizy. Pośrodku buchała parą kuchnia polowa. Siostra Czerwonego Krzyża nalewała do podstawianych kubków i naczyń jakiś wywar.

Podążając za Hildebrandtem, grupa przecisnęła się do biur komendantury. Stojący na ganku wartownik obejrzał zaświadczenie porucznika, w którym żądano jak najdalej idącej pomocy dla okaziciela, i brodą wskazał drzwi po lewej.

W małym, przegrzanym pomieszczeniu sterty papierów zawałały biurko, półki i podłogę.

- Co? Samochód? - zdziwił się komendant, starszy, siwiejący kapitan Luftwaffe, i spojrzał na porucznika, jakby ten był niespełna rozumu. - Nie wiem, czy do pana dotarło, poruczniku, że jest wojna, że jesteśmy obleżeni, że rannych nosi się kilometrami do szpitali?

Hildebrandt stał w przepisowej postawie.

- Tak jest, panie kapitanie! Ale zapewne otrzymał pan polecenie z Berlina, że samochód będzie konieczny do wykonania zadania. Sprawą pierwszej wagi jest...

Kapitan huknął pięścią w blat biurka.

- Berlin kann mich am Arsch lecken! - wrzasnął zirytowany. - Zresztą, co by pan z tym samochodem zrobił, nawet gdyby jakimś cudem się znalazł, poruczniku? Wrocławskie ulice nie są w najlepszym stanie. Między nami mówiąc: wcale ich nie ma! - dodał sarkastycznie.

Hildebrandt nie dał się zbić z tropu.

- Czy mam rozumieć, że nie jest pan w stanie udzielić nam pomocy, panie kapitanie?

- Chyba rozmawiamy tym samym językiem, ale jeżeli pan mi nie wierzy, to kilka kilometrów stąd poinformuję pana o stanie rzeczy... żołnierze sowieccy.

- W takim razie bardzo przepraszam, że przeszkodziłem panu w pracy, panie kapitanie! - porucznik znacząco spojrział na stojącą przy polowym telefonie butelkę koniaku.

- E, idź do wszystkich diabłów! - zachnął się kapitan. Hildebrandt jak niepyszny wrócił do swoich ludzi.

- Stary dziwak! - burknął w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia. - Niewiele sobie robi z rozkazów sztabu. Nawet nie jest trzeźwy!

- Nie da samochodu? - spytał Hanneman.

- Nie. Twierdzi, że ma... że rozkazy z Berlina nic go nie obchodzą.

Opuścili lotnisko i ruszyli przed siebie w labirynt ulic zniszczonego miasta. Wrażenia, jakie odnieśli z dwugodzinnej wędrówki przez Wrocław, były bardziej podobne do koszmarnego snu niż do rzeczywistości. Nawet dla żołnierzy, którzy walczyli na frontach i zdążyli już przywyknąć do wstrząsających widoków.

Chociaż noc była pochmurna, a dym miejscami tak gęsty, że utrudniał widoczność, nigdzie nie było całkiem ciemno, wszędzie coś się tliło, żarzyło lub paliło; czasem, gdy belka albo cały strop z trzaskiem spadały w zgliszcza, tysiące iskier wytryskiwało w mrok. Głośną kanonadą i terkotem broni maszynowej dawał o sobie znać pobliski front.

W dogorywającym mieście pełno było ludzi - młodych, bladych kobiet w chustkach zawiązanych w charakterystyczny węzeł nad czołem, rannych poowijanych bandażami, pochylonych, człapiących przed siebie starców, patroli SD, młodzików z Hitlerjugend niosących panzerfausty, sanitariuszek, żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym...

Wszyscy gdzieś śpieszyli, coś dźwigali, wszędzie panowała atmosfera gorączkowego podniecenia.

Żandarmeria dwukrotnie zatrzymywała grupę porucznika Hildebrandta i podejrzliwie indagowała, kim są, skąd i dokąd idą. W pobliżu mostu nad Odrą zobaczyli patrol prowadzący leciwego volkssturmwca. Dygocąc ze strachu, stary coś żołnierzom perswadował.

- Dezerter! - Herman skrzywił się. - Postawią go pod murkiem bez ceremonii... Jak kocham swoje dzieci! -

- Masz dzieci? - zdziwił się Hanneman.

- Czy ja wiem? Może mam. Nigdy nie zatrzymywałem się w jednym miejscu tak długo, by poznać owoce swoich wysiłków.

Gdy byli za mostem, syreny przejmującym wyciem oznajmiły alarm lotniczy. Na całej ulicy zakotłowało się i zawrzało. Ludzie znikali w bramach domów i w schronach. Rwetes i bieganina trwały zaledwie kilkanaście sekund, potem syreny zamilkły, zapadła cisza.

W ten pozorny spokój wkradł się daleki odgłos silników. Coraz głośniejszy warkot szybko wypełnił noc. Na miasto, spowite całunem pożarnych dymów, wolno opadały pęki różnokolorowych rakiet. Z ziemi reflektory długimi palcami sięgały pułapu chmur. Działa przeciwlotnicze wszczęły zjadliwy jazgot, ciężkie karabiny maszynowe prażyły długimi seriami.

Nalot trwał kilka minut. Skoro tylko odwołano alarm, grupa udała się w dalszą drogę. Porucznik szedł przodem i przyświecał latarką. Widocznie spieszno mu było, bo gdzie tylko teren na to pozwalał, wydłużał krok.

Koło północy znaleźli się przed jednorodzinną willą, ongiś zapewne ładnie utrzymaną, a obecnie zapuszczoną, z porozbijanymi szybami. W ogrodzie leżały bezładnie rozrzucone deski, kawałki żelaza i blachy. Na uboczu, w pobliżu garażu, czerniła się kopuła małego schronu przeciwlotniczego. Wokół było ciemno i cicho.

- Nie ma go w domu? - mruknął Hanneman, zapalając papierosa.

- Powinien być - powiedział Hildebrandt. - Dziwię się, dlaczego nie wyszedł na lotnisko... - Zastanowił się chwilę, potem niezdecydowanie powiedział: - Przypuszczam, że lepiej będzie, jeżeli zostanieie w ogrodzie.

- Czy ja mogę pójść z panem? - spytał Meyer. Porucznik zerknął na niego, zatrzymał wzrok na przyczepionych do czarnej bluzy odznaczeniach.

- Dobrze - zgodził się. -! A wy zaczekajcie. Jeżeli Malwitz przygotował dla nas kwaterę, to prawdopodobnie od razu się tam udamy.

Porucznik starał się nadać słowom przekonywające brzmienie, lecz wcale nie był pewny, czy sprawy potoczą się tak, jak sobie wyobrażali w Friedenthal. Od momentu wyładowania we Wrocławiu wydarzyło się tyle rzeczy nieprzewidzianych i przykrych...

Przeszli przez ciemny ogród i zatrzymali się przed frontowymi drzwiami domu. Hildebrandt nacisnął guzik dzwonka. Usłyszeli cichy, odległy terkot. Gdy po dłuższej chwili nic się nie poruszyło, Meyer powiedział półgłosem:

- Co do licha? Mam przeczucie, że ktoś jest w domu.

Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Przed sobą mieli mroczny korytarz. Znikąd nie dochodził nawet najlżejszy szmer, cisza wprost dzwoniła w uszach.

- Herr Malwitz! - zawołał Hildebrandt z progu.

Po kilkunastu sekundach usłyszeli jakiś szelest, skrzypienie desek, potem znenacka głos nad nimi zapytał:

- Was wollen Sie?

Wpatrując się w mrok rozpoznali kontury człowieka stojącego przy balustradzie ganku na piętrze.

- Porucznik Karl Hildebrandt. Przyleciałem ze swoją grupą z Berlina.

- Kiedy przylecieliście?

- Przed dwoma godzinami. Przecież wysłano panu zawiadomienie!

Słowa rzucone w ciemność były dziwnie bezosobowe.

- Tak, naturalnie! A gdzie jest pańska grupa, poruczniku?

- Czeka w ogrodzie.

Gdy tamten nie odpowiadał, Hildebrandt dodał: - Chciałbym, jeżeli to jest możliwe, jak najszybciej udać się do naszej kwatery - o ile została dla nas przygotowana.

- Oczywiście, rozumiem. Proszę, pozwólcie na górę. W domu, niestety, nie ma światła, jakiś pocisk uszkodził przewody.

Przybysze z Friedenthal po schodach udali się na piętro. Porucznik przedstawił siebie, potem Meyera. Malwitz przywitał się z nimi i otworzył jedno z drzwi.

Antyczna naftowa lampa mdłym blaskiem oświetlała duży, prostokątny pokój, w którym panował wielki nieporządek. Odzież rozrzucono w nieładzie, na stole leżały sterty formularzy i papierów. Książki zapełniały dwa duże regały. Na ścianie wisiał olejny portret Hitlera i jakieś oprawione w ramy dyplomy.

- Proszę, siadajcie panowie! - gospodarz wskazał dwa obszerne, obite skórą fotele. - Przepraszam za bałagan... Moja żona wyjechała do krewnych na wieś, a ja nie mam czasu zajmować się sprawami domowymi. W urzędzie jesteśmy niezwykle obciążeni pracą. Palicie?

Przez stół podał paczkę „Amati”.

Zaciągając się dymem aromatycznego papierosa, Meyer przyglądał się Malwitzowi. Był to barczysty, choć raczej chudy blondyn, średniego wzrostu, o regularnych rysach twarzy, na której widać było zmęczenie i jakby zgorzkniałość. Mógł mieć około dwudziestu pięciu lat. Nosił czarną bluzę, bryczesy i buty z cholewami. U pasa wisiała kabura z pistoletem.

- Jak wam się Wrocław podoba? Hildebrandt pochylił się do przodu.

- Sądzę, że możemy mówić otwarcie, Genosse Malwitz. Walczyłem pod Tobrukiem i na Malcie, brałem udział w kampanii włoskiej, widziałem śmierć w najróżniejszych postaciach... Ale po wędrownie tutaj, przez te przerażające rumowiska i zgliszcza, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Breslau jest umierającym miastem.

Malwitz spode łba spojrział na porucznika, lecz nie odzywał się.

- To wszystko, oczywiście, nie ma wpływu na nasze zadanie - ciągnął Hildebrandt. - Przybyliśmy, aby wykonać określone polecenia, i wykonamy je bez względu na istniejące warunki czy trudności.

- Słusznie! - zawołał Malwitz. - Ostateczny wynik tej trudnej walki naszego narodu zależy od właściwej postawy jego synów i córek. W żadnym wypadku nie powinniśmy dać się zwieść pozorom i ulegać panice.

Obaj zamilkli, świadomi nieszczerości wypowiedzianych frazesów. W ciszy, jaka zapadła, wyraźnie usłyszeli z przyległego pokoju szmer przypominający przesuwanie krzesła. Przybysze zaskoczeni spojrzeli na zamknięte drzwi, potem na gestapowca.

- Co to? - zawołał Meyer. - Czy tam ktoś jest? Malwitz starał się ukryć swoje zakłopotanie pod zażenowanym uśmiechem.

- Widzę, że muszę się przyznać. Nie jestem sam. Dlatego od razu nie odpowiedziałem na dzwonek. Moja sekretarka, Lotte... Panowie chyba rozumiecie? Z żoną nie widziałem się od miesięcy, a natura horret vacuum.

Tłumiąc śmiech Meyer rzekł:

- Wobec tego żałuję, że wam przeszkadziliśmy.

- O, na to zawsze jest czas. Lotte nie musi wracać do domu o określonej porze. Co prawda dziś wieczór przyszła tutaj po raz pierwszy i do tej pory skutecznie odpierała wszystkie próby zawarcia bliższej znajomości. Pomimo to nie sądzę, aby korzystając z nieprzewidzianej przerwy, próbowała uciec przez okno.

- Cha, cha, cha! Zaczyna mi się w tym Wrocławiu podobać! Może pan zna...

- Daj spokój, Willi! - zachnął się Hildebrandt. - Wróćmy do spraw istotnych. Czy pan może nam pomóc?

Malwitz starannie zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce.

- Konkretnie w czym?

- Zapewne otrzymał pan instrukcje?

- Oczywiście, ale osoby, które nie znają tutejszej sytuacji, często stawiają żądania niemożliwe do spełnienia. Widzieliście na własne oczy, jak miasto wygląda. Nie ma wody ani elektryczności. Telefony nie działają. Zapasy żywności zmniejszają się w zatrważający sposób...

- Tak, tak, rozumiem! - przerwał Hildebrandt. - Na razie zadowolimy się byle jakim pomieszczeniem, w którym można by urządzić kwaterę. Sprawa dostarczenia nam odzieży cywilnej chyba też jest możliwa do zrealizowania? Chciałbym także dokładnie zapoznać się z

pozycjami wojsk sowieckich. O sytuacji na froncie jest pan niewątpliwie dobrze poinformowany?

Hildebrandt niecierpliwił się. Poważne stanowisko, jakie gestapowiec zajmował, nie licowało z jego lekkomyślnym zachowaniem. Było oczywiste, że nie przyszedł na lotnisko, bo flirtował z jakąś tam Lotte! A teraz siedział przed nimi w fotelu, niedbale palił papierosa i widocznie uważał ich za intruzów, których chciałby się jak najszybciej pozbyć.

- Rozumiem pańską niecierpliwość - wolno odparł Malwitz, jakby odgadł myśli porucznika. - Przrzekam, że w najbliższym czasie, w miarę możliwości, wszystko zostanie załatwione. Bezzwłocznie pójde i sprawdzę, czy kwatera dla was jest przygotowana, tak jak poleciłem. Potem razem przejdziemy się do magazynu w Kletschkau, gdzie dobierzecie sobie odpowiednią odzież. Resztę proponuję odłożyć do rana.

Hildebrandt rozchmurzył się.

- Bardzo panu dziękuję! Malwitz wstał.

- Dopóki nie wrócę, będziecie gościć w moim domu. Proszę pójść za mną.

Niosąc lampę, gestapowiec zaprowadził ich do pokoju na parterze. Wokół dębowego stołu, o lśniącym jak lustro blacie, stało dwanaście krzeseł, urządzenie uzupełniał gdański kredens i szklane gablotki. Malwitz pokazał im także kuchnię, zezwalając na korzystanie z niej.

- Prawdopodobnie wrócę za pół godziny - powiedział, gdy znowu wyszli na korytarz. - Ponieważ przychodzą do mnie różne osoby, a niewskazane byłoby, aby was widziały, proszę w miarę możliwości zatrzymać się w jadalni aż do mojego powrotu.

- Słusznie, nam również zależy na nieujawnianiu się. Przyrowadź chłopców, Willi!

Po odejściu Meyera Malwitz impulsywnie wyciągnął rękę do porucznika.

- Przepraszam pana za niezbyt taktowne przyjęcie - powiedział. - Wydarzenia ostatnich tygodni skruszyły najbardziej twarde charaktery. Broniąc się przed uczuciem bezradności i przed zniechęceniem, szukamy różnego rodzaju namiastek... Co prawda koniak, szampan i kobiety nawet na moment nie mogą zastąpić zagubionego splendoru! Pan ma słuszność - rzekł po namyśle - miasto umiera, a my z nim...

Odwrócił się i ociężałym krokiem zaczął wchodzić po schodach.

- Wyrzucę tę dziwkę! - mruknął przez ramię.

Grupa Wehrwolf daremnie czekała na powrót Johannes Malwitza. W kilka minut po jego odejściu na miasto spadł istny grad bomb. Detonacje były tak gwałtowne, że w willi ze ścian i sufitu tynk sypał się grubymi płatami. Tym razem nawałnica stali i ognia trwała ponad dwadzieścia minut. Potem rozpoczęła się kanonada z dział. Aż do świtu pociski siekły

zabudowania, rozrywały mury, jezdnie i tory kolejowe. Dopiero gdy blade światło wstającego dnia rozjaśniło snujące się nad zgłiszczami dymy, gdy zamarł jęk syren, a rozdygotana ziemia znowu przycichła w bezruchu, przybysze z Friedenthal - niewyspani, zmęczeni i posępi - wyleźli z betonowego schronu w ogrodzie.

Wróciwszy do willi, Hildebrandt zajrzał do pokoi na piętrze. W sypialni, obok której w nocy rozmawiali z Malwitzem” zobaczył na stoliku, przy szerokim, podwójnym łóżku, karafkę z rubinowym likierem, dwa kieliszki i paczkę herbatników.

- Mam dziwne przeczucie - powiedział do siebie - że panna Lotte, jeżeli przeżyła tę noc, będzie zmuszona poszukać sobie innego amanta...

O godzinie dziesiątej dotarł z wielkim trudem do Festungskommandantur na Wyspie Piaskowej i zameldował się pułkownikowi Fiesslerowi, któremu przedłożył swoje dokumenty.

Szef sztabu wysłuchał porucznika, potem telefonicznie połączył się z gestapo i przeprowadził krótką rozmowę. Kładąc słuchawkę na widełki, powiedział:

- Na Tauentzenstrasse również nie wiedzą, co się stało z Malwitzem. Ubiegłej nocy, nie licząc setek rannych i umierających, zginęło około 160 osób. Większości nawet nie da się zidentyfikować. Jeżeli Malwitz podczas bombardowania był w mieście, to musimy liczyć się z najgorszym. Utrata tego człowieka byłaby godna pożałowania. Należał do naszych najbardziej zaufanych i wartościowych ludzi. Przebiegły jak lis i ślepo oddany sprawie, był postrachem obcokrajowców wykorzystujących sytuację do konspirowania przeciwko nam...

Kończąc rozmowę, pułkownik skierował Hildebrandta do kwatermistrza, majora Fuchsa, który odtąd miał pomagać grupie dywersantów.

W drodze powrotnej do willi porucznik Hildebrandt, przełaząc przez sterty gruzów lub omijając ogromne doły i krztusząc się dymem, po raz pierwszy od chwili przybycia do Wrocławia zaczął się zastanawiać nad celowością spełnienia poleceń otrzymanych w Friedenthal.

Jeszcze nie uszedł pięciuset metrów, gdy nad zrujnowanym miastem znów rozległ się jękliwy chór syren alarmowych.

17

Wojenna zawierucha przeminęła. Po latach znoonej pracy na uprzątniętych z gruzu obszarach powstało nowe miasto. Jego mieszkańcy żyją przyszłością i niechętnie wracają wspomnieniami do owych tragicznych dziejów zagłady „Festung Breslau”. Tylko nieliczne osoby potrafiłyby powiedzieć, kim był sławetny Skorzeny lub gauleiter Hanke. Dla nowego pokolenia wszystko to są już cienie przeszłości.

Te nieprzyjemne cienie jednak czasem wracają, materializują się i - rzadko co prawda - zakłócają bieg spokojnego życia.

Rok 1961 dobiegał końca. Złota jesień ustąpiła miejsca listopadowym szarugom. Dzień był pochmurny. Zaraz po południu zrobiło się mroczno, około drugiej zerwał się wiatr i zaczął padać drobny deszcz. Na mokrych chodnikach zakwitły barwne grzyby parasoli, w sklepach zapalono światła.

Do jednego z wrocławskich hoteli wszedł starszy, przygarbiony mężczyzna. Był krępy, miał chudą, pokrytą zmarszczkami twarz, kąciki ust ściągnięte ku dołowi i przerzedzone włosy. Strzepnął krople wody z brezentowej kurtki i zbliżył się do recepcji.

- Dzień dobry! - powiedział cichym, nieco zachrypłym głosem. - Chciałbym, o ile to możliwe, zobaczyć się z panem Haroldem Winkiem. Zawiadomił mnie, że przyjedzie w tych dniach i zamieszka w tym hotelu. Nie wiem, czy już przybył?

- Pan Winkiel? - recepcjonista zmarszczył brwi. - A tak, przyjechał wczoraj w nocy. Pokój - rzucił okiem na listę - numer dwadzieścia cztery, drugie piętro.

- To doskonale! - ucieszył się obcy. - Czy aby jest u siebie?

- Klucza na tablicy nie ma, więc prawdopodobnie jest w pokoju. Może pan windą...

- Nie! - przerwał tamten. - Porozmawiam z nim telefonicznie i umówię się. Może mnie pan połączyć?

- Owszem.

Recepcjonista włożył wtyczkę do otworu na tablicy rozdzielczej.

- Proszę podnieść słuchawkę i mówić! - zwrócił się do przybysza.

- Halo! Halo...! Czy mam przyjemność rozmawiać z panem Winkiem?

- Tak, słucham! - usłyszał energiczny głos.

- Mówi Różycki - przedstawił się. - Dzień dobry panu! Miał pan telefonować do mnie w poniedziałek...

- A tak! - odparł jego rozmówca. - Przecież dziś jest poniedziałek. Cieszę się, że pan dzwoni, właśnie zamierzałem wyjść.

- Ja również się cieszę, że pan szczęśliwie przyjechał.

Co słychać?

- Na razie niewiele. Później spotkam się ze swymi przyjaciółmi i w trójkę zwiedzimy Wrocław. Ci dwaj znają miasto doskonale. Podobno jest tu sporo atrakcji?

- O - tak! A kiedy znajdzie pan czas dla mnie?

- Może zadzwoni pan w środę, między trzynastą a czternastą, na numer 14-60?

- Dobrze, numer 14-60 - mruknął stary. - Czy prócz tego mogę panu w czymkolwiek pomóc?

- Nie... to znaczy jest pewna rzecz. Zależy mi na biografii sekretarza SED, Ulbrichta. Jeżeli panu czas pozwoli, może znajdzie pan ją gdzieś w księgarni?

- Biografię Waltera Ulbrichta? Na pewno znajdę. Dostarczę ją panu przy okazji. To wszystko?

- Tak, dziękuję.

Skończywszy rozmowę, mężczyzna w brezentowej kurcie położył słuchawkę na widelki, zerknął na recepcjonistę, który przy drugim końcu kontuaru rozmawiał z przystojną brunetką, i szybkim krokiem udał się w kierunku windy.

- Drugie piętro, proszę...

Bar „Centralny” przy placu Kościuszki był zatłoczony. Goście siedzący na wysokich stołkach przy kontuarze rozmawiali, czytali gazety i czasopisma lub rozglądali się z nadzieją dostrzeżenia znajomej twarzy.

- Proszę sznycel, panienko! - Rosły mężczyzna o bujnej blond czuprynie odłożył menu, wyprostował się i zrobił oko do zgrabnej kelnerki.

Słyszając obcy akcent zamawiającego, z zaciekawieniem spojrzała na jego nylonową koszulę i szarą, tweedową marynarkę, potem bez pośpiechu odeszła do kuchennego okienka.

Blondyn wyjął z kieszeni paczkę „Carmen”, zapalił papierosa i powiódł wzrokiem dookoła. Nie dostrzegając nic godnego uwagi, stłumił ziewnięcie i znów chciał przejrzeć spis potraw, gdy nagle napotkał parę przypatrujących mu się badawczo oczu. Czterdziestoletni mężczyzna w szarym płaszczu deszczowym siedział naprzeciwko, przy drugim końcu baru, zakrywając gazetą dolną część twarzy. Jakby przyłapany na gorącym uczynku, szybko podniósł dziennik, lecz po chwili zaciekawione spojrzenie powtórnie pobiegło w stronę człowieka w tweedowej marynarce.

Blondyn początkowo nie zwracał uwagi na dziwne zachowanie osobnika z gazetą, jednakże nie podnosząc głowy czuł, że tamten go bezustannie obserwuje. Zaciągnął się papierosem i przez chmurę dymu spojrzął w jego stronę. Gazeta natychmiast podniosła się o parę centymetrów, palce poruszały się nerwowo na brzegu stronicy.

- Pan zamówił sznycel? - Nie czekając na odpowiedź kelnerka postawiła talerz. - Będzie jeszcze coś?

Uśmiechnął się.

- Do jedzenia już nic.

- Piwo, lemoniada?

- Ale, ale! Młoda dziewczyna nie powinna mówić tylko o jedzeniu i piciu.

- A o czym ma mówić? - spytała naiwnie. „Pewnie przyjechał z zagranicy” - zgadywała w myśli.

- Można by porozmawiać o tym, co pani robi po pracy.

- Chyba pójdę do domu i położę się spać.

- Sama?

- A co pan sobie wyobraża! - udała oburzenie.

- Proszę pani! - niecierpliwie zawołał ktoś z boku. - Czy długo będę czekał na tę pieczeń? Moja przerwa obiadowa trwa tylko godzinę!

- Zaraz panu przyniosę - uspokajała i niechętnie odeszła od kontuaru.

Jedząc, blondyn mimo woli zerkał na mężczyznę z gazetą, który również otrzymał zamówioną potrawę i, wierząc się, jadł nisko pochylony nad talerzem.

Wtem podniósł głowę...

Blondyn drgnął, jak uderzony obuchem. „Niemożliwe! - pomyślał. - Przecież zmarli nie wracają do życia! A jednak - dodał natychmiast - gdyby to nie był on, nie zachowałby się tak osobliwie.”

Siedzący naprzeciwko mężczyzna zrobił nieokreślony grymas, potem nerwowym ruchem wyjął z kieszeni monetę, położył ją obok talerza, zeskoczył ze stolka, zerwał z wieszaka swój kapelusz i nie oglądając się opuścił lokal.

Blondyn także przerwał jedzenie, uregulował należność i odprowadzany zdziwionym spojrzeniem kelnerki podążył za odchodzącym.

Na dworze drobny, gęsty deszcz zaciął z ukosa, gdzieś tam szeroko rozlewały się kałuże. Ludzie, zaskoczeni szarugą, tłoczyli się w bramach.

Mężczyzna w szarym płaszczu przeszedł obok Domu Towarowego, następnie skręcił w prawo. Koło poczty obejrzał się. Widząc, że blondyn wciąż dąży za nim, przyspieszył kroku.

W szybkim tempie, nie zważając na przykry deszcz, przeszli odcinek do ulicy Kołłątaja. Wreszcie idący przodem, widząc, że nie pozbędzie się upartego prześladowcy, zrezygnowany przystanął.

Blondyn podszedł do niego i przyjrzał mu się z bliska. Jeszcze nie dowierzając własnym oczom, rzekł:

- Nie sądzę, bym się mylił... Pan jest Johannes Malwitz?

Tamten przygryzł wargi.

- Pan się myli! Nie wiem, co panu przyszło do głowy! Proszę mnie zostawić w spokoju. - Odwrócił się, zamierzając odejść.

Blondyn nie dawał za wygraną.

- Jestem przekonany, że pana kiedyś spotkałem, i to w ciekawych okolicznościach. Omyłka wykluczona!

- Czego pan chce ode mnie?

- Ja? Właściwie nic. Jestem zaskoczony spotkaniem, tak jak pan. - Raz jeszcze spojrzał na niego uważnie, wreszcie machnął ręką. - Lassen wir doch den Unsinn, Herr Malwitz!

- No cóż - odparł tamten wzruszając ramionami - nie ma sensu przeczyć, choć dużo dałbym za to, aby nasze spotkanie nigdy nie nastąpiło, panie Willi Meyer!

- Pamięta pan moje nazwisko? Więc jednak miałem rację! Ale po co ta ucieczka? Co pan w ogóle tu robi?

- Tu?

- No, w tym mieście.

- Mieszkam we Wrocławiu od wielu lat.

- A więc nie zginął pan wtedy?

- Widocznie nie, skoro przed panem stoję. Czy mogę zapytać, co pana tu sprowadza?

- Przyjechałem zobaczyć stare strony. Przejeżdżająca taksówka chlupnęła brudną wodą na chodnik. Deszcz nie padał już tak mocno. Nisko pełznąca chmura przesuwała się na wschód za miasto.

- Skoro przypadek kazał nam się spotkać - powiedział Meyer - to przestańmy się obwąchiwać jak psiaki, chodźmy do jakiejś knajpy i spokojnie porozmawiajmy.

- No... dobrze. Niedaleko stąd jest restauracja. O tej porze nie będzie w niej ludzi.

Odeszli w kierunku ulicy Kościuszki. Malwitz kilkakrotnie potrząsnął głową.

- Do licha! Teraz dopiero odzyskuję panowanie nad sobą. W barze, kiedy pana poznałem, najchętniej zapadłbym się pod ziemię!

- Ja również przeżyłem szok. Przecież uważałem pana za... nieboszczyka! Coś mi jednak mówi, że nasze obawy były płonne.

Spojrzeli na siebie z porozumiewawczym uśmiechem.

- Jestem przekonany, że pan ma słuszość - odparł Malwitz z ożywieniem. - A gdzie pan się tak biegle nauczył polskiego?

- Właśnie chciałem zadać panu podobne pytanie. Ja urodziłem się w Bytomiu, znam ten język od dziecka. Ostatnio intensywnie pracowałem nad dykcją. Lecz w pańskiej wymowie także nie ma śladu obcego akcentu?

- Moja matka była krakowianką. Wprawdzie do czterdziestego piątego roku nie mówiłem dobrze po polsku, za to później robiłem szybkie postępy.

- Pracuje pan tutaj?

- Tak. Obecnie mam kilkudniowy urlop. Chciałem wyjechać. Niestety, pogoda nie dopisuje... Wie pan, jeszcze wciąż głowię się, jakie dziwne zrządzenie losu spowodowało nasze spotkanie. Wprawdzie często jem obiad w „Centralnym”, ale pan przypuszczalnie tam nie bywa?

- Przyjechałem wczoraj z Berlina.

- Naprawdę? - zdziwił się Malwitz. - Długo pan zostanie?

- Tylko tydzień lub dwa. Dłużej za żadne skarby!

- Dlaczego? Nie podoba się panu w Polsce?

- Nie. Jest to nieprzyjemny kraj, ludzie są opryskliwi, ordynarni. Zresztą przykro jest chodzić po prastarym niemieckim mieście i patrzeć na to, co z niego zrobili!

- Tak - przytaknął Malwitz - wiele się zmieniło. Przeszli jezdnię. W restauracji tylko troje gości jadło późny obiad. Kelner stał przy oknie i przez ociekającą strumieniami szybę obserwował przemykające samochody. Malwitz wskazał stolik w rogu.

- Tam?

- Okay.

Zdjęli mokre płaszcze i powiesili je na wieszakach. Meyer zabrał swą małą walizkę do stolika.

- Zje pan coś? - spytał.

- Owszem, wprawdzie piętnaście minut temu zamówiłem obiad, ale poznawszy pana, byłem tak zdenerwowany, że nie potrafiłem przełknąć ani kęsa - odparł Malwitz.

- To można naprawić. Oto menu. Co pan radzi?

- Może schab?

Kelner wyczekująco stał przy stoliku.

- Dla mnie schab z kapustą.

- Ja proszę o to samo i pół litra wyborowej.

Do lokalu wszedł starszy mężczyzna. Miał pomarszczoną twarz, na chudych ramionach wisiała wytarta, brezentowa kurtka. Rozejrzał się i zajął miejsce przy wolnym stoliku, niedaleko Meyera i Malwitza.

Po obiedzie i kilku kieliszkach wódki nastroje poprawiły się. Pewna wylewność stopniowo zajmowała miejsce początkowej nieufności. Meyer rozpiął marynarkę i rozluźnił krawat.

- Właściwie powinniśmy mówić sobie po imieniu, nie sądzi pan? Przecież znamy się od szesnastu lat! Wprawdzie pan jest starszy...

Malwitz gorliwie przytaknął.

- To nieważne! - powiedział i znowu napełnił kieliszki. - A więc pijmy bruderszaft.

Odstawiając kieliszek powiedział szeptem:

- Obecnie oczywiście nie nazywam się Malwitz. Moje nazwisko brzmi Stefan Lipiński.

- Okay, Stefan. Ja zostałem Willim.

Zapalili papierosy. Meyer oparł się wygodnie i puszczając dym nosem zapytał:

- Wiesz, jestem strasznie ciekaw, co się wtedy z tobą stało. Do rana czekaliśmy w twoim diabelnie ciasnym i zimnym schronie w ogrodzie. Potem zostaliśmy we Wrocławiu jeszcze trzy tygodnie, ale po tobie wszelki ślad zaginał. Byliśmy przekonani, że leżysz gdzieś pod gruzami.

- Niewiele brakowało. Na pewno pamięta pan... pamiętasz, że kilka minut po moim odejściu był nalot. Pech chciał, że znalazłem się w samym centrum bombardowania. Jakiś odłamek uderzył mnie w głowę. O, jeszcze mam bliznę!

Malwitz wskazał jasną, nierówną linię biegnącą od czoła niemal do ucha.

- Nie wiem, co się potem ze mną stało. Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem w dużej piwnicy, zamienionej na prowizoryczny lazaret, miałem obandażowaną głowę i pokiereszowane nogi. Chciałem przekazać szefowi jakąś wiadomość, lecz to było wprost niemożliwe. Poczta nie istniała, przewody telefoniczne wisiały w strzępach. Oczywiście nikt nie kwapił się do wędrówki przez gruzy do Tauentzienstrasse tylko po to, aby zanieść tam mój list.

Spojrzał na unoszące się w górę kłęby papierosowego dymu.

- A co dalej? - spytał Meyer. - Przecież to jeszcze nie wszystko.

- Nie, masz słuszość, że to nie jest wszystko - odparł Malwitz. - Lecz proszę, nie gniewaj się, jeżeli resztę na razie przemilczę. Będę z tobą szczerzy, Willi. Wtedy, w czterdziestym piątym roku, spotkaliśmy się w okolicznościach, które nie pozostawiały wątpliwości, kim jesteśmy. A dziś? Doprawdy, wiele się zmieniło. Nic o tobie nie wiem. Przypadkowo spotkaliśmy się na ulicy... Jakiś amerykański pisarz, bodaj czy nie Hemingway,

stwierdził, że potrzeba dwóch lat, by nauczyć się mówić, pięćdziesięciu - by nauczyć się milczeć. Proszę, staraj się zrozumieć!

- Rozumiem cię doskonale. Do tych spraw jeszcze wrócimy...

- A tobie jak się powiodło? Co się stało z grupą porucznika Hildebrandta?

- Jest to długa historia. Powiem ci tylko, że tamte wydarzenia łączą się z moim obecnym przyjazdem.

- Tak przypuszczałem, chociaż nie mogę się domyślić przyczyny.

- To byłoby trudne.

Sięgnął po butelkę i napełnił kieliszki.

- Zdrowie!

Wypili jednym haustem. Meyer zamyślał się.

- Wszystko działo się tak dawno - powiedział - że wydarzenia zatraciły ostrość konturów i po tylu latach są - pozbawione atmosfery i nastroju... „Festung Breslau”! Żyliśmy wtedy jak pod wpływem mocnego narkotyku, nawet najmocniejsi ulegali ogólnemu rozprężeniu. - Zapatrzył się w okno. - Ileż w tym okresie krążyło pogłosek! Czekaliśmy na jakąś cudowną broń lub na pomoc szturmowych dywizji... Ale kiedy ziszczały się tylko niepomysłne wieści, miejsce nadziei zajęło rozczarowanie...

- Powiedz, co robiliście, kiedy was tak niefortunnie zawiodłem?

- Po niezbyt przyjemnej nocy w twoim domu, a właściwie w schronie, leutnant Hildebrandt poszedł do komendanta. Twoje miejsce i funkcje nóżniej przejął Tinz z Abwehry. Postarał się dla nas o dwa pokoje, a także o cywilne ubrania. W ogóle robił, co mógł, chociaż ogólna sytuacja była z dnia na dzień bardziej uciążliwa.

- Braliście udział w akcji?

- Dwukrotnie poszliśmy na rekonesans. Raz przedarliśmy się na teren zajęty przez Rosjan. Podczas krótkiego postoju w opuszczonym domu zaskoczył nas sowiecki patrol. Wy tłumaczyliśmy żołnierzom, że jesteśmy Polakami, i udawaliśmy, że się ze spotkania cieszymy. Ugościli nas konserwami i wódką, poklepywali po plecach i ciągle powtarzali to swoje: charaszo, charaszo! Powiedzieliśmy im, że właśnie w tym miejscu umówiliśmy się z grupą Polaków, którzy lada chwila powirni nadejść. Podczas całej biesiady Hildebrandt siedział na plecaku z plastykiem i zapalnikami, Hanneman trzymał rękę na torbie z granatami, każdy z nas miał za pazuchą odbezpieczony pistolet.

- Chwileczkę, Willi! Ten wspaniały trunek wietrzeje! Malwitz nalał wódkę do kieliszków.

- Sto lat!

Siedzący opodal mężczyzna, próbując dosłyszeć cichą rozmowę, nieznacznie przechylił się w ich stronę.

- Po godzinie Rosjanie odeszli, zostawiając dwóch żołnierzy jako forpocztę - ciągnął Meyer. - Na dany znak Hanneman rzucił się na jednego z nich i szybko wykończył go nożem, drugiego zaatakował Hildebrandt, ale Rosjanin wyrwał mu się, podniósł pepeszę i zaczął strzelać. Jedna z kul trafiła biednego Hannemana, na szczęście stojący z boku Herman położył żołnierza strzałem z pistoletu, w przeciwnym razie byłby nas wszystkich zmasakrował. Później okazało się, że Hanneman ma przestrzelone płuco. Musieliśmy go zostawić - tak nakazywał regulamin Wehrtuolf. Dwa dni później podczas nalotu odłamek poważnie ranił porucznika w nogę. Zająłem jego miejsce, ale od kumpli trudno było wymagać posłuszeństwa. Tkatschyk zaczął pić, Herman znalazł sobie jakąś dziwkę. W mieście szerzył się coraz większy chaos. Zaopatrzenie w żywność było tragiczne. Jakakolwiek akcja wydawała się coraz bardziej bezsensowna.

Meyer, nieco odurzony mocnym trunkiem, wsparł czoło rękami. Sposepniał, jakby znowu przeżywał tamte dni.

- Kiedy w niewytłumaczony sposób przepadł nasz opiekun z Abwehry, postanowiliśmy rozwiązać grupę...

Spojrzał na Malwita. - Nie nudzę cię?

- O nie! Wręcz przeciwnie. Twoje opowiadanie przywodzi na pamięć moje własne przeżycia.

- Lotte? Cha, cha! Co się z nią stało?

- Nie mam pojęcia. Tej nocy, kiedy przyszliście do mojego domu, umówiłem się z nią na następny wieczór. Więcej już jej nie widziałem. Ale to nie jest istotne. Proszę, mów dalej.

- Tkatschyk i Herman wrócili w swoje strony. Ja powędrowałem na zachód i przedostałem się do strefy amerykańskiej. Reszta to już szablon: brudne obozy, pijaństwo, kobiety, starania o wyjazd za granicę, unrowskie paczki, komisje lekarskie i denazyfikacyjne. Gdy zebrałem całe stosy dokumentów z pieczętkami i zdjęciami oraz zaświadczenie stwierdzające, że nie należałem do „brzydkich organizacji nazistowskich” i w ogóle że jestem biedną ofiarą hitlerowskiego reżimu, opuściłem obóz i... no: Unterkunft finden?

- Zamelinowałeś się?

- Tak, zamelinowałem się u apetycznej wdówki w Wiesbaden. Pulchna Annemarie opiekowała się mną, jakbym był w jednej osobie jej mężem, synem i kochankiem. Niestety, psuła sielankę zbyt często, snując romantyczne wizje o naszej przyszłości: domku z ogródkiem, kwiatuśkach, pszczołkach, dziateczka... Tych ostatnich domagała się

minimum czworga. Imiona kwartetu były z góry ustalone: Siegfried, Giiinther, Elsa, Brunhilda.

Malwitz, słuchając wspomnień podchmielonego kamrata z dużą uwagą, uśmiechnął się.

- Wielbicielka Wagnera?

- Ubóstwiała Wagnera! „Śmierć Zygryda” wzruszała ją do łez, a „Cwał Walkirii” podniecał seksualnie. Lecz pomijając te słabostki, było nam dobrze razem. Dopiero gdy któregoś dnia oświadczyła, że Siegfried jest w drodze, wyniosłem się z przytulnego, drobnomieszczańskiego rajku do Hamburga. Przyjąłem posadę w towarzystwie eksportowym. Mijały lata. Niedawno postanowiłem przyjechać do Wrocławia, aby obejrzeć stare kąty. To właściwie wszystko.

- Czy podróżujesz pod swoim nazwiskiem?

- Tak, nazywam się Willi Meyer. W czterdziestym siódmym roku jakiś idiota poznał mnie i doniósł władzom, że byłem w SS. Przez dwa miesiące trzymali mnie na państwowym wikcie. Po rozprawie odzyskałem wolność, ale musiałem z powrotem przyjąć moje prawdziwe nazwisko.

- Nie powiedziałeś władzom nic o przynależności do Wehrwolf?

- Nie pytali mnie o to. A co było z tobą? Powiedzże wreszcie coś o sobie!

- Niewiele mogę dodać do tego, co powiedziałem. Nie posądzaj mnie o brak zaufania, Willi, lecz są pewne rzeczy, o których nie rozmawiam nawet z najbliższymi przyjaciółmi - odparł Malwitz.

Meyer spojrzał na niego z ukosa.

- Przebywałeś tutaj przez cały czas?

- Nie, dziesięć lat spędziłem w Lublinie. Kiedy uznałem, że mogę bezpiecznie wrócić do Wrocławia, przyjechałem i zamieszkałem tutaj. Jak dotąd, szczęście mi dopisuje. Mam spokój, pracuję, zarabiam przeciętnie, wkrótce... może się ożenię.

- Gratuluję! Ładna?

- Jest kilka lat młodsza ode mnie - wymijająco odparł Malwitz. - Sądzę, że sobie odpowiadamy.

- Więc wypijmy za zdrowie młodej pary! Trącili się kieliszkami.

- Czy twoja narzeczona także pracuje? - spytał Willi bez większego zainteresowania.

- Tak. Jeżeli znajdziesz czas, koniecznie musisz nas odwiedzić. Jeszcze nie mieszkamy razem, ale Zosia często do mnie przychodzi. - Spojrzał na zegarek: - Trzecia. Jakie masz plany na dziś?

- Nic szczególnego. Zamierzałem złożyć wizytę starym znajomym.

- Masz tutaj znajomych?

Meyer badawczo spojrział na Malwitz, lecz twarz byłego gestapowca nic nie wyrażała. Szybko rozejrzał się.

Siedzący opodal osobnik w brezentowej kurtce z zajęciem czytał „Wiadomości Sportowe”. Z powierzchowności był tak niepozorny, że nie zwrócili na niego większej uwagi.

Przy kontuarze kelner rozmawiał z bufetową o zbliżającej się rozprawie sądowej, na której miał wystąpić jako świadek.

Na dworze znowu stawało się mroczno. Deszcz przestał padać, lecz chmury nadal ciągnęły nisko nad miastem. Meyer długi czas zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Chyba jest oczywiste, że nie przyjechałem do tego kraju tylko z tęsknoty za rodzinnymi stronami. Uczucie nostalgii jest mi obce. Chcę załatwić dawne sprawy. Ale nie wiem, czy wskazane jest mówić o tym...

- Sądzisz, że pobiegnę do najbliższego milicjanta i powiem: Panie władzo! Oto jest były członek organizacji Wehrwolf, SS-man Willi Meyer”?

- Tego nie uczynisz z obawy o własną skórę. Gdybyś mnie zadenuncjował, wskazałbym na ciebie i powiedział:

..A oto jest były gestapowiec, krewniak gauleitera Hanke, Johannes Malwitz, który ma niejednego Polaka na sumieniu”!

Malwitz skrzywił się.

- Tak, nasza przeszłość wiąże nas mocniej niż jakiekolwiek obietnice lub przysięgi. Musimy milczeć, dlatego też nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy sobie nie ufać. Nie mam pojęcia, w jakim celu przyjechałeś. Nadmieniałeś, że chcesz coś załatwić. Czy mógłbym w czym pomóc? Znam miasto, jeszcze mam kilka dni urlopu. - Widząc wahanie Meyera, dodał: - Nie nalegam. Możemy rozejść się i zapomnieć o tym przypadkowym spotkaniu.

- Nie o to idzie. Powiedz mi, Johannes... Stefan, czy masz jakiś kontakt z Zachodem?

- Z nikim nie koresponduję. Nie mam tam krewnych ani znajomych.

- Nie o tym myślałem. Biorąc pod uwagę twoje dawne stanowisko i to, że zostałeś w Polsce, można by podejrzewać, że nadal dla nas pracujesz. Rozumiesz?

Malwitz zdumiony wyprostował się.

- Wypowiadasz bardzo nierozważne słowa!

Zaczął bawić się popielniczką. Potem, unikając wzroku Meyera, powiedział:

- Odpowiedź oczywiście brzmi: nie! Ale załóżmy, że mam coś z tym wspólnego, to przecież nigdy nie odpowiedziałbym na to pytanie twierdząco.

Znowu zapadło milczenie. Obydwaj wiedzieli, że któryś z nich musi przełamać nieufność. Wyczuwali także, iż to, co zostało powiedziane, stanowi tylko mało znaczący wstęp.

Z zewnątrz otworzono drzwi, fala zimnego, wilgotnego powietrza wtargnęła do lokalu i rozwiła snujące się nad stolikami smugi dymu. Na progu stanęła niebrzydka, rudowłosa dziewczyna, za nią - atletycznie zbudowany młodzieniec w krótkiej beżowej budrysówce, wąskich granatowych spodniach i czarnych półbutach o mocno wydłużonych czubkach.

- Jak widzę, też macie takich pajaców - mruknął Meyer, znowu sięgając po papierosy.

- Obecna moda.

Młodzian spojrział na siedzących w lokalu gości, skrzywił się i coś powiedział do dziewczyny. Ta wskazała stolik w rogu przy bufecie i po mrukliwej zgodzie towarzysza zaczęła zdejmować płaszcz.

- A więc nie chcesz nic o sobie powiedzieć - mruknął Meyer niezadowolony. - W ten sposób możemy rozmawiać do rana!

- Mój drogi! Przyjechałeś do Polski i odjedziesz stąd. Ja zostanę. Chcąc nie chcąc muszę zachować milczenie o moich sprawach. Pomijając wszystko, powtarzam mą ofertę: jeżeli przy wykonaniu swoich planów potrzebujesz pomocy, to możesz na mnie liczyć.

- Nie mówiłem nic o planach. Malwitz zachnął się.

- A ja nie przeprowadzam śledztwa! Przecież nie nalegam, abyś mi wyjawiał swoje sekrety.

- Nie irytuj się, Johannes!

- Stefan! - ostro poprawił go Malwitz i zaniepokojony spojrział wkoło. Parka w rogu była zajęta sobą. On, gestykulując, coś perswadował, dziewczyna słuchała z opuszczoną głową. Siedzący w pobliżu mężczyzna wolno sączył piwo z kufła. Nadal z wielką uwagą czytał gazetę, niekiedy marszczył brwi, to znów mruczał pod nosem.

- Proszę, nie podnoś głosu - powiedział Meyer. - Nasze sprawy nikogo nic nie obchodzą.

Malwitz nalał resztę wódki do kieliszków.

- Wiesz co, może przejdziemy do mojego mieszkania - zaproponował. - Tam napijemy się kawy. Po drodze zadecydujesz, czy jestem godny twego zaufania.

- Nie przesadzaj z tym zaufaniem. Więc dobrze, mam czas do siódmej. Chodźmy!

Po drodze, lekko podchmieleni, prowadzili ożywioną rozmowę. Meyer wyłuskiwał z pamięci epizody swoich przygód miłosnych. Malwitz wydawał się szczerze ubawiony.

Przechodząc obok bloków mieszkalnych, na ulicy Kościuszki, gość z Zachodu splunął na chodnik.

- Koszary! Gdzie nie spojrzeć - koszary! Co oni zrobili z naszego Breslau! Kiedyś każdy budynek miał swoje indywidualne cechy, widziałeś okazałe gmachy i stare rudery, zabytkowe domy, pałace i nowoczesne elewacje, a teraz? Jednostajność, szablon, całkowity brak pomysłowości!

Malwitz wzruszył ramionami.

- Tak, z dawnego miasta niewiele zostało.

Przeszli ulicę Kołłątaja, na której o tej porze panował dość duży ruch.

- Wspomniałeś przedtem, że twoje dochody są przeciętne - powiedział Meyer. - Nie orientuję się w waszych możliwościach zarobkowania. Czy twoja pensja wystarcza na komfortowe życie?

- Pojęcie komfortu jest zależne od wymogów jednostki. Jako stary kawaler nie mam zbyt wielu pragnień. Prowadzę życie dostatecznie wygodne.

- Czy twoja Zosia wie, co robiłaś podczas wojny?

- Nie opowiedziałem jej szczegółów. A ty, Willi, dlaczego się nie ożeniłeś?

- Ja? Nie bądź śmieszny! Zbyt wiele jest miłych kobiet, aby łącząc się z jedną, rezygnować z innych okazji. Uważam, że każda kobieta powinna mieć męża, ale... mężczyźni nie powinni się żenić!

Malwitz wyglądał na ubawionego tą odpowiedzią.

- Przebywałeś stale w Hamburgu? - spytał. - Wspomniałeś o swej pracy w towarzystwie eksportowym.

- Nie, ostatnio tam nie mieszkam. Pracę także zmieniłem. Podróżuję z miejsca na miejsce.

Gdy minęli ulicę Dworcową, Meyer zerkając z boku na Malwiza, powiedział jakby do siebie:

- Sądzę, że przydałoby wam się trochę dodatkowego grosza?

- Nie przeczę - odparł Malwitz, zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem. - Znasz możliwości zdobycia forsy?

- Możliwości jest wiele, trzeba umieć je wykorzystać.

- Jesteś bardzo tajemniczy.

- Ja również mam ku temu powody. Nie zwierzyłem się ze swoich sekretów, więc odpłacam pięknym za nadobne. Nigdy nie uwierzę, że wróciłeś do tego miasta i do tej pory w nim przebywałeś z jakiegoś sentymentu. Ludzie naszego pokroju nie prowadzą gry o małe

stawki. Mieszkając tutaj, igrasz z ogniem. U Polaków na pewno jesteś w pierwszej dziesiątce na liście poszukiwanych przestępców wojennych”. - Skrzywił się przy ostatnich słowach.

- Toteż, skoro zachowuję milczenie, czynię tak z uzasadnionych przyczyn.

- Wiem, wiem! Daleko jeszcze?

- Parę kroków. Teraz skręcamy w lewo.

Malwitz mieszkał w dawnej kamienicy czynszowej. W skąpo oświetlonej sieni czuć było zapach kapusty. Gdzieś piskliwie krzychało niemowlę. Wydeptanymi schodami weszli na drugie piętro. Gdy Malwitz wkładał klucz do zamka, Meyer przeczytał nazwisko na przybitej do drzwi wizytówce.

- Ładnie się teraz nazywasz. Johannes Malwitz umarł - niech żyje Stefan Lipiński! - powiedział z sarkazmem.

- Cel uświęca środki, mój drogi.

Puszczając gościa przodem, przekręcił włącznik.

- Proszę, wejdz. O, Zosi jeszcze nie ma! - stwierdził rozczarowany. - No cóż, póki nie przyjdzie, porozmawiamy sobie w spokoju.

Otworzył jedne z drzwi.

- Zdejmij płaszcz, Willi! Wejdz do pokoju, ja nastawię wodę na kawę.

Meyer powiesił płaszcz na haku i zabierając walizkę z sobą, z zacięciem rozejrzał się wkoło.

- Tak myślałem - bąknął pod nosem. - Nie przelewa się wam, kamerad Malwitz vel Lipiński. Albo - dodał po namyśle - takie przed światem utrzymujecie pozory.

Urządzenie mieszkania było isticie spartańskie: stół, cztery krzesła, tapczan, nad nim kinkiet, dalej dwie reprodukcje obrazów Goyi, regał, którego górną, oszkloną część zajmowały książki.

Przybysz zerknął na tytuły: dzieła Goethego, Tomasza Manna, Pleviera, trylogia Kirsta...

- Kawa zaraz będzie - Malwitz wszedł do pokoju i ręką dotknął pieca. - Jeszcze ciepły - stwierdził. Siadajże, proszę. Rozgość się! Jak widzisz, moje lokum jest skromne, ale jak na warunki wrocławskie całkiem zadowolające.

Gdy zapalili papierosy, Meyer przechylił się z krzesłem do tyłu i powiedział:

- Słuchaj, Johannes. Rozważyłem wszystkie pro i contra. Sądzę, że mogę ci zaufać. Jeżeli chcesz, to możesz wziąć udział w przeprowadzeniu pewnego interesu.

- Słucham.

- Bardzo się zdziwiłem spotykając ciebie we Wrocławiu. Wyjaśnię ci, dlaczego. - Meyer mówił szybko, jakby po ich poprzedniej, jałowej rozmowie teraz chciał jak najprędzej dojść do sedna sprawy. - Wtedy, w czterdziestym piątym roku, było nas pięciu: porucznik Hildebrandt, Hanneman, Tkatschyk, Herman i ja. Tkatschyk, urodzony w Katowicach, wrócił do rodziny, coś tam studiował i w pięćdziesiątym drugim roku przyjechał do Wrocławia, gdzie mieszka do tej pory. Herman pochodzi z Poznania. Dwa lata spędził w obozie jenieckim koło Berlina i po rehabilitacji wrócił na Śląsk. Mieszka razem z rodzicami niedaleko Brzegu, ale tutaj ma dziewczynę i częściej przebywa u niej niż w domu. Rozumiesz więc, dlaczego byłem zdziwiony spotykając we Wrocławiu jeszcze jedną osobę z tamtych lat.

- Więc to z nimi chciałeś się zobaczyć? Przecież z tego nie trzeba robić tajemnicy!

- Nie zapominaj, że należeliśmy do organizacji, którą tutaj uważa się za „zbrodniczą”. Zresztą nie w tym rzecz. Czy sądzisz, że przyjechałem tylko po to, by zobaczyć beznamytną twarz Tkatschyka i pogawędzić z Hermanem? Nie mój drogi!

W tym momencie rozległ się cichy gwizdek. Meyer zaniepokojony spojrział na drzwi.

- Woda gotuje się w czajniku - powiedział Malwitz wstając. - Przepraszam cię na chwilę. Pijesz czarną czy z mlekiem?

- Mocną czarną.

- Dobrze, zaraz wrócę.

Na małym stoliku przy tapczanie Meyer dostrzegł opartą o budzik fotografię. Wstał i podszedł do tapczanu. Zdjęcie przedstawiało zgrabną dziewczynę z miłą, uśmiechniętą twarzą i jasnymi, czesanymi na grzywkę włosami. Odwrócił fotografię. Na odwrocie napisano dwa słowa: Stefkowi - Zosia i datę: maj 1961. Postawiwszy zdjęcie na miejsce, znowu usiadł przy stole.

Malwitz niebawem wrócił do pokoju. Z tacy zdjął dwie szklanki przykryte spodeczkami.

- Niech naciągnie - powiedział. - Dziwię się, dlaczego Zosi jeszcze nie ma. Pewnie została dłużej w biurze, często mają nadprogramowe zajęcia. Proszę, mów dalej. Zatem, jak się słusznie domyślałem, nie przyjechałeś tu po to tylko, by odwiedzić starych znajomych...

Meyer przytaknął.

- A więc słuchaj uważnie, Johannes. Przed wyjazdem z Friedenthal porucznik Hildebrandt otrzymał sporą sumę pieniędzy w banknotach niemieckich, radzieckich i amerykańskich. Dowództwo liczyło się z możliwością, że poszczególne grupy Wehrwolf zostaną odcięte i na zapleczu nieprzyjaciela - bez względu na przebieg działań wojennych - nadal będą prowadziły akcję. Przewidując trudności lub niemożliwość kontaktowania się z

kwaterą główną, powierzono nam broń, dostateczną ilość amunicji, różne dokumenty i, jak powiedziałem, pieniądze. Po śmierci Hannemana i wypadku Hildebrandta przejąłem dowództwo nad grupą. Wkrótce jednak doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu narażać się dla sprawy i tak przesądzonej na naszą niekorzyść. Tkatschik i Herman spakowali manele i poszli swoimi drogami, ja starannie ukryłem skrzynkę z pistoletami i pieniędzmi, a następnie powędrowałem na zachód. Nigdy o tych dolarach nie zapomniałem. Jednak sposobność odzyskania pieniędzy nadarzyła się dopiero obecnie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinny znajdować się tam, gdzie je schowałem. Jedyłą trudność stanowi problem wydobycia ich. Nie mogę zrobić tego sam. Konieczna jest pomoc co najmniej dwóch osób. Wiedząc o tym, skontaktowałem się w ciągu ostatnich miesięcy z Tkatschikiem, a on odnalazł Hermana. Sądzę, że są oni najbardziej odpowiednimi osobami do przeprowadzenia tej akcji i na pewno nie będą mieli poważniejszych obiekcji. Jeżeli chcesz, przyłącz się do nas. O ile wszystko się powiedzie, wezmę pięćdziesiąt procent, a resztę podzielicie między siebie. Zgadzasz się?

Malwitz bezradnie rozłożył ręce.

- Jestem zaskoczony. Nie wiem, co powiedzieć.

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Trzeba pomyśleć, zastanowić się... Czeka! - zawołał. - Mam gdzieś odrobinę wódki.

Przepraszam!

Wyszedł do kuchni i po chwili wrócił z butelką i kieliszkami. Meyer obserwował go spod oka.

- Jest późno - powiedział. - Za pół godziny spotkam się z tymi dwoma. Chciałbym, abyś się do tego czasu zdecydował. - Malwitz napełnił kieliszek i jeden z nich podał gościowi.

- Te pieniądze są we Wrocławiu? - spytał.

- Tak, w domu, który podczas wojny nie został zniszczony i do tej pory jest zamieszkiwany.

- Ile tego jest?

- Najwięcej było marek, lecz te straciły wartość. Poza tym ruble i dolary. Ruble, po niedawnej reformie, także nadają się tylko do tapetowania ścian.

- Ile dolarów?

- Sporo. Opłaci się, wierz mi.

Malwitz zrobił grymas, lecz nie nalegał.

- Czy Tkatschik i Herman już się zgodzili? - spytał.

- Jeszcze z nimi nie rozmawiałem.

- Kiedy zamierzasz te pieniądze wydobyć?

- Na obserwację domu potrzebne będą dwa dni. Sądzę, że w piątek lub sobotę wieczór.

- Oho, nie tracisz czasu!

- Bo nie mam go za wiele. No, co postanowiłeś? Były gestapowiec jeszcze nie powziął decyzji i nerwowo bębnił palcami po stole.

- Bardzo ponętna propozycja, doprawdy... Przy drzwiach rozległ się dzwonek.

- Na pewno Zosia. Przepraszam - powiedział. Malwitz, wychodząc.

Meyer szybko wyjął grzebień z kieszeni i przyczesał czuprynę, potem poprawił krawat i wyprostował się. Z przedpokoju dobiegł go kobiecy głos.

- Nie gniewaj się, kochany! Znow szukaliśmy błędu w rozliczeniach. O, czyj to płaszcz? Masz gościa?

- Tak, mój dawny znajomy przyjechał z NRF. Daj płaszcz i wejdz, proszę.

Narieczona Malwitza liczyła około trzydziestu lat. Była wysoka i dobrze zbudowana, czyniła wrażenie energicznej, wysportowanej osoby. Miała blond włosy, kształtne, skore do uśmiechu usta i bystre oczy. Badawczo spojrzała na Meyera.

- Pozwólcie, przedstawię - rzekł Malwitz. - Willi Meyer, panna Zofia Kubicka.

- Miło mi panią poznać. Stefan opowiadał o pani.

- Przede mną całkiem zataił pańskie istnienie - powiedziała żartobliwie. - Proszę, usiądźcie. Na pewno przerwałam wątek wspomnień w rodzaju: pamiętasz tego... a wiesz, co się stało z... czy przypominasz sobie?...

- Nie, - nie! - zawołał Meyer. - Zналиśmy się zbyt krótko.

- Jeżeli nie przeszkadzam, to może zjemy razem kolację? Po drodze kupiłam białą kiełbasę. Lubi pan?

- Lubię, lecz obawiam się, że na kolację nie będę mógł zostać. Umówiłem się ze znajomymi, będą na mnie czekali.

- Szkoda. Może wpadnie pan później?

- Nasza rozmowa prawdopodobnie przeciągnie się do późnej nocy. Bardzo żałuję.

Obserwując jej ożywioną, wesołą twarz, dziwił się, dlaczego przyszłego męża upatrzyła sobie w mężczyźnie, który przedstawiał zupełnie odmienny typ człowieka, był poważny, stateczny, może nawet flegmatyczny. Spojrzał na Malwitza.

- Pójdiesz ze mną, Stefan?

Rozumiejąc, że Willi domaga się odpowiedzi na poprzednie pytanie, dotyczące udziału w planowanej akcji, Malwitz przytaknął.

- Oczywiście - odparł. - Przepraszam cię, Zosiu, zostaniesz sama przez parę godzin. Niestety, nie możemy cię tam zabrać, ponieważ jest to wyłącznie męski wieczór.

Młoda kobieta zrobiła rozczarowaną minę i machinalnie zaczęła kręcić kosmyk włosów. Zerkając na butelkę wódki, spytała z cierpkim uśmiechem:

- Jak widzę, już zrobiliście próbę, co? Trudno, idźcie sobie. Kiedy wrócisz, Stef?

- Przypuszczalnie za dwie godziny. Naprawdę tak się złożyło, Zosiu.

- Dobrze, zaczekam do dziesiątej. - Zwracając się do Meyera, powiedziała: - Szkoda, że nie może pan zostać, porozmawialibyśmy o zagranicy. Życie tam jest na pewno o wiele ciekawsze niż u nas.

- Bez wątpienia! - entuzjastycznie zawołał Meyer. - Nie miałem czasu na zwiedzenie Wrocławia, lecz to, co widziałem, nie dało mi o nim dobrego wyobrażenia. Gdyby pani mogła zobaczyć Hamburg albo Frankfurt! Nasze wystawy, samochody, kabarety!

- Pan pewnie też ma samochód?

- Nie. Wydaję pieniądze tak szybko, jak je zarabiam. Spojrzał na zegarek. Wstał.

- Przepraszam, nie chciałbym się spóźnić.

- Odwiedzi pan nas jutro? - spytała.

- Przyjdę bardzo chętnie, lecz dużo zależy od przebiegu dzisiejszego wieczoru.

Umówię się ze Stefanem.

Włożył płaszcz.

- A więc do widzenia! Dziękuję za miłe przyjęcie.

- Pa, kochanie! Gdybym nie wrócił punktualnie o dziesiątej, proszę, nie alarmuj milicji ani pogotowia.

- Nie, ale o północy na wszelki wypadek zadzwonię do Izby Wytrzeźwień - odcięła się."

Deszcz przestał padać, płyty chodnika zdążyły już nieco obeschnąć. Powietrze było chłodne, rześkie.

- Dokąd idziemy? - spytał Malwitz.

- Na ulicę Dubois, tam mieszka Tkatschyk. On też zmienił nazwisko. Dawniej podpisywał się te-es-ce-ha, teraz ce-zet. Czy to daleko?

- Ulica Dubois? Nie, z dworca dojedziemy tam „zerem”.

Po chwili Meyer powiedział:

- Masz zgrabną dziewczynę, Johannes.

- Zosia ma wiele zalet.

- Nie wątpię! Z pewnością jest bardzo namiętna, co? W twarzy Malwitza coś drgnęło!

- Wybacz, Willi, lecz nie chciałbym o tym dyskutować. Przekroczyłem czterdziestkę, w tym wieku ożenek bierze się bardzo poważnie.

- Nie miałem zamiaru cię urazić!

- W porządku. Zapomnijmy o tym.

Doszli do przystanku przed Dworcem Głównym. Właśnie nadjeżdżało „zero”. W tramwaju Meyer zdziwiony stwierdził: spakowali manele i poszli swoimi drogami, ja starannie ukryłem skrzynkę z pistoletami i pieniędzmi, a następnie powędrowałem na zachód. Nigdy o tych dolarach nie zapomniałem. Jednak sposobność odzyskania pieniędzy nadarzyła się dopiero obecnie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinny znajdować się tam, gdzie je schowałem. Jediną trudność stanowi problem wydobywania ich. Nie mogę zrobić tego sam. Konieczna jest pomoc co najmniej dwóch osób. Wiedząc o tym, skontaktowałem się w ciągu ostatnich miesięcy z Tkatschykiem, a on odnalazł Hermana. Sądzę, że są oni najbardziej odpowiednimi osobami do przeprowadzenia tej akcji i na pewno nie będą mieli poważniejszych obiekcji. Jeżeli chcesz, przyłącz się do nas. O ile wszystko się powiedzie, wezmę pięćdziesiąt procent, a resztę podzielicie między siebie. Zgadzasz się?

Malwitz bezradnie rozłożył ręce.

- Jestem zaskoczony. Nie wiem, co powiedzieć. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Trzeba pomyśleć, zastanowić się... Czeka! - zawołał. - Mam gdzieś odrobinę wódki. Przepraszam!

Wyszedł do kuchni i po chwili wrócił z butelką i kieliszkami. Meyer obserwował go spod oka.

- Jest późno - powiedział. - Za pół godziny spotkam się z tymi dwoma. Chciałbym, abyś się do tego czasu zdecydował. - Malwitz napełnił kieliszek i jeden z nich podał gościowi.

- Te pieniądze są we Wrocławiu, - prawda? - spytał.

- Tak, w domu, który podczas wojny nie został zniszczony i do tej pory jest zamieszkiwany.

- Ile tego jest?

- Najwięcej było marek, lecz te straciły wartość. Poza tym ruble i dolary. Ruble, po niedawnej reformie, także nadają się tylko do tapetowania ścian.

- Ile dolarów?

- Sporo. Opłaci się, wierz mi.

Malwitz zrobił grymas, lecz nie nalegał.

- Czy Tkatschik i Herman już się zgodzili? - spytał. - Jeszcze z nimi nie rozmawiałem.

- Kiedy zamierzasz te pieniądze wydobyć?

- Na obserwację domu potrzebne będą dwa dni. Sądzę, że w piątek lub sobotę wieczór.

- Oho, nie tracisz czasu!

- Bo nie mam go za wiele. No, co postanowiłeś?

Były gestapowiec jeszcze nie powziął decyzji i nerwowo bębnił palcami po stole.

- Bardzo ponętna propozycja, doprawdy... Przy drzwiach rozległ się dzwonek.

- Na pewno Zosia. Przepraszam - powiedział. Malwitz, wychodząc.

Meyer szybko wyjął grzebień z kieszeni i przyczesał czuprynę, potem poprawił krawat i wyprostował się. Z przedpokoju dobiegł go kobiecy głos.

- Nie gniewaj się, kochany! Znow szukaliśmy błędu w rozliczeniach. O, czyj to płaszcz? Masz gościa?

- Tak, mój dawny znajomy przyjechał z NRF. Daj płaszcz i wejdz, proszę.

Narieczona Malwitza liczyła około trzydziestu lat. Była wysoka i dobrze zbudowana, czyniła wrażenie energicznej, wysportowanej osoby. Miała blond włosy, kształtne, skore do uśmiechu usta i bystre oczy. Badawczo spojrzała na Meyera.

- Pozwólcie, przedstawię - rzekł Malwitz. - Willi Meyer, panna Zofia Kubicka.

- Miło mi panią poznać. Stefan opowiadał o pani.

- Przede mną całkiem zataił pańskie istnienie - powiedziała żartobliwie. - Proszę, usiądźcie. Na pewno przerwałam wątek wspomnień w rodzaju: pamiętasz tego... a wiesz, co się stało z... czy przypominasz sobie?...

- Nie,- nie! - zawołał Meyer. - Znaliśmy się zbyt krótko.

- Jeżeli nie przeszkadzam, to może zjemy razem kolację? Po drodze kupiłam białą kiełbasę. Lubi pan?

- Lubię, lecz obawiam się, że na kolację nie będę mógł zostać. Umówiłem się ze znajomymi, będą na mnie czekali.

- Szkoda. Może wpadnie pan później?

- Nasza rozmowa prawdopodobnie przeciągnie się do późnej nocy. Bardzo żałuję.

Obserwując jej ożywioną, wesołą twarz, dziwił się, dlaczego przysłego męża upatrzyła sobie w mężczyźnie, który przedstawiał zupełnie odmienny typ człowieka, był poważny, stateczny, może nawet flegmatyczny. Spojrzał na Malwitza.

- Pójdiesz ze mną, Stefan?

Rozumiejąc, że Willi domaga się odpowiedzi na poprzednie pytanie, dotyczące udziału w planowanej akcji, Malwitz przytaknął.

- Oczywiście - odparł. - Przepraszam cię, Zosiu, zostaniesz sama przez parę godzin. Niestety, nie możemy cię tam zabrać, ponieważ jest to wyłącznie męski wieczór.

Młoda kobieta zrobiła rozczarowaną minę i machinalnie zaczęła kręcić kosmyk włosów. Zerkając na butelkę wódki, spytała z cierpkim uśmiechem:

- Jak widzę, już zrobiliście próbę, co? Trudno, idźcie sobie. Kiedy wrócisz, Stef?

- Przypuszczalnie za dwie godziny. Naprawdę tak się złożyło, Zosiu.

- Dobrze, zaczekam do dziesiątej. - Zwracając się do Meyera, powiedziała: - Szkoda, że nie może pan zostać, porozmawialibyśmy o zagranicy. Życie tam jest na pewno o wiele ciekawsze niż u nas.

- Bez wątplenia! - entuzjastycznie zawołał Meyer. - Nie miałem czasu na zwiedzenie Wrocławia, lecz to, co widziałem, nie dało mi o nim dobrego wyobrażenia. Gdyby pani mogła zobaczyć Hamburg albo Frankfurt! Nasze wystawy, samochody, kabarety!

- Pan pewnie też ma samochód?

- Nie. Wydaję pieniądze tak szybko, jak je zarabiam. Spojrzał na zegarek. Wstał.

- Przepraszam, nie chciałbym się spóźnić.

- Odwiedzi pan nas jutro? - spytała.

- Przyjdę bardzo chętnie, lecz dużo zależy od przebiegu dzisiejszego wieczoru.

Umówię się ze Stefanem.

Włożył płaszcz.

- A więc do widzenia! Dziękuję za miłe przyjęcie.

- Pa, kochanie! Gdybym nie wrócił punktualnie o dziesiątej, proszę, nie alarmuj milicji ani pogotowia.

- Nie, ale o północy na wszelki wypadek zadzwonię do Izby Wytrzeźwień - odcięła się.

Deszcz przestał padać, płyty chodnika zdążyły już nieco obeschnąć. Powietrze było chłodne, rześkie.

- Dokąd idziemy? - spytał Malwitz.

- Na ulicę Dubois, tam mieszka Tkatschik. On też zmienił nazwisko. Dawniej podpisywał się te-es-ce-ha, teraz ce-zet. Czy to daleko?

- Ulica Dubois? Nie, z dworca dojedziemy tam „zerem”.

Po chwili Meyer powiedział:

- Masz zgrabną dziewczynę, Johannes.

- Zosia ma wiele zalet.

- Nie wątpię! Z pewnością jest bardzo namiętna, co? W twarzy Malwitza coś drgnęło!

- Wybacz, Willi, lecz nie chciałbym o tym dyskutować. Przekroczyłem czterdziestkę, w tym wieku ożenek bierze się bardzo poważnie.

- Nie miałem zamiaru cię urazić!

- W porządku. Zapomnijmy o tym.

Doszli do przystanku przed Dworcem Głównym. Właśnie nadjeżdżało „zero”. W tramwaju Meyer zdziwiony stwierdził:

- U was konduktorzy siedzą? Niebywałe!

- Też ludzie - obojętnie odparł Malwitz, przepychając się na przedni pomost.

- Sprzedawcy, dyrygenci, listonosze także są ludźmi, a przy pracy nie siedzą. Śmieszny kraj! Niewątpliwie przyzwyczaiłeś się do tych dziwactw?

- Nie widzę sensu w utyskiwaniu.

- Jesteś apatyczny, mój drogi. Kto wie, może byłbym taki sam po szesnastoletnim pobycie tutaj?

Na ulicy Dubois Malwitz zwrócił się do Meyera:

- Chciałbym, abys przed nimi nie ujawniał, kim byłem. Nic to nie wniesie do sprawy, a w przyszłości może stać się dla mnie uciążliwe.

- Więc jak ciebie przedstawić? Czy mam powiedzieć, że także przyjechałeś z Niemiec?

- Nic podobnego! Przedstawisz mnie po prostu jako Stefana Lipińskiego, bez komentarzy i wyjaśnień. Po skończonej akcji każdy z nas pójdzie własną drogą.

- Hm, jeżeli ci tak bardzo na tym zależy... Zatrzymując się wyjął z kieszeni latarkę i oświetlił numer domu.

- Tkaczyk pisał, że mieszka parę metrów od przystanku na Dubois, jadąc z miasta - powiedział.

Uszli kilka kroków.

- Słuchaj, Stefan, nie pomyśleliśmy o jednej rzeczy: co powie twoja narzeczona, gdy zobaczy, że masz dolary?

- Zmyślę jakąś wiarygodną historię.

- Nie masz zaufania do niej?

- Raczej tak, lecz z zasady wolę nie mówić za dużo. Meyer znów spojrzał na numer nad bramą.

- Jesteśmy. - Rzucił okiem na zegarek. - Późno. Tkaczyk na pewno się niecierpliwi. Rozmawiałem z nim telefonicznie dziś rano i umówiłem się na szóstą.

*

W tym samym czasie kiedy Meyer i Malwitz szli z wizytą do Tkaczyka, w jednym z biur Reinharda Gehlena toczyła się rozmowa dotycząca wrocławskich wydarzeń.

Gehlen był podczas wojny szefem sekcji Abwehry na froncie wschodnim. Po zakończeniu działań wojennych oddał się w ręce władz amerykańskich i zaproponował im swe usługi. Amerykanie przyjęli propozycję i wyznaczyli Gehlenowi oraz jego oficerom tymczasową kwaterę koło Frankfurtu. Stamtąd prowadził Gehlen akcję wywiadowczą przeciwko NRD i państwom wschodnim. W 1955 roku biura Gehlena przeniesiono do Pultach, miejscowości odległej o pięć kilometrów od Monachium.

Kwaterna szefa niemieckiego wywiadu otoczona jest trzymetrowym murem. Stalowych, elektrycznie otwieranych bram strzegą uzbrojeni po zęby wartownicy. Dom, w którym mieszka i urzęduje Der Doktor - jak tytułują Gehlena - oddzielony jest od reszty zabudowań wysoką stalową siatką i dodatkowo strzeżony przez wybranych ludzi.

W licznych budynkach i barakach urzędują szefowie poszczególnych sekcji wywiadowczych, trzymający w ręku nici sieci rozpiętej w całej Europie.

Tej listopadowej nocy Meinecke - mężczyzna o kościstej twarzy, wysokim czole i bystrych oczach, pełniący funkcję szefa wydziału „West Polen” - kończył długą dyskusję z kierownikiem personalnym, Wernerem Wilxenem. - Winkiel nie będzie miał kłopotu z Hermanem - mówił Meinecke. - Podobno jest to typ „wiecznego szczeniaka”. Niezawodnie znęci go dolar.

Wilxen milcząco skinął głową i zanotował coś na papierze.

- Tkaczyk, jak mówiłem, różni się od niego diametralnie - kontynuował Meinecke. - Z jego listów wynika, że się „ustabilizował” - powiedział z ironią. - Dorobkiewicz... Pułapem jego pragnień jest jakiś tytuł, reprezentacyjna żona i samochód. Osiągnięcia te zadowolają go, niczego więcej nie chce od życia. Jednak sądzę, że

Winkiel sobie z nim poradzi. Omówiliśmy wytyczne postępowania. Jeżeli Tkaczyk okaże się oporny... - Meinecke nie dokończył myśli. - Preparowaliśmy go, wysyłając mu paczki - podjął po chwili. - Jest także kilka spraw związanych z jego przeszłością, które odpowiednio przez Winkla użyte, mogą stanowić decydujący argument. Zresztą Winkiel jest sprytny...

Wilxen znów skinął głową na znak, że zgadza się z tą opinią.

- Jest jednym z naszych najlepszych ludzi - powiedział z odcieniem dumy. - Od tygodni ćwiczył dykcję, czytał na głos polskie książki i prasę, studiował zarządzenia i przepisy.

- Tak, tak! - Meinecke niecierpliwie zmarszczył brwi. - Ma natomiast jedną dużą wadę: jest zachłanny na pieniądze.

- Słusznie, ale z dwójga złego lepsze to niż ideologiczne zaślepienie. Materialiści są bardziej wyrafinowani i w zasadzie kierują się rozsądkiem.

Spojrzał na zegarek.

- Już późno - stwierdził. - Czy „rezydent” otrzymał zawiadomienie?

- Oczywiście.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, potem odeszli do swych kwater, przekonani, że w omawianej sprawie nie pominięto żadnej drobnostki, która mogłaby spowodować niepowodzenie misji.

*

Meyer nacisnął dzwonek do mieszkania Tkaczyków. Natychmiast otworzono drzwi.

- Willi! Jak się masz, stary! Strasznie się cieszę... Już się nie mogliśmy doczekać. No, no, wyglądasz doskonale, nic się nie zmieniłeś!

Tkaczyk - niski, tęgi osobnik o okrągłej twarzy, nieco za dużym nosie i pełnych wargach - sprawiał wrażenie człowieka zrównoważonego i dobrodusznego.

Z pokoju wyszedł drugi mężczyzna, który również serdecznie przywitał przybysza. Meyer odwrócił się i przedstawił byłego gestapowca:

- Pozwólcie - Stefan Lipiński, a to jest Albert Tkaczyk i Heinrich Herman.

- Henryk Herman - poprawił z uśmiechem zażenowania przystojny brunet w czarnym swetrze. Okulary w ciemnej oprawie nadawały mu poważny wygląd, lecz w twarzy było coś przebiegłego, a usta układały się w osobliwie ironiczny grymas.

- Proszę, zdejmijcie płaszcze! - powiedział gospodarz. - Czekaliśmy niecierpliwie...

- Spóźniłem się - powiedział Meyer. - Przepraszam, jest tyle spraw do załatwienia.

Tkaczyk szeroko otworzył drzwi i zaprosił gości do pokoju.

- Przyszedł Willi, Elżbieto, i jego znajomy, pan Lipiński. To jest moja żona.

Elżbieta Tkaczyk była średniego wzrostu, postawna, o powolnych, jakby sennych ruchach. Typem urody przypominała Włoszkę, miała śniadą cerę, gęste, prawie czarne włosy. Duże oczy, regularne, łagodne rysy twarzy i pięknie wykrojone łuki warg świadczyły, że jako młoda dziewczyna musiała być wyjątkowo ładna.

Rozmawiając o wszystkim i o niczym, jak zwykle w pierwszych chwilach po długim niewidzeniu się, zajęli miejsca przy stole. Pokój urządzone dostatnio, ze smakiem. Zwisająca od sufitu do ziemi kotara zakrywała okno i większą część ściany, w rogu stał duży telewizor.

Rzucając ukradkowe i nieufne spojrzenia na Malwitza, Tkaczyk wypytywał Meyera o wrażenia po przyjeździe do Polski. Choć każdy z obecnych starał się wprowadzić swobodny nastrój, rozmowa jakoś nie kleiła się. Dopiero gdy pani domu na chwilę wyszła do kuchni, Meyer szybko wyjaśnił:

- Stefan Lipiński jest moim bardzo dobrym znajomym. Możecie mu ufać, tak jak mnie. Nie mam przed nim tajemnic. Poniekąd zna naszą przeszłość. Proszę, nie pytajcie o dalsze szczegóły.

Wyjaśnienie Meyera od razu zmieniło nastrój.

- Skoro sprawa tak wygląda, to jest pan szczególnie miłym gościem - powiedział Tkaczyk. - Proszę darować naszą dotychczasową wstrzeźliwość, nie mieliśmy pojęcia, jak się wobec pana zachować.

- Twoja żona zaraz wróci? - spytał Meyer.

- Tak, Elżbieta przyniesie nam coś do jedzenia, później poproszę ją, by zostawiła nas samych. Wtedy spokojnie porozmawiamy. Jesteśmy ciekawi, co... - przerwał słysząc kroki żony.

Nakrywszy stół białym obrusem, pani Tkaczyk postawiła przed gośćmi półmiski i talerze z sałatką, wędlinami, rybami, serem i chlebem. Gospodarz przyniósł wódkę, wino i dwie butelki likieru.

- Czy państwo zawsze tak wystawnie przyjmujecie gości? - spytał Meyer, oglądając sutą zastawę.

- Chcieliśmy godnie przywitać gościa z zagranicy - powiedziała pani domu. - Aby pamiętał nasz kraj jak najlepiej! Proszę, częstujcie się.

Tylko Malwitz zauważył nieznaczny grymas Meyera. Herman, z przesadną wytwornością w ruchach, skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

Tkaczyk napełnił kieliszki i nadal zarzucał gościa pytaniami o warunki bytu i o życie w Niemczech. Meyer z ożywieniem opowiadał o „cudach” zachodniego kraju.

Bufonada gościa, choć bawiła Hermana i nie wywierała widocznego wrażenia na Malwitu, po jakimś czasie zaczęła irytować Tkaczyków. Wszyscy cierpliwie słuchali tyrady Niemca i od czasu do czasu przepijali to zdrowie gości, to znów gospodarzy.

Po godzinie dwudziestej Tkaczyk porozumiewawczo mrugnął do żony.

- Sądzę, panowie, że chętnie zostaniecie sami - powiedziała wstając.

- Nic podobnego! - oponował Herman, który po kilku wódkach wcale nie krył zainteresowania powabną gospodynią. - Jeżeli pani nas opuści, prysnie miły nastrój.

Proszę jeszcze zostać!

- Nie, nie! - odparła z uśmiechem. - Po tylu latach na pewno macie do omówienia sprawy, które tylko was dotyczą.

Zwróciła się do męża:

- Położę się na kilka minut, Bert. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, proszę zawołaj mnie. Przepraszam.

Odprowadzona spojrzzeniami, wolno zamknęła za sobą drzwi.

- Nareszcie! - westchnął Tkaczyk, znowu napełniając kieliszki. - Uśmiechnął się do Meyera. - Wiesz, Willi, od momentu, kiedy otrzymałem twój ostatni list, żyję w ciągłym oczekiwaniu jakiegoś rewelacyjnego wydarzenia. Pisałeś, że nigdy się z kolegami nie rozliczyłeś. Coś o długach wdzięczności...

- Zastanawialiśmy się, jak to zrozumieć - powiedział Herman, próbując puścić kółko dymu z papierosa.

- Listy? - zdziwił się Malwitz. - Czy to było rozsądne?

Meyer ociężale machnął ręką.

- Pisałem ostrożnie. Niepowołana osoba nic by się z tych listów nie dowiedziała. A więc słuchajcie, moi drodzy! - podniósł palec do góry. - Przyjechałem do was z radosną niespodzianką. Eine erfreuliche Überraschung, jawohl! - Głos był trochę niepewny. - Jak święty Mikołaj. Cha, cha! Chodzi o pieniądze, które w czterdziestym piątym roku otrzymaliśmy w Friedenthal. Wiedzieliście wtedy, że są, ale nie wiedzieliście, co się z nimi stało. Otóż te dolary - mówił pompatycznie - są tutaj, w tym mieście! - Przerwał, obserwując efekt swoich słów.

Tkaczyk zmarszczył brwi i czoło, lecz nic nie powiedział. Malwitz, odurzony nadmiarem alkoholu, walczył z sennością i błędnym wzrokiem wodził po obecnych. Herman przełknął ślinę.

- O to chodziło... - mruknął.

- Mam pewną propozycję - kontynuował Meyer. - Wspólnie wydobędziemy pieniądze ze skrytki i podzielimy je w następujący sposób: dla mnie pięćdziesiąt procent, dla was do podziału druga połowa.

- Czy jesteś pewien, że forsa jest tam, gdzie ją zostawiłeś? - spytał Herman, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

- Raczej tak. Zanim przystąpimy do właściwej akcji, przeprowadzimy dokładny rekonesans.

Tkaczyk wcale nie zdradzał zadowolenia.

- Sądzę, że sprawa nie jest pozbawiona ryzyka?

- Jakie ryzyko? - obruszył się Meyer. - Jeżeli będziemy ostrożni, to nic się nie stanie. Kindersviel! Nie zapominaj, że razem wyruszyliśmy z Friedenthal i razem powinniśmy tę sprawę zakończyć. Ale - dodał - żadnego z was nie będę zmuszał. Stefan zgodził się pójść ze mną. Ty, Heinrich, o ile cię znam, także nie odmówisz, nicht wahr?

- Przecież nie powiedziałem, że rezygnuję! - zawołał Tkaczyk. - Jednak chciałbym, abyś zrozumiał moje stanowisko. Przed szesnastu laty przekreśliłem przeszłość, starałem się zdobyć i utrzymać poważną pozycję. Mam bardzo dobrą posadę, komfortowe mieszkanie, zapewnioną przyszłość. Wszystko to mogę stracić przez jeden nieprzemysłany krok. Stąd moje wahanie.

Meyer skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

- Mensch! Co się z tobą stało? Przecież razem należeliśmy do...

- Najbardziej awanturniczej formacji tysiącletniej Rzeszy - dopomógł Herman zerkając na Malwita, który tępy, bezmyślnym wzrokiem wpatrywał się w karafkę z likierem. - Lecz to było strasznie dawno! Teraz nasz drogi Albert ma pokaźny brzusek, własny samochodek, wygodną pozycję i przytulną żoneczkę!

- Przestańcie! Czy nie można rozsądnie porozmawiać? Drwiny nie są potrzebne, a zarzuty bezpodstawne. Zgoda, pójdę z wami. Zamknijmy jałową dyskusję i zastanówmy się, co dalej.

- Chwileczkę! - zawołał Herman, wciąż przyglądając się Malwitzowi, który poddał się znużeniu i zwiesiwszy głowę zapadł w niespokojną drzemkę. - Przedstawiając nam pana Lipińskiego, Willi, poinformowałeś nas, że jest on twoim dobrym znajomym, przed którym me masz tajemnic. To brzmi pięknie, lecz czuję się skrępowany, nie wiedząc o tym nic więcej. Rozmawiamy o sprawach bardzo poufnych, nie mając pojęcia, kim on jest, skąd przybył i w ogóle, jaką gra rolę przy naszym trio.

- Prosiłem, abyś o szczegóły nie pytał - odparł Meyer niecierpliwie. - Znam go jeszcze z czterdziestego piątego roku. Sądzę, że to wystarczy.

Malwitz na chwilę odzyskał trzeźwość umysłu i gorliwie przytaknął.

- Dodam od siebie, że to ja prosiłem o dyskrecję - mówił przeciągając słowa. - Nie wiadomo, kiedy i gdzie się nasze drogi skrzyżują, wtedy lepiej będzie wiedzieć o sobie jak najmniej.

- No, dość tego gadania! - powiedział Meyer. - Bo posiedzimy tu do rana. - Ściszył głos. - O której godzinie ludzie wychodzą z pracy?

- Większość między szóstą a siódmą - powiedział Tkaczyk.

- Pisałeś, że masz wóz?

- Tak, Wartburga.

- W takim razie pojedę z tobą jutro o godzinie szóstej przed ten dom. Odtąd bez przerwy będziemy obserwowali, kto i o której godzinie stamtąd wychodzi lub wraca do domu. Musimy możliwie dokładnie poznać zwyczaje domowników. Będziemy zmieniali się co cztery godziny. Rano ty, Heinrich, dowiesz się, ile osób tam mieszka i gdzie pracują.

- Pójdę do biura meldunkowego.

- Tam nie dadzą ci żadnych informacji, jeżeli nie podasz nazwiska - zauważył Tkaczyk.

- Mogę pójść do administracji albo do sąsiadów.

- Myślę, że dasz sobie radę, ale bądź ostrożny - powiedział Meyer. - Po zdobyciu informacji zlużesz nas w samochodzie. Ty, Stefan... Hej, Stefan! Nie śpij!

- Wcale nie śpię... tylko oczy mnie pieką.

Tkaczyk wstał i otworzył okno. Do zadymionego pokoju wpadło orzeźwiające powietrze nocy. Malwitz głęboko odetchnął.

- Tak jest lepiej! O czym mówiłeś, Willi?

- Będziemy obserwowali dom od rana. Albert da nam swego Wartburga do dyspozycji. Ty, Stefan, przyjdiesz o dziesiątej, dobrze?

- Tak, oczywiście. Gdzie to w ogóle jest?

- Na Oporowie.

- Tam? Czy pomyślałeś, Willi, że ktoś może zwrócić uwagę na obcy samochód stojący przed tym domem? Zwłaszcza na Oporowie, gdzie każdy zna nie tylko wszystkie samochody należące do mieszkańców tej dzielnicy, ale nawet wie, kto i jak często jeździ taksówką, taki numer nie przejdzie.

- Będziemy zmieniali pozycję. Możemy obserwować dom z daleka albo zostawić wóz na innej ulicy i spacerować. Zresztą, długo to nie potrwa. W piątek, najpóźniej w sobotę będzie po wszystkim. - Ziewnął szeroko. - Uf, nie wyspałem się.

- Napijesz się kawy? - spytał Tkaczyk.

- O tak, chętnie! - zawołał Meyer.

Gdy gospodarz opuścił pokój, Herman zapalił papierosa i z krzesłem przysunął się do Meyera.

- Czy nie byłoby dobrze rozejrzeć się w tym domu, aby poznać rozkład pokoi, Willi? Gdyby przebrać się w kombinezon albo coś w tym rodzaju?

- O tym porozmawiamy jutro. Na razie zorientujemy się w okolicy. Plan domu pamiętam dość dobrze. Mieszkałem w nim przez kilka dni. Jest to nieduża willa, cztery pokoje na dole, izdebka na poddaszu. Jeżeli będzie możliwe - wydobędziemy skrzynkę bez rozgłosu. W przeciwnym razie...

Tkaczyk, stojący w progu, pokiwał głową z niezadowoleniem.

- Nie myślcie, że znowu stawiam nieuzasadnione obiekcje, ale w żadnym wypadku nie chciałbym, abyśmy użyli przemocy. Za kilka minut mielibyśmy milicję na karku!

Meyer zmrużył oczy.

- Słuchaj, Albert! - powiedział po niemiecku. - Ponieważ jestem odpowiedzialny za przebieg i wynik akcji, dołożę wszelkich starań, by odpowiednio się do niej przygotować, ale mimo to sprawa nie jest pozbawiona ryzyka - mówił z zadziwiającą trzeźwością. - Chociaż liczę się z ewentualnymi niespodziankami, nie mogę ich przewidzieć. Dlatego, Albert, nie wezmę ci za złe, jeżeli się wycofasz. Zastanów się dobrze i daj mi odpowiedź rano.

- Willi ma słuszość! - przytaknął Herman z ironicznym uśmiechem. - Od siebie dodam, iż żaden zysk nie wynagrodzi niebezpieczeństwa, na jakie się narażasz. Ponadto twoja Elżunia pewnie byłaby zgorzonna, gdyby wiedziała, że jej mężulek bawi się w gangstera! A co dopiero powiedzieliby koledzy z Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego widząc ciebie z czarną maską na twarzy i z pistoletem w ręku?

- Pleciesz bez sensu! - uniósł się Tkaczyk. - Zawsze byłeś nieprzyjemnie arogancki!

Herman odsunął krzesło.

- Prawda w oczy kole? Po co,?”

- Halfs Maul, Heinrich! - zawołał Meyer. - Tylko bez awantur!

- Jeżeli pan, panie Tkaczyk żywi jakieś obawy - spokojnie wtrącił Malwitz - to proszę nie uważać odmownej odpowiedzi za uchylanie się od obowiązku. Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że będziemy zadowoleni, jeżeli nasz udział się powiększy.

Tkaczyk, wielce zafrasowany, bezradnym ruchem rozłożył ramiona.

- Nie wiem, co powiedzieć...

- Masz czas do rana - powtórzył Meyer, odsuwając pusty kieliszek.

Malwitz spojrział na zegarek.

- Już późno. Czy zostało jeszcze coś do omówienia, Willi?

- Raczej nie. Dużo będzie zależało od jutrzejszych obserwacji i informacji. Dokładny plan działania ustalimy pojutrze wieczór.

- Załatwiłeś nocleg, Willi?

- Zostaniesz U nas, prawda? - powiedział Tkaczyk, gorliwością w głosie starając się umniejszyć ujemne wrażenie, jakie wywołał poprzednim brakiem zdecydowania. - Przygotowaliśmy pokój dla ciebie. Zaraz napijemy się kawy, woda na pewno już się gotuje

- i Wprawdzie zarezerwowałem pokój w hotelu, lecz chętnie zanocuję u ciebie - skwapliwie zgodził się Meyer. - A kawę zrób taką jak smoła!

Po wypiciu dużej ilości alkoholu i wypaleniu niezliczonych papierosów głowa ciążyła mu coraz bardziej, był czerwony na twarzy, poruszał się niepewnie.

- A ty, Heinrich? - spytał Hermana, gdy Tkaczyk wyszedł do kuchni.

- Pójdę do swej babki. Nie Widziała mnie od tygodnia.

- Masz babcię we Wrocławiu? - zdziwił się Meyer.

- Cha, cha, cha! - zarechotał Herman. - Człowieku! Babkę, nie feabcję! U nas mówi się „babka” na dziewczyny.

- Ach so! No dobrze...

Malwitz wstał. Zwrócił się do Meyera:

- To wszystko na dziś, Willi?

Tak, jeszcze porozmawiamy jutro. Z tobą też, Heinrich. Teraz leć do swojej... babki.

Tkaczyk z dymiącym dzbankiem w ręku stanął w progu. Gdy odchodzący, tłumacząc się późną porą, podziękowali za kawę, odprowadził ich do drzwi. Żegnając się z Malwitzem, powiedział:

- i Henryk wskaże panu drogę, jeżeli pan nie zna Wrocławia.

- Z jego uwag o Oporowie wynika, że zna miasto lepiej od nas - mruknął Herman pod nosem.

Idąc opustoszałą ulicą, wśród ciemnych, trzypiętrowych domów, Herman powiedział do Malwitza:

- Bojaźliwy facet z tego Tkaczyka, co? Myślę, że Willi jeszcze weźmie go w obroty.

- Czy to ma sens? Z takimi ludźmi zawsze są kłopoty. Porozmawiam z Willim i spróbuję go przekonać, że Tkaczyka nie należy angażować do tej pracy. A pan? Nie ma pan żadnych skrupułów?

- Ja? Fi... robiło się gorsze rzeczy! Jednostajność jest dla mnie czymś strasznym! - mówił z egzaltacją. - Kocham życie! Nie przepuszczam żadnej okazji, aby z niego w pełni nie korzystać.

- i Bardzo męski pogląd - zgodził się Malwitz z prawie nieuchwytnym sarkazmem. - A jeżeli nam się noga powinie? Za takie wyskoki kilka lat za kratkami zapewnione!

- Sonduje mnie pan? Zbyteczne! Wie pan, jak brzmi moje credo? Żałować należy jedynie rzeczy” których się nie zrobiło... O, jedzie „zero”! A pan dokąd się udaje?

- W przeciwnym kierunku. Proszę się śpieszyć, bo ucieknie!

- Zdążę. Do widzenia, panie Lipiński! Do jutra! Szybko podał Malwitzowi rękę i pobiegł do tramwaju ruszającego już z przystanku.

Po wykupieniu biletu usiadł na wolnej ławce i rozmyślał nad wydarzeniami wieczoru.

Tkaczyk - jakże się zmienił! Wtedy, przed szesnastu laty, nie był taki tchórzliwy. Może nawet był, lecz tego nie okazywał. Prawdą jest, że przy najbliższej okazji czmychnął do rodziny... Jakkolwiek by było, należał przecież do elitarnej jednostki Wehrwolf. A obecnie? Podtusiały urzędniczyna! Korpulentny, uszatkowany, nudny...

Herman wzgardliwie ściągnął kąciki ust...

Lipiński! Nazwisko od dłuższego czasu kołatało się w podświadomości. Stefan Lipiński. Małomówny, niepozorny... Spił się jak bela! Jednak prawdę mówiąc dobrze panował nad sobą. Dziwne, że wszystko wiedział o ich przeszłości. Wszystko może nie, lecz wiele. Willi mówił przy nim zupełnie swobodnie. Z tego, co powiedział, wynikało, że Lipiński wie o ich przynależności do Wehrwolf. Ale dlaczego ten zagadkowy człowiek bierze udział w sprawach, które tylko ich dotyczą? Na szczęście Willi jest przebiegły i wie, co robi, więc można na nim polegać.

Myśli popłynęły innymi szlakami. Elżbieta... oto klasa! Przyglądała mi się z nie tajonym zainteresowaniem. Nic w tym dziwnego! W porównaniu do tłustego, gnuśnego Alberta każdy względnie przystojny mężczyzna wydaje się jej Adoniszem!

Snując te rozważania, Herman postanowił wybadać przy okazji, czy Elżbieta bardzo się przy mężu nudzi i czy nie szuka okazji do rozrywki. Gdy będą dolary, można by to i owo zaaranżować...

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej myśl przypięcia Tkaczykowi rogów przypadała mu do gustu.

Tramwaj zatrzymał się na placu Trzebnickim. Herman zeskoczył ze stopni i szybkim krokiem poszedł w kierunku ulicy Klęzkowskiej.

*

- Jezus Maria! - przytłumiony krzyk wybiegł w ciszę pokoju.

- Bert! Co ci jest? - Elżbieta ścisnęła ramię męża. - Bert, zbudź się!

Ciężko dysząc, Tkaczyk otrząsnął się z koszmaru. Był nieprzyjemnie spocony, język - po wódce i papierosach - wydawał mu się nabrzmiały i drętwy. Napięcie spowodowane sennymi majakami powoli ustępowało. Westchnął głęboko.

- Co... Ela?

- Krzyczałeś we śnie. Na pewno rozmawialiście o wojnie, teraz śnisz o tych makabrach.

Tkaczyk uniósł się na łokciu. Opadły go myśli o wczorajszym spotkaniu. Meyer, Herman, dolary...

- Pamiętasz chociaż, co ci się śniło? - spytała. Gdy nie odpowiadał, dodała: - Coś cię trapi, Bert. Nie możesz mi powiedzieć, o co idzie?

Cisza panowała tak głęboka, że słycać było tykanie ręcznych zegarków.

- Mam twarde orzech do zgryzienia - wreszcie powiedział Tkaczyk. - Są sprawy, o których tobie nigdy nie mówiłem. - Zamilkł, potem mruknął posepnie: - Wymagają ode mnie pewnych przykrych rzeczy... Próbuję się bronić, ale zdaję sobie sprawę, że mój opór jest daremny. Ani ty, ani ja nie możemy nic poradzić.

- Bert! Mów do rzeczy! Takie gadanie jest ni w pięć, ni w dziewięć. O co chodzi? Co Meyer chce od ciebie? Jakie interesy mieliście omawiać?

Tkaczyk usiadł na łóżku i położył sobie poduszkę pod plecy. Zastanawiał się, czy może powiedzieć żonie o swych tarapatach. Podświadomie czuł, że ten namysł nie jest szczery, potrzebował bowiem kogoś, komu mógłby się zwierzyć. Ponadto nadarzała się okazja do podniesienia w oczach żony swego spowszechniałego autorytetu.

- Przynieś mi szklankę wody - powiedział. - Musimy porozmawiać. Proszę, nie rób hałasu. Nie chciałbym, aby Willi się zbudził.

Wyszła. Został sam.

Żyli ze sobą od dziesięciu lat. Kiedy ją poznał, mieszkała w internacie. Studiowała filologię, była ładna, wesola, lubiła się bawić i flirtować. Początkowo nie było mowy o małżeństwie. Oboje uważali intymną znajomość tylko za miłą przygodę. Potem Elżbieta zaszła w ciążę. Przerwała studia. Na pewno wtedy przesadzała w bezradności, rozterce i... miłości. Nie potrafił sobie przypomnieć, jakim sposobem i dlaczego w ogóle doszło do ślubu. W każdym razie długie rozmowy, rozczulające wyznania i chęć ustabilizowania chaotycznego życia znalazły epilog w Urzędzie Stanu Cywilnego. Po zabiegu, dokonanym jeszcze przed ślubem, już nie było mowy o dzieciach.

W pewnym sensie oboje zawiedli się na sobie. On stwierdził, że za jej urodą i retoryką nic się więcej nie kryło. Już na początku małżeńskiego współżycia poznał, że Elżbieta jest wyjątkowo pustą i samolubną kobietą. Powoli i stopniowo rozdzielała ich niezgodność charakterów i wzajemna obojętność.

Ona również rozczarowała się do męża. Ongiś schludny, taktowny, a nawet ujmujący amant, po ślubie okazał się człowiekiem powolnym w myślach i czynie, niedbałym w ubiorze; nadto był trywialny i nudny...

Z biegiem lat spontaniczne sprzeczki ustąpiły rezygnacji. On wstawał mrukliwy, zamknięty w sobie, po śniadaniu odjeżdżał samochodem do pracy. Elżbieta spędzała przedpołudnie w łóżku, potem załatwiała zakupy lub odwiedzała znajome. Sprawy związane z pracą zawodową męża wcale ją nie interesowały, wspólnych znajomych mieli niewielu. Życie było jednostajne, bez jakiegokolwiek urozmaicenia.

*

Wieczory przeważnie spędzali w domu przy telewizorze, tylko sporadycznie dzieląc się myślami i wrażeniami.

Elżbieta wróciła z wodą.

- Wypij. Dodałam cytryny.

Zimny, kwaśny płyn orzeźwił go. Zapalił papierosa. W blasku zapalki dostrzegł wpatrujące się w niego oczy żony.

- Proszę, nie patrz tak na mnie, połóż się! - powiedział zdenerwowany. Nie znosił jej irytującego zwyczaju wlepiania oczu w jego twarz. Nawet teraz, gdy było ciemno, sama myśl, że bezustannie go obserwuje, była nieznośna.

- Przecież nie widzisz, co robię!

- Nie widzę, ale wiem.

Papieros smakował gorzko. Zgasił go i wypił resztę wody. Chwilę nasłuchiwał.

Daleko, gdzieś za granicami miasta, długo i monotonnie gwizdał parowóz. Tkaczyk usiłował się skupić, lecz przenikliwy, natrętny gwizd drażnił go i rwał wątek myśli.

- Elżbieto! Przed naszym ślubem powiedziałem ci, że byłem w niemieckim wojsku - zaczął bezpośrednio. - Wtedy byliśmy oboje w tak... - chwilę szukał właściwego określenia - wzniosłych nastrojach, że nietrudno było machnąć ręką na wiele spraw związanych z przeszłością.

Przeczekał moment, aby zrozumiała aluzję.

- Jednak nie powiedziałem ci wszystkiego. W czterdziestym czwartym roku zostałem przeniesiony do jednostki artylerii przeciwlotniczej do Hamburga. W styczniu następnego roku ogłoszono komunikat wzywający osoby mówiące biegle językami obcymi do zgłoszenia się u komendanta. Zaciekawiony poszedłem. W bardzo oględny sposób poinformowano nas, że Berlin organizuje jakieś oddziały specjalne i dano do zrozumienia, że te oddziały mogą być użyte do akcji za liniami wroga. Co tu dużo mówić... Z mojego punktu widzenia nadarzała się

okazja do opuszczenia „tonącego okrętu”. W Hamburgu zaopatrzone nas w prowiant i bilety do Berlina. Stamtąd pojechaliśmy samochodami do Friedenthal. Naszym nowym dowódcą był pułkownik Otto Skorzeny. Podlegające mu oddziały nazwano Wehrwolf, po polsku: „Wilkołaki”.

Tkaczyk przerwał opowiadanie, oczekując reakcji żony. Elżbieta milczała. Znowu sięgnął po paczkę z papierosami. W świetle zapałki ujrzał, iż z rękami założonymi pod głowę, leży nieruchomo na plecach i patrzy w sufit.

- Po starannym przeszkoleniu - ciągnął - odesłano nas do Wrocławia, wówczas osławionej „Festung Breslau”. Było nas pięciu: porucznik Hildebrandt, Hanneman, Willi Meyer, Herman i ja. Wprawdzie miałem zamiar opuścić ich przy najbliższej sposobności, lecz to nie było łatwe. Okazja nadarzyła się dopiero krótko przed kapitulacją. Wróciłem do domu...

Wciągnął głęboko dym i natychmiast zaniósł się gwałtownym kaszlem.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłem - kontynuował po chwili. - Przez szesnaście lat miałem spokój i, jak wiesz, znalazłem swoje miejsce w świecie. Lecz ten spokój był tylko pozorny. Willi Meyer znał adres moich rodziców w Katowicach. Sześć miesięcy temu napisał do nich nic nie znaczący list, który oni odesłali do mnie. Odpowiedziałem w dobrej wierze, jako staremu znajomemu. Następna wiadomość od niego była bardziej konkretna. Między innymi prosił, abym odnalazł Hermana. Razem z tym listem otrzymaliśmy od Meyera pierwszą z licznych paczek, które uważaliśmy za przyjazny, lecz nieco poniżający gest. Jednak przyjmowałem je w dobrej wierze i rewanżowałem mu się, jak mogłem. Henryka odszukałem przez Główne Biuro Meldunkowe i zawiadomiłem o tym Meyera. Ostatnio Willi doniósł nam, że przyjedzie do Polski oraz że chce się z nami zobaczyć, ponieważ ma ważną sprawę do omówienia. Mówiąc prawdę, obawiałem się tego spotkania, a wczorajszy wieczór potwierdził najgorsze przypuszczenia.

Tkaczyk zgasił w popielniczce niedopałek - papierosa. Milczenie żony denerwowało go. Trochę żałował, że zaczął te zwierzenia. Postanowił pominąć pewne szczegóły rozmowy z Niemcem.

- W czterdziestym piątym roku Meyer ukrył we Wrocławiu sporą sumkę pieniędzy. Obecnie chce je wydobyć i potrzebuje naszej pomocy. Żąda, bym nie tylko wziął udział w jego planach, lecz także dał mu samochód do dyspozycji.

- Czy te pieniądze jeszcze mają wartość? - zainteresowała się.

- Marki nie, ale mieliśmy także dolary. - Dużo?

- Nie wiem. Raczej pokażną sumę. Lecz to nie wszystko. Razem z tymi pieniędzmi - jak mi wczoraj wyznał - ukrył nasze książeczki wojskowe i inne dokumenty, które obecnie chce stamtąd wydobyć. Czy wyobrażasz sobie, co by było, gdyby ktoś te papiery kiedyś odkrył? Świadomość, że mój los spoczywa w rękach przypadku, nie pozwoliłaby mi na spokojny sen do końca życia. Muszę pojechać tam z Meyerem. Pal diabli jego dolary! Muszę dostać te dokumenty!

- Spokojnie, Bert! Nie denerwuj się i nie podnoś głosu - szepnęła.

Po kilku sekundach namysłu spytała:

- Czy Meyer nie może tego sam załatwić?

- Mógłby, ale nie chce. Ma powody. Zresztą, chodzi mu nie tylko o to...

Tkaczyk zamilkł. Jakże mógł powiedzieć żonie, iż Niemiec, po odejściu Lipińskiego i Hermana, w długiej rozmowie w cztery oczy, wystąpił z propozycją współpracy z niemieckim wywiadem! Wiedział, jakie stanowisko Tkaczyk zajmuje w WSK, w jakim dziale pracuje, a nawet kto jest jego bezpośrednim szefem... Stanowczo domagał się zbierania i przekazywania im wszelkich dostępnych informacji o produkcji wytwórni!

Elżbieta poruszyła się niespokojnie. Nie wiedząc, jak reagować na zwierzenia męża, czekała na dalsze wypowiedzi.

- Próbowałem odmówić - kontynuował półgłosem - lecz Meyer był do tej rozmowy dobrze przygotowany. „Pamiętasz - mówił - to nocne spotkanie z Sowietami, pod Wrocławiem? Jednego sprzątnął Hanneman, a drugiego... ty!” To nieprawda, Elu! Natknęliśmy się wtedy na patrol, rzeczywiście doszło do strzelaniny, ale ja nawet nie wyjąłem broni! Strzelał Herman!

- Ciszej, Bert! Ciszej!

- Willi powiedział, że... w pewnych okolicznościach, razem z Hermanem, potwierdzą moją winę. A przecież innych świadków nie ma!

- Nie rozumiem tej historii, Bert. Dlaczego Meyerowi tak bardzo zależy na twojej współpracy? Grozi i kłamie, wszystko dla tych dolarów czy dokumentów?

- Na razie więcej nie mogę powiedzieć - mruknął Tkaczyk, miętosząc róg kołdry. Był zły na siebie. To, co powiedział żonie, na pewno nie wzbudziło jej respektu i podziwu - jak zamierzał. Raczej udowadniało jego niemoc i bezradność. O sprawie zasadniczej, niestety, musiał milczeć...

Meyer powiedział, że mu da miniaturowy aparat fotograficzny. „Wszystko, czego od ciebie wymagam - mówił - to robienie zdjęć, gdzie tylko się da. Fotografuj magazyny, pomieszczenia biurowe, wykresy, papiery rachunki, plany, nazwiska... Za rolkę filmu,

zależnie od wartości, otrzymasz sto dolarów lub więcej”. Nawet dał mu kilka możliwości do wyboru: otrzyma gotówkę w dolarach albo równowartość w złotych, dostanie bony na towary z PKO lub też będą składać dla niego pieniądze w banku za granicą... Elżbieta przerwała rozmyślenia męża.

- Słuchaj, co ci powiem - szepnęła z nieoczekiwaną łagodnością. - Tamte rzeczy, o tej organizacji, są... przykre, ale odległe i naprawdę nieistotne, jeżeli chodzi o nas. Dobrze się stało, że znalazłeś tyle zaufania, żeby mi o tym powiedzieć. Razem pomyślimy, jak wybrnąć z tego kłopotu. Jedno jest pewne: nie możesz brać udziału w tej awanturze. Jeżeli Meyer nie ustąpi, musimy uciec się do podstępu. Co by ci groziło, gdybyś zgłosił się z tą sprawą, do władz?

- Przynależność do Wehrwolf dałaby się wytłumaczyć. W istniejących wówczas okolicznościach działałem w najlepszej wierze. Naturalnie straciłbym posadę, poważanie i podobne... drobnostki!

- A ta sprawa z radzieckimi żołnierzami?

- Są dwie wersje: moja przeciwko wersji Meyera i ewentualnie Hermana.

- Kim jest Lipiński?

- Nie wiem. Willi przedstawił go jako człowieka godnego zaufania. Nie sądzę, aby grał dużą rolę.

- Jak Meyer planuje dalsze kroki? - Dlaczego pytasz?

- Mam pomysł. Może będzie to jedyne wyjście...

Dyskutowali nad aspektami drażliwej sprawy, aż zza ciemnych szyb odzywać się zaczął coraz częstszy warkot silników, zgrzyt tramwajowych kół i kroki przechodniów.

Tkaczyk wielokroć zamierzał zwierzyć się żonie ze Wszystkich dręczących go spraw, lecz jakoś nie potrafił Ich z siebie wydobyć.

Elżbieta, choć domyślała się z licznych aluzji i niedopowiedzeń, że Niemiec przyjechał do Wrocławia nie tylko Po schowane dolary, unikała bezpośrednich pytań.

Za drzwiami sypialni od dłuższego czasu w skulonej pozycji trwał Willi Meyer. Z uchem przy szparze starał się złowić strzępy cichej rozmowy. Kiedy udało mu się usłyszeć kilka słów, uśmiechał się zjadliwie, to znów ze złością przygryzał wargi. Im dłużej trwała szeptana rozmowa, tym bardziej był przekonany, że Tkaczyk wygadał żonie całą tajemnicę.

Blódes Schwein! - kilkakrotnie mruknął bezgłośnie do siebie.

4

Tkaczyk oparł się o kierownicę i naburmuszony patrzył na Meyera.

- Przecież ci powiedziałem, Willi, że się zgadzam. Czego znowu chcesz ode mnie?

- Szczerości! Chciałbym także, abyś w przyszłości unikał prób zamydlenia mi oczu.

- Nie wiem, o czym mówisz. Jakie masz powody do podejrzeń? Mówię zawsze to, co czuję i myślę. Jeżeli nawet miałem jakieś obiekcje, to wypowiedziałem je wczoraj. Potem zgodziliśmy się nie dyskutować więcej o tym.

- Nonsens! Trochę się znam na ludziach, Albercie Tkaczyk! Oceniając ciebie jako człowieka wygodnego, o słabym charakterze i zmiennych poglądach, na pewno, się nie pomyliłem.

Było pół do siódmej rano. Od piętnastu minut czekali w pobliżu Willi na Oporowie. Siedząc w samochodzie, obserwowali ciemny budynek. Ulica była wyludniona, cicha. Nad dzielnicą wisiała wilgotna mgła.

Tkaczyk skurczył się w sobie. Nie wiedział, jak zareagować na ataki Niemca, który zadreślał go zarzutami od momentu wyjazdu z domu. Najchętniej znalazłby się daleko stąd, gdzieś, gdzie nikt go nie znał, nikt nawet nie słyszał o Wehrwolf, Willim Meyerze i podobnych przykrych sprawach.

- Nie rozumiem - powiedział - co mój charakter i moje wady mają wspólnego z twoimi planami?

- Nie rozumiesz wielu rzeczy. He lat byłeś w wojsku? - padło nieoczekiwane pytanie.

- W wojsku? Dlaczego pytasz? - zdziwił się Tkaczyk. Meyer machnął ręką.

- Nieważne. Okres służby wojskowej powinien ci być wystarczyć do nauczenia się subordynacji i zasady, że myślą przełożeni, a żołnierze wykonują rozkazy bez gadania. Obecna akcja i to, co uczynisz dla nas w przyszłości, jest dalszym ciągiem naszej służby wojskowej, gefreiter Tkaczyk.

- Wyglupiasz się? Willi! To było szesnaście lat temu! Obecnie jesteśmy w Polsce...

- Wyglupiam się, co? - Meyer z pogardą spojrział na otyłą twarz byłego kamrata. - Oto cały problem: nie traktujesz sprawy poważnie. Wczoraj wprowadziłeś się na moje propozycje. Jesteś zbyt słaby, aby wręcz odmówić, lecz cały czas usilnie myślisz, jakby się z tej kabały wykręcić. Obawiając się utracenia mozolnie zdobytej pozycji, poważania podobnych tobie skrobipiórków i wreszcie ciała, które zwiesz żoną, wijesz się na mojej wędce jak piskorz. Mam rację, prawda?

- Nie, nie! Nic podobnego. Przecież nie ma powodów przypuszczać, że coś się nie powiedzie. Pieniądze bardzo się nam przydadzą, zapewniam cię!

- Mówiąc to, jesteś tak przekonujący, jak Fernandel w roli kandydata na mister universum. Gdyby nie Herman i Lipiński, mógłbym z góry ze wszystkiego zrezygnować.

- Jesteś niesprawiedliwy, Willi! Możesz na mnie tak samo liczyć, jak na nich.

- Czy mówiłeś cośkolwiek żonie, Albert? - szybko spytał Meyer i wlepił oczy w Tkaczyka.

Tamten opuścił głowę i wzruszył ramionami.

- Nawet jeżeli zaprzeczę, to mi nie uwierzysz - bąknął pod nosem.

- Odpowiedz na pytanie!

- Mówiłem, że mamy interes do załatwienia.

- Nic więcej?

- Nie.

- Po twej minie widzę, że bezczelnie kłamiesz! - wycedził Meyer.

Chcąc przeprowadzić swoje plany musiał nakłonić Tkaczyka do całkowitej uległości. Chętnie by zrezygnował z jego pomocy przy wydobyciu pieniędzy, ale tu przecież chodziło o sprawę daleko ważniejszą. Informacje w WSK mógł zdobyć tylko Tkaczyk. Mógł i musiał!

- Ublizas mi Willi. Nie wiem, za kogo mnie uważasz! Gdybym nie chciał ci pomóc, powiedziałbym o tym otwarcie. Nie jestem aż tak nieśmiały.

- Co w ogóle znaczy: „nie chciał pomóc”? Paczki to brałeś, hę?

- Willi! - Tkaczyk był przerażony brutalnością Niemca. - Staralem się odwdziżyć...

Meyer złośliwie zachichotał.

- Tak, otrzymywałem te albumy, z których taktownie zdrapywałeś ceny. Kupowałeś je za swoje pieniądze, co? Otóż wiedz, że paczki, które otrzymywałeś z Niemiec, wcale nie były opłacane z mojej kieszeni. Moja rola ograniczała się do pisania listów. Tak więc, czy ci się podoba, czy nie, od dawna jesteś na naszej liście płac.

Tkaczyk wielce zdumiony wybałuszył oczy.

- To jest strasznie niesprawiedliwe... podstępne... - wyjąkał.

- O, halves Maul! - wrzasnął Meyer. - Wbij sobie do głowy, że nadal spełniamy nasze obowiązki, podobnie jak w Friedenthal. Twoje poglądy, niestety, nasiąkły domatorstwem i wygodnictwem. Zniewieściałeś! Jestem przekonany, że wypaplałeś swej Eli dużo niepotrzebnych rzeczy. Wiesz doskonale, że kobietom nie wolno powierzać tajemnic. Pamiętaj, jeżeli nawarzysz sobie piwa, to sam je wypijesz. Ja wyjadę. Z Hermanem i Lipińskim nie będziesz się spotykał. Jeżeli nie zachowasz jak największej ostrożności i będziesz gadał o naszych sprawach, to prędzej czy później znajdziesz się za kratami. Pamiętaj, Albert, pierwszym przykazaniem w naszej pracy jest milczenie, milczenie i jeszcze raz milczenie! Nikomu nie można ufać... Oho, zbudzili się!

W pokoju na parterze obserwowanego domu zabłysło światło. Meyer sprawdził czas.

-: Za dwadzieścia siódma.

U wylotu ulicy ukazał się wóz zaprzężony w konia. Na koźle siedział pochylony staruszek. Za nim na wozie, w skrzynkach, stały butelki z mlekiem. Koń bez nakazu swego pana zwalniał przed każdym domem; wtedy staruszek wnosił butelkę do ogrodu, po chwili wracał i - jeżeli odległość między domami była duża - siadał z powrotem na wóz.

- Zwróci na nas uwagę - mruknął Tkaczyk niezadowolony.

- Tak, lepiej odjedź stąd na parę minut. Ja wysiądę i pospaceruję przed domem, a ty wróć za chwilę.

Gdy samochód Tkaczyka znikł za rogiem, Meyer wolnym krokiem poszedł w kierunku willi.

Pogoda tego ranka była dziwnie przygnębiająca. Szare niebo nie zwiastowało zmian na lepsze. Smutny nastrój potęgowały огоłocone z liści drzewa i zeschnięte, sterczące w płowej trawie badyle.

Niemiec minął wóz z mlekiem w momencie, gdy dziadzio wszedł do jednego z ogródków. Przed obserwowanym domem jeszcze bardziej zwolnił kroku. Zerkając przez drucianą siatkę do ogrodu dziwił się, że w ogóle poznał tę willę. Właściciel pomalował ściany kremową farbą, dobudował pokój na poddaszu, Odnowił ganek przed wejściem. W ogrodzie drzewa i krzewy bardzo urosły, już nie było altanki w rogu, ani też małej fontanny przed domem. Lecz omyłka była wykluczona. Tam w budynku, w skrytce pod deskami stopni, leżała skrzynka. Tysiące dolarów! Zabierze sobie lwią część, a resztę niech ci głupcy dzielą między siebie.

Przeszedł krótką ulicę do końca i wrócił. Właśnie nadjeżdżał Tkaczyk. Zatrzymał wóz. Meyer wsiadł.

- Jeszcze nikt nie wyszedł. Obejrzałem ogród. Drzewa urosły, poza tym niewiele się zmieniło.

- Gdzie schowałeś te papiery? - spytał Tkaczyk. Kilka minut wystarczyło mu na powtórne rozważenie sytuacji. Odzyskanie kompromitujących dokumentów z okresu służby wojskowej uznał za kwestię „być albo nie być”. Dopiero po rozwiązaniu tego problemu mógł rozważyć możliwości wyrwania się z sieci szantażu i gróźb, w jaką zaplątał go były kamrat. Obecnie musiał - pozornie lojalnie - współpracować z Niemcem.

Meyer wyczuł zmianę nastroju. Choć nie wierzył w szczerą intencję Tkaczyka, pomyślał, że chwilowo należy zmniejszyć presję.

- W domu, w korytarzu - odparł.

- O, myślałem, że gdzieś w piwnicy. Jak chcesz je wydobyć?

- Wejdziemy nocą i otworzymy skrytkę.

- Domownicy mogą usłyszeć szmery. Co wtedy?

- Damy sobie radę, przecież będzie nas czterech. Jeden zostanie przy furtce od ulicy, aby uważać na samochód, a także na ewentualnych przechodniów. Dwóch, jeżeli zajdzie potrzeba, zajmie się domownikami. Ja będę zajęty wydobywaniem pieniędzy i... dokumentów.

Z któregoś domu wyszedł starszy mężczyzna. Szybkim krokiem zbliżał się do samochodu.

- Odjedziemy? - spytał Tkaczyk.

- Za późno. Zwróciłby uwagę. Siedzmy spokojnie. Jutro zostawimy wóz na innej ulicy.

Mężczyzna przeszedł obok Wartburga i z nie tajonym zaciekawieniem zerknął do wnętrza. Potem jeszcze się obejrzał.

W obserwowanym domu zapalono światła w drugim pokoju. Na tle firanki chwilami ukazywał się ruchliwy cień.

Minęło kilka minut. W tym czasie z bocznej ulicy wyjechało dwóch rowerzystów, a po chwili Warszawa. Czekający rozmawiali o różnych sprawach, potem Tkaczyk zapytał:

- Willi, te zdjęcia, które mam robić w WSK, wiesz... nie powiedziałeś mi wczoraj, co zrobić z filmami. Czy zaność je komuś?

- Nie. Pracujemy według starannie przemyślanych metod. Posłuchaj: do ciebie w domu, w pracy lub jakimkolwiek umówionym miejscu zadzwoni nasz człowiek. Jeżeli nie odwerzesz telefonu osobiście, poprosi, aby cię wezwano do aparatu. Rozmowa będzie przebiegała w następujący sposób. Uważaj! On poda jakieś nie znaczące nazwisko, powiedzmy: „Mówi Kowalski. Czy to pan Tkaczyk?” Odpowiedz: „Tak”. Wtedy on: „Miał pan telefonować do mnie w niedzielę”. To zdanie, mój drogi, wbij sobie do głowy. Zawiera ono niezwykle prosty szyfr. Przypuśćmy, że rozmowa odbywa się w poniedziałek. Wtedy „Kowalski” powie: „Przecież miał pan do mnie dzwonić w niedzielę!” Nasz człowiek zawsze poda dzień wczorajszy. Ty masz wtedy do wyboru dwie odpowiedzi. Jeżeli jesteś sam i możesz swobodnie rozmawiać, powiesz: „Przecież dziś jest niedziela!”. Wtedy „Kowalski” umówi spotkanie z tobą albo powie ci, co robić, gdzie przesłać lub komu oddać filmy. Jeżeli zadzwoni, a ty nie jesteś sam i nie możesz swobodnie rozmawiać, odpowiesz na jego, „Miał pan dzwonić w niedzielę” czymś w rodzaju: „Tak, rzeczywiście” albo: „Istotnie, zapomniałem, ma pan rację...” W każdym razie odpowiesz twierdząco i potem położysz słuchawkę na widełki. „Kowalski” zrozumie i spróbuje skontaktować się z tobą innym razem.

- Czy wiesz, kim jest ów „Kowalski”?

- Nie. Nie znam jego nazwiska, adresu ani telefonu. Tylko on może nawiązać łączność z nami. Ten system gwarantuje naszym ludziom całkowite bezpieczeństwo. Gdyby kiedykolwiek wydarzyło się coś niezwykłego, wtedy wystarczy unikać hasła. Na przykład podchodzisz do aparatu i mówisz: „Tkaczyk, słucham”. A on „Przecież miał pan dzwonić w niedzielę!” Jeżeli odpowiesz: „Co? Kto mówi? Jaką niedzielę? Nie przypominam sobie!”, to „Kowalski” będzie wiedział, że coś nie jest w porządku i uczyni odpowiednie kroki zabezpieczające.

- A co robić, gdybym go kiedyś pilnie potrzebował?

- Takich możliwości nie przewidziano. Jesteś sam, działasz na własną rękę. Tylko on może nawiązać łączność z tobą. Oczywiście wskazane jest umawiać się na następną rozmowę telefoniczną... Uważaj! Ktoś wychodzi z naszego domu.

Mężczyzna niemłody, niski, szczupły, ubrany w szarą jesionkę i filcowy kapelusz starannie zamknął furtkę za sobą i nie śpiesząc się podążył w dół ulicy.

- Wygląda na urzędnika - powiedział Tkaczyk.

- Pedant. Widziałeś, jak zamykał furtkę? Wiesz co, idź za nim i staraj się dowiedzieć, gdzie pracuje i jak się nazywa.

Tkaczyk niechętnie otworzył drzwi wozu.

- Potem mam wrócić tutaj?

- O tak, jak najszybciej! Idźże, bo tamten już dochodzi do rogu.

Krótko przed godziną dziewiątą u drzwi mieszkania Tkaczyków zaterkotał dzwonek. Elżbieta narzuciła szlafrok i z progu sypialni zawołała:

- Kto tam?

- To ja, Henryk Herman.

- Chwileczkę, zaraz otworzę.

Pośpieszyła do łazienki, przyczesła włosy i szminką pociągnęła wargi.

Herman widocznie był u fryzjera. Pachniał taną wodą kolońską, starannie ogolona twarz promieniała uśmiechem.

- Przechodziłem - wyjaśnił, całując ją w rękę - i nie mogłem oprzeć się pokusie zobaczenia pani. Przepraszam, jeżeli panią zbudziłem - dodał wodząc wzrokiem po szlafroku.

- Nie szkodzi, najwyższa pora, by wstać. Wejdzie pan?

- Na chwileczkę, jeżeli wolno.

- Naturalnie! Proszę!

Herman zajął miejsce w fotelu, założył nogę na nogę, starannie podciągając kanty wyprasowanych spodni. Elżbieta usiadła na krześle przy piecu, ręce wsunęła w obszerne rękawy.

Zastanawiając się, co go sprowadziło, przypomniała sobie jego wczorajsze spojrzenia i umizgi. Nie przypisywała im większej wagi, lecz obecnie zaczęła podejrzewać, że ten z przesadną starannością wystrojony donżuan najwidoczniej zamierza z nią romansować.

Herman wyjął paczkę amerykańskich papierosów. -

- Pali pani? Zaprzeczyła.

- Oczywiście, to tłumaczy gładką cerę! Kobiety palące tytoń z zasady mają żółtawe twarze i nieczystą skórę, także oczy tracą blask. U mężczyzn nie jest to tak widoczne.

Zapaliwszy papierosa, zmrużył powieki i przez chwilę przypatrywał się jej w milczeniu.

- Mąż wyjechał rano z Meyerem, prawda?

- Mhm, spałam tak mocno, że nawet nie słyszałam, kiedy wyszli - skłamała. - Pewnie są głodni, nie jedli śniadania.

- Willi Meyer jest tak zajęty swoimi sprawami, że na pewno nie myśli o śniadaniu.

- Nie wiem, czym jest zajęty. Bert o niczym nie wspominał. Pan chyba też zajmuje się „tymi sprawami”?

- Nie na tyle, bym zapominał o przyjemnościach życia.

- Więc te sprawy należą do nieprzyjemnych?

- Nie to miałem na myśli. Tylko, że osobiście wolę spędzić czas na rozmowie z panią, niż wysłuchiwać wywodów naszego gościa.

- Nie lubi go pan? Myślałam, że jesteście przyjaciółmi.

- Przesada! Jest mi zupełnie obojętny. Po prostu potrzebuje nas... Ale dlaczego mówimy o Meyerze? Jest tak wiele miłszych tematów.

- Na przykład, jaki temat pana interesuje?

- Mówiąc bez ogródek - pani.

- Ja jestem miłym tematem do rozmowy? - roześmiała się w głos.

Herman nieco urażony zaciągnął się dymem. Wczesna pora zdecydowanie nie stwarzała odpowiedniego nastroju do zamierzonego flirtu.

Elżbieta przypatrywała się gościowi z rozweseloną twarzą. Siadając wygodniej splotła dłonie na kolanach. Ciekawa była, którym z licznych a niezmiennie banalnych sposobów będzie ją „zdobywał”.

- Gdy usłyszałem, że Albert się ożenił, wyobrażałem sobie jego żonę jako klasyczną kurkę domową. Korpulentną babinę o pucołowatej, bezmyślnej twarzy, potwornie nudną, wiecznie zajęta garnkami i plotkowaniem - powiedział.

- Sądzi pan, że nie jesteśmy dobranym małżeństwem?

- Tego nie mogę powiedzieć, jeszcze pani tak dobrze nie znam. Jednak wcale nie odpowiada pani postaci, z którą w myśli kojarzyłem Alberta.

- Skąd więc przekonanie, że nie jestem potwornie nudna i nie zajmuję się wyłącznie garnkami i plotkowaniem?

- Pani kpi ze mnie! Przecież pani w żadnym wypadku nie jest typem klasycznej kurki domowej. Wręcz przeciwnie!

- Co pan rozumie pod „wręcz przeciwnie”?

- Trudno jest wyrazić myśli słowami. Myśli ulegają uczuciom, a te często nie podporządkowują się rozsądkowi.

- Słusznie, ja także uważam pańskie uczucia za nierozsądne.

- Choćby tak było, nie mam na to wpływu. Może to brzmi banalnie, ale od chwili, gdy panią poznałem, wciąż o pani myślę... - mówił patrząc w ślad za smugą dymu.

- Proszę pana! - Elżbieta spoważniała. - Z niezbyt oczywistych przyczyn odwiedza mnie pan w czasie nieobecności męża, prawi komplementy i - proszę darować szczerść - plecie trzy po trzy. Od lat jestem mężatką i nawet moim bliskim znajomym nie daję żadnego powodu do plotek - ciągnęła. - Taki stan rzeczy zupełnie mi odpowiada i chociaż nadarzają się różne okazje, nie zamierzam go zmienić. Bądźmy rozsądni! Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, wymaga zastanowienia nad ważniejszymi sprawami.

- Boże, jaka pani jest bezwzględna! - powiedział z pozorną goryczą. - Trudno. Przepraszam za niebaczne słowa. Uczynił ruch, jakby zamierzał wstać.

- Proszę się nie gniewać, ale te górnolotne frazesy, którymi pan operuje, są dość oklepane w dzisiejszych czasach. Czy wy, mężczyźni, nie potraficie wymyślić nic oryginalnego? Wasze nieudolne próby nawiązania znajomości często nawet nas nie bawią, a tylko śmieszą.

Herman zrobił dobrą minę do złej gry.

- Cóż mamy mówić i jak się zachować, gdy jakaś kobieta bardzo się nam podoba? Czy klepać komunały o „gorączce trawiącej serce”, brać przemocą, cytować Freuda, czy pytać wprost: „Akceptuje mnie pani jako kochanka”?

- Myślę, że to ostatnie byłoby dość niecodzienne... Napije się pan herbaty? Może kawy? - zmieniła temat.

- Dziękuję, nic. - Zerknął na zegarek. - Muszę iść.

- Obowiązki?

- Tak, Willi czeka na mnie.

- Co pan sądzi o nim? - spytała po namyśle.

- O Meyerze? Jest energiczny, zaradny, przebiegły.

- Albert nadmienił, że macie jakieś interesy. Mam nadzieję, że nie są one połączone z ryzykiem?

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Intuicja. Przyglądając się Meyerowi wczoraj wieczór, nie nabrałam zaufania do niego. Lecz pan zapewne zna go o wiele lepiej niż ja.

- Poznałem Meyera w czterdziestym piątym roku, byliśmy razem przez dwa miesiące. Dopiero obecnie spotkałem go ponownie. Rzeczywiście wiążą nas pewne sprawy. Czy są one ryzykowne? Czy ja wiem...

- Dlaczego jesteście tacy skryci i zagadkowi? Albert jest mocno podrażniony, pan podniecony, pełen entuzjazmu...

- Albert jest podrażniony! Ha! Nazwijmy rzecz po imieniu: bpi się.

- Czy istnieje powód do obawy?

- To zależy od indywidualnego poglądu. Są ludzie, którzy wpadają w panikę na widok ćmy lub pająka. Zresztą, nikt Alberta nie zmusza do niczego.

- Jest pan tego pewien?

- Najzupełniej! - rzekł zdumiony. - Jeżeli nie ma ochoty, może to w każdej chwili powiedzieć Meyerowi.

- Odniosłam wrażenie, że działa pod presją. Ze względu na zajmowane stanowisko dobrowolnie nigdy nie brałby udziału w żadnym ryzykownym przedsięwzięciu. To oczywiste...

Herman chytrze zmrużył oczy.

- Przecież wczoraj jeszcze nie wiedział, o co idzie, a dziś rano nie rozmawialiście. Skąd pani wie, co Albert myślał?

Elżbieta zdała sobie sprawę, że powiedziała za wiele. Spojrzała na gościa zastanawiając się, czy może temu fircykowi zaufać. Założyła nogę na nogę, szlafrok zsunął się z kolan. Poprawiła go bez pośpiechu.

- Dziś rano, przed wyjściem, Albert nadmienił, że ma kłopoty. Jestem przekonana, że przyczyną zmartwień jest Meyer. Albert nie chciał, niestety, powiedzieć, co go) trapi. Nie wiem, jak mu pomóc. Może pan coś poradzi? Nie chcę, by mój mąż się angażował...

Spojrzał na nią z wyrachowaniem.

- Rozumiem. Przypuśćmy, że tak jest, jak pani mówi, oraz że ja mam wpływ na Meyera i spełnię prośbę pani. Willi zrezygnuje z jego pomocy. Co wtedy? Albert zadowolony poklepie mnie po ramieniu, pani powie: „Serdecznie dziękuję”, wypijemy kilka wódek i ukontentowany pójdę do domu. Czy finał tak ma wyglądać?

- Wdzięczność można wyrazić różnymi sposobami.

- Mnie interesuje tylko jeden. Skoro Albert nie wyjawiał, jakie interesy nas absorbują, mogę tylko powiedzieć, że gramy o wysokie stawki. Nie wiem, co pani sugeruje słowem „wdzięczność”, pani Elżbieto, lecz proszę nie uważać mnie za naiwnego prostaczka. Obiecywane „złote góry” zbyt często okazują się „gruszkami na wierzbie”.

- Czy chce pan spisać ze mną umowę handlową?

- Umowę, niestety, zawarła pani przed laty - powiedział ironicznie - to jednak nie wyklucza dokonywania przyjemnych transakcji na uboczu. Umowa jest niepotrzebna.

Szybko spojrzął na zegarek i zrobił grymas niezadowolenia.

- Późno, umówiłem się na godzinę dziesiątą. Muszę iść. Wstał.

- Zrobi pan to, o co proszę?

- O co pani prosi?

- Niech pan wpłynie na Niemca, aby dał spokój Albertowi. Jestem przekonana, że coś, co Meyer powiedział, bardzo go zdenerwowało. Może pan się dowie, o co idzie?

- Dobrze, wybadam naszego Niemca. Poinformuję panią o wynikach przy okazji. - Zbliżył się do Elżbiety. - Ponieważ czasu zostało niewiele, taka okazja musi zdarzyć się w bliskiej przyszłości. Kiedy można panią tutaj zastać?

- Będę w domu cały dzień. Albert powiedział, że przyjdzie z Meyerem na obiad.

- Dobrze, wpadnę do pani po południu.

Tego ranka, o godzinie dziewiątej czterdzieści, Malwitz - ubrany do wyjścia - stał przy oknie swego pokoju i zza firanki wyglądał na ulicę.

- Jesteś przewrażliwiony - powiedziała Zosia stojąca po drugiej stronie okna. - Wszędzie doszukujesz się czegoś podejrzanego.

Malwitz wzruszył ramionami.

- Może masz słuszość, ale ten facet włóczy się w naszej okolicy od godziny. Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć, skąd go znam albo gdzie go widziałem!

- Spotyka się tyle osób, że trudno pamiętać wszystkie. Widzisz go jeszcze?

- Nie, poczłapał za róg. Jeżeli jeszcze raz wróci, nie będę miał wątpliwości, że czegoś, a raczej kogoś szuka w tej okolicy.

- Oczywiście siebie!

- Nie żartuj. Wiesz, że nie wolno przeoczyć najdrobniejszego szczegółu... Oho!

Wraca!

Chudy osobnik w brezentowej kurcie, szerokich, niemodnych spodniach i zabłoconych „traktorach”, pochylony do przodu, szedł wolno przeciwną stroną ulicy.

- Nie rozgląda się, patrzy pod nogi, jakby coś zgubił - powiedziała narzeczona Malwita.

- Już wiem! - zawołał Malwitz. - To jest ten facet, który siedział wczoraj w „Cyganerii”. Naturalnie, to on!

- Jaki znów facet?

- Wczoraj, gdy byłem z Meyerem w „Cyganerii”, ten osobnik siedział przy jednym ze stolików, pił piwo i czytał gazetę. Ale czego on tu szuka?

- Może mieszka w sąsiedztwie? - Możliwe.

Przez kilka sekund w milczeniu obserwowali nieznanego. Pochylony szedł blisko muru obojętny na otoczenie i wszystko, co się wokół działo.

- Wiesz co - powiedział Malwitz - żeby nie było żadnych wątpliwości, wyjdę stąd pierwszy. Ty zostań tu, przy oknie. Jeżeli zobaczysz, że się mną interesuje lub za mną idzie, zbiegnij na dół i ostrożnie obserwuj, jak się zachowa. O ile będzie mnie śledził, postaram się go zgubić. Wtedy, proszę, sprawdź, dokąd pójdzie i, jeżeli możliwe, dowiedz się czegoś o nim.

- Skoro ci tak bardzo zależy, mogę to zrobić, ale naprawdę nie widzę powodu, dla którego miałabym tracić cenny czas na pilnowanie tego dziwnego typu.

Wychodząc Malwitz odwrócił się.

- Chętnie czytasz powieści kryminalne, więc masz okazję udowodnić, ile się z nich nauczyłaś - rzekł żartobliwie. - Auj Wiedersehen, Sophie.

- Auj Wiedersehen! - odparła.

Malwitz szybko zbiegł ze schodów i nie patrząc na człowieka w brezentowej kurcie poszedł bez pośpiechu w kierunku, ulicy Kościuszki. Dopiero na rogu, gdy zapalając papierosa odwrócił się plecami do wiatru, zerknął przez ramię. Tamten zdążył za nim w odległości kilkudziesięciu metrów, jego oczy niezmiennie tkwiły w płytach chodnika. Zosia nie była widoczna.

Na skrzyżowaniu Malwitz znowu ukradkiem spojrzął za siebie.

„Okazuje się, że moje podejrzenia były trafne” - stwierdził dostrzegając osobnika wytrwale za nim zdążającego. Nieco dalej swobodnym krokiem szła Zosia.

Po przejściu ulicy Malwitz skierował się w prawo. Wszedł do bramy bloku mieszkaniowego. Przypadkowo znalazł to przejście. Po kilku sekundach znalazł się po drugiej stronie budynku. Z podwórka pośpieszył dalej, ku ulicy Podwale.

„Skąd znowu ten typ się wziął? - zastanawiał się. - Dlaczego za mną łązi? A może zależy mu raczej na Meyerze? Tak czy owak sprawa zaczyna się wikłać!”

Podniósł kołnierz palta zasłaniając się przed podmuchami chłodnego, wiatru.

*

Meyer i Tkaczyk siedzieli w samochodzie zaparkowanym na jednej z oporowskich uliczek. Niemiec, udobruchany służalczym posłuszeństwem swego kamrata, opowiadał mu o jednej ze swych licznych awanturek miłosnych.

- Liesel twierdziła, że ma wyższe wykształcenie, ale myliła Cezara z Cynceronem, a Kanta, który kojarzył się jej z kantatami, uważała za kompozytora. Jednak „wyższe wykształcenie” faktycznie miała! Nabyła je po wytrwałych studiach na niezliczonych materacach i siennikach z oficerami niemieckimi, francuskimi i amerykańskimi. Mimo to przekonywała mnie niestrudzenie, przy śniadaniu i kolacji, we dnie i w nocy, że jestem jej „pierwszą miłością”, tylko ze mną chce i może być szczęśliwa i tak dalej, w przeświadczeniu, że wszystko to jest niezwykle romantyczne, pomysłowe i oryginalne. Niestety, miała przyjaciółkę, która...

Przerwał zaniepokojony, gdyż ktoś podszedł do samochodu i zajrzał do wnętrza. - Ach du, Heinrich! Już dziesiąta? Rzeczywiście! Otworzył drzwi. Herman zajął miejsce w tyle wozu.

- Dzień dobry! Co słychać?

- Do tej pory niewiele. Trochę nudno - odparł Meyer. - Rano wyszedł jakiś jegomość, a przed godziną kobieta z małym dzieckiem. Poza tym spokój. Co załatwiłeś?

- Niestety, nic. W biurze meldunkowym przed udzieleniem informacji żądają dowodu. Zresztą musiałbym znać nazwisko, wtedy daliby mi adres.

- Przecież adres nie jest nam potrzebny! - zawołał Tkaczyk.

- Wiem o tym, toteż zrezygnowałem z biura meldunkowego. Administrację otwierają dopiero o dziesiątej. Sądziłem, że powinniśmy się razem zastanowić, co robić dalej.

- Albert poszedł dziś rano za owym facetem z willi i dowiedział się, że pracuje w Biurze Projektów w mieście.

- Znam nawet jego nazwisko! - oznajmił Tkaczyk. - Jan Kawecki. Jak widzisz, nie próżnowaliśmy! - dorzucił, dumny z siebie.

Herman niecierpliwie machnął ręką. - Ja też nie próżnowałem - powiedział uśmiechając się ironicznie.

- Okay - rzekł Meyer. - Albert, idź sobie teraz do domu. Ja zostanę chwilkę z Heinrichem.

- Ale na obiad przyjdiesz do nas? - upewniał się Tkaczyk otwierając drzwi.

- Chętnie, jeżeli wam to nie sprawi kłopotu.

Gdy korpulentna figura Tkaczyka zniknęła za rogiem, Meyer westchnął.

- Wyjątkowo antypatyczna kreatura! Chwiejny jak chorągiewka na dachu! - powiedział w swym ojczystym języku, który dawał mu większą swobodę w wystawianiu się.

- Współczuję! - zawołał Herman. - Wynudziłeś się z nim potwornie, co?

- Nie lubisz go?

- Tego obleśnego kretyna? Nie, zdecydowanie go nie lubię!

- A jego żonę? Zdaje się, że ona jest bardziej w twoim guście?

- O tak! - skwapliwie przytaknął Herman. - Skąd wiesz? - zdziwił się.

- Domyślam się. Patrzyłeś w nią wczoraj jak sroka w kość.

Wyjął z teczki termos i nalał gorącej kawy do kubka. - Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

Meyer spojrzał na zegarek.

- Pięć po dziesiątej - powiedział wytrząsając ostatnie krople kawy na podłogę wozu. - Lipiński powinien zaraz przyjść. - Zakręcił termos. - Mówisz, że Elżbieta cię pociąga?

- Mhm, fajna babka! Niewiele można jej zarzucić, może jedynie to, że wybrała Tkaczyka za męża. Boże! Gdzie ona wtedy miała oczy?

- Hej! Zakochałeś się w niej?

- Możliwe, ale u mnie nie jest to choroba nieuleczalna. Wiem, czego chcę, i wiem, jak swego dopiąć.

- Wolałbym, abyś te swoje flirty odłożył do zakończenia akcji. Jeżeli Albert się czegoś domyśli, straci głowę i gotów jest narobić głupstw.

- Nie dowie się o niczym. Z Elżbietą już się dogadałem. Meyer spojrzał nań z niedowierzaniem.

- Kiedy?

- Byłem u niej dziś rano. Rozmawialiśmy o wielu ciekawych sprawach. Jak przypuszczałem, Elżbieta...

- O jakich ciekawych sprawach? - przerwał mu Meyer.

- Najpierw dyskutowaliśmy o obecnych troskach i kłopotach Alberta. Gdy się nam znudziło, doszliśmy szybko do wniosku, że czas można wypełnić przyjemniejszymi zajęciami niż omawianie znikomych walorów nieobecnego pana domu - chełpił się.

Dostrzegli nadchodzącego Malwita. Były gestapowiec śpieszył ku nim wyciągniętym krokiem. Zdyszany otworzył drzwi samochodu.

- Uff, przepraszam za spóźnienie! - usiadł obok Meyera. - Jestem wrogiem niepunktualności, ale dziś wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Światła na skrzyżowaniu, połączenia tramwajowe... - Skinął głową do Hermana, potem zwrócił się do Meyera: - Co słyszeć, Willi?

Zapytany poinformował go o wyniku dotychczasowych obserwacji.

- Heinrich, niestety, nie zdobył żadnych informacji o lokatorach. Albert rano dowiedział się nazwiska mężczyzny, który prawdopodobnie jest właścicielem tego domu.. Niejaki Jan Kawecki, pracuje w Biurze Projektów w Rynku. To wszystko. Może ty masz jakiś sposób na uzupełnienie tych danych?

Malwitz zamyślił się.

- Mam znajomego w Dzielnicowej Radzie, może on by nam pomógł?

- Spróbuj. Musimy wiedzieć, ile osób mieszka w tym budynku.

- To tamta willa - dodał wskazując palcem.

Malwitz z zainteresowaniem spojrział na dom. Z komina unosiły się kłęby dymu. Za oknami nic się nie poruszało. Niepozorna willa, która w zwykłych okolicznościach niczym nie przyciągnęłaby spojrzenia przypadkowego przechodnia, obecnie w oczach obserwujących nabrała ważności i tajemniczości. Bacznie wpatrywali - się w drzwi i okna, lustrowali każdą wnękę, gzymsy i parapety.

- Więc to tutaj!

- Tak, mieszkałem, tu około dwóch tygodni - powiedział Meyer obserwując dwie nadchodzące kobiety.

Mijając samochód rzuciły zaciekawione spojrzenia do wnętrza i przeszły, głośno rozmawiając.

- Pieniądze są wewnątrz budynku?

Meyer przytaknął.

- Nie sądzę, by się nam udało wydobyc je bez zwrócenia uwagi mieszkańców - powiedział Malwitz.

- Damy sobie radę! - zapewnił go Herman.

- Musimy dokładnie opracować każdy szczegół akcji - powiedział Meyer. - Zrobimy to dziś albo jutro wieczór. Teraz chciałbym, abyś ty, Stefan, zdobył bliższe dane o mieszkańcach. Może zajmiesz się tym zaraz? Ja zostanę tutaj z Heinrichem aż do twego powrotu.

- Dobrze, przejdę się do Dzielnicowej Rady. Muszę upozorować sprawę tak, by nikt się nie domyślił, że mi zależy wyłącznie na jednym domu.

- Pamiętaj nazwisko: Jan Kawecki. Facet prawdopodobnie mieszka tu z rodziną. Dowiedz się o nich, pod jakimś pozorem, jak najwięcej.

Po odejściu Malwitza Meyer powiedział do Hermana:

- Wróćmy do poprzedniego tematu, Heinrich. Rozmawiałeś z Elżbietą Tkaczyk o kłopotach jej męża. Co to za kłopoty?

- Mówiąc bez ogródek, Albert chciałby odstąpić od naszej spółki. Wydaje mi się, że wypaplał żonie coś o naszych planach i oboje doszli do wniosku, że gra nie jest warta świeczki. Teraz nasz naiwny tłuszcioch nie wie, jak nam to oznajmić. Elżbieta twierdzi, że ty jesteś przyczyną ich zmartwień.

Herman spoode łba spojrział na Meyera, lecz ten w milczeniu patrzył przed siebie.

- Prosiła mnie, abym cię, Willi, przekonał, że oboje byliby nam dozgonnie wdzięczni, gdybyś zrezygnował z pomocy Tkaczyka.

- Ty, oczywiście, odczułbyś wdzięczność Elżbiety w sposób namacalny - stwierdził Meyer. - Lecz to - jest bez znaczenia. Twoja rzecz, co z nią zrobisz, ale wstrzymaj się w swych zapędach jeszcze dzień lub dwa. Albert natomiast z jego zmiennymi postanowieniami stwarza problem, którym szybko muszę się zająć.

Odwrócił się.

- Heinrich, zawsze uważałem cię za równego kamrata. Porozmawiajmy szczerze o Tkaczyku. Wiem, że go nie cierpisz, ja również nie żywię dla niego zbyt wielkiej sympatii. Jednak jest mi bardzo potrzebny...

- E, pal go diabli! Damy sobie radę bez niego! - zawołał Herman. - Jeżeli ma się pętać wokół nas i stroić kwaśne miny, to lepiej od razu zrezygnujmy z jego wątpliwej pomocy.

- Nie rozumiesz. Prócz tej roboty z wydobyciem pieniędzy wymagam od niego także innych rzeczy. Tylko on może mi być pomocny. Ze względu na powagę sprawy muszę postawić na swoim i nie mogę pozostawić mu wyboru.

- Więc Elżbieta miała rację mówiąc, że jej mąż działa pod przymusem!

- Powiedzmy, że ma pewne zobowiązania. Wiesz, nie podoba mi się to, że ona zna nasze tajemnice. Ubiegłej nocy gadali do rana. Nie wiem dokładnie, co jej mówił. Teraz jestem w kropce... Chciałbym tego chłystka nauczyć rozumu...

Herman zastanowił się.

- Pozwól, że podsumuję sytuację - powiedział. - Tkaczyk ma dla ciebie coś załatwić, ale się wzdraga. Wygadał się przed żoną. Ta prosi mnie, bym wpłynął na zmianę twych żądań. Albert jest osobnikiem o wybitnie słabym charakterze, w trudnych sytuacjach zawsze szuka w kimś podpory. Obecnie zaufał żonie, spodziewa się od niej pomocy i biernie czeka, co nastąpi...

- Słuchaj, Heinrich! - przerwał mu Meyer. - Jeżeli wytrącimy mu to oparcie, zostanie sam i stanie się bardziej uległy!

- Ale jak to zrobić?

- Świta mi pewien plan... Zapalił papierosa. Po chwili rzekł:

- Udowodnimy mu, że nie może jej ufać. Ty, Heinrich, pojedziesz do niej po południu. Później pošlę Tkaczyka pod jakimś pretekstem do domu. Gdy zastanie żonę i ciebie w nieco dwuznacznej sytuacji, straci zaufanie do niej.

- I prawdopodobnie także głowę! - mruknął Herman, niezbyt zadowolony z koncepcji Meyera.

- Nie przerywaj! Ja obiorę wtedy, rolę serdecznego przyjaciela, pocieszę strapionego, a przy okazji przeciągnę go na naszą stronę.

- Dużą przykrość sprawimy Elżbiecie - stwierdził Herman markotnie. Był zły na Meyera, który realizując swe plany, rozstawiał ich jak pionki na szachownicy. Diabli wezmą tak dobrze zapowiadający się flirt z Elżbietą. W dodatku Tkaczyk będzie go uważał za wroga. Gdyby choć miał do tego powód! W ogóle wytworzy się sytuacja przykra dla wszystkich z wyjątkiem Meyera.

- Elżbieta nie jest nam potrzebna. Jej radość lub przykrości są sprawami drugorzędnymi - powiedział Meyer. Widząc kwaśną minę Hermana dodał: - Przecież mówiłeś, że masz dziewczynę we Wrocławiu!

- No to co? Nie ożeniłem się z nią. A nawet gdyby była moją żoną... - Nie kończąc zdania zdjął okulary i zaczął je polerować. Dalsza dyskusja z Meyerem była bezsensowna.

- Dobrze - powiedział. - Zrobię, co chcesz.

- Słuchaj więc. O pierwszej będę u nich na obiedzie. Zatelefonuj tam o wpół do drugiej. Telefon prawdopodobnie odbierze Tkaczyk. Zmień głos i powiedz, że chcesz rozmawiać z Elżbietą. Jeżeli zapyta, kto mówi, mruknij: „To nieważne... zadzwonię później” i

połóż słuchawkę. Wzbudzi to podejrzenie Tkaczyka. O drugiej wrócę z nim tutaj. Ty udasz się wtedy na Dubois. O trzeciej przyjadę tam z Albertem. Jasne?

Po dłuższym milczeniu Herman spytał:

- A kto zostanie tutaj?

- Lipiński.

- Willi! Co to za człowiek? Dlaczego nam nic o nim nie powiedziałaś?

- Prosił mnie o to - odparł Meyer.

- Nie możesz mi zdradzić sekretu? - nalegał Herman.

- Nic to nie da. Powiem ci tylko tyle: podczas wojny był w organizacji podobnej do naszej. Znam go z czterdziestego piątego roku. Wczoraj spotkałem się z nim przypadkowo. Pomyślałem, że może się przydać.

- Mieszka we Wrocławiu?

- Tak, mieszka i pracuje tutaj, lecz oficjalna praca chyba nie jest jego zasadniczym zajęciem. Właściwie dziwi mnie, dlaczego się zgodził na współpracę z nami. Jeżeli jest tym, za kogo go uważam, powinien był odmówić...

- Willi! Przestań mrużyć pod nosem. Nic z tego nie rozumiem... Powiedz, skąd wie Lipiński, że byliśmy w Wehrwolf? Czy ty mu powiedziałaś?

- Nie. Pod koniec wojny znajdował się we Wrocławiu i zna nasze nazwiska jeszcze z tego okresu.

- Czy należał może do współpracowników Malwiza? - Herman przysunął się na brzeg siedzenia i pochylił w stronę Meyera. - Oczywiście! To byłoby jedyne logiczne wytłumaczenie!

- Meyer zastanawiał się przez chwilę, potem z powodów jemu tylko wiadomych przyznał:

- Lipiński i Malwitz to jedna osoba.

- Co?! Przecież Malwitz nie żyje!

- Wtedy został ranny, lecz wyzdrowiał i od szesnastu lat przebywa w Polsce.

- Niewiarygodne! Cóż on tutaj robi?

- Na to pytanie ja także chciałbym otrzymać odpowiedź. Ale domyślam się, dlaczego mu tak zależy na zachowaniu incognito.

- Coś takiego! Malwitz we Wrocławiu... Jak on się odważył na taki krok! Na pewno jest na liście zbrodniarzy wojennych.

- Fe! Widzę, że nasiąkłeś komunistyczną terminologią! Cokolwiek Malwitz zrobił, było dla dobra naszej ojczyzny. Za to nie można go winić. Ale - dodał po namyśle - poczynił

sobie nieźle! Miał duże pełnomocnictwa. Masz słuszość, skoro odważył się na pobyt we Wrocławiu, musi mieć ważny cel. Coś mi to wszystko pachnie Gehlenem!

- Możliwe. Gehlen był podczas wojny szefem sekcji Abwehry. Malwitz współpracował z nimi. Kiedyś ich drogi musiały się skrzyżować. Gdzie on się znajduje obecnie? Wciąż w NRF?

- Gehlen? Tak, w Pullach, niedaleko Monachium.

- Byłeś tam kiedyś? Widziałeś go może? - spytał Herman z zaciekawieniem.

Meyer przytaknął. Pomyślał, że Hermana nie będzie trzeba nakłaniać do współpracy.

- Owszem, byłem w Pullach i poznałem Gehlena osobiście - powiedział z dumą. - Był to wielki zaszczyt dla mnie.

- Jak on wygląda? - pytał Herman zafascynowany.

- Liczy około sześćdziesięciu lat. Jest średniego wzrostu, ma wyraźnie zarysowaną szczękę, niebieskie oczy, ciemny wąsik. Cieszy się opinią „mężczyzny ze stali”, całym sercem i duszą oddany pracy dla niemieckiego narodu. Niestety, ma wielu wrogów i stale musi się mieć na baczności. Niedawno samochód, którym podróżował do Monachium, został ostrzelany z karabinu maszynowego! Na szczęście szyby wozu były z pancernego szkła.

Przez chwilę obaj w milczeniu wyglądali na mało ruchliwą ulicę. Potem Herman powiedział:

- Wiesz, od szesnastu lat nie miałem tylu wrażeń. Twój przyjazd, dolary, Elżbieta, Malwitz, Gehlen... Wydaje mi się, że do tej pory marnowałem czas, gnuśniałem przy swojej nudnej pracy.

- Jesteś technikiem w „Rokicie”, prawda? - cicho spytał Meyer, nie oglądając się.

- Znasz... wiesz, gdzie pracuję?

- Wiem to i owo - powiedział Meyer tajemniczo.

- Zaczynam rozumieć, Willi! Czy sądzisz, że ja... że mógłbym... - gorączkował się Herman.

- Sądzę, że powinienes! - spokojnie potwierdził Meyer. - Dla takiego mężczyzny jak ty marna pensja, którą otrzymujesz, na pewno nie wystarczy.

- Słusznie! A na czym polega ta praca?

Przez następnych kilkanaście minut Meyer wtajemniczał Hermana w arkana pracy szpiegowskiej. Adept słuchał z przejęciem. W jego wyobraźni otwierały się wizje nowej, wspaniałej egzystencji. Urządzi sobie garsonierę, kupi nowoczesne meble, telewizor, samochód! Z biegiem czasu wyjedzie za granicę. Życie znów było piękne, bogate, urozmaicone!

*

Przed wyjazdem do Oporowa Malwitz odebrał telefon od swojej narzeczonej.

- Dzwonię ze sklepu na Dubois. W sprawie Wojtka... wiesz?

-. Tak, chodzi o faceta, którego miałaś śledzić. Mów!

- Poszedł za Stefanem do tego budynku na Kościuszki, lecz po chwili wrócił na ulicę. Minutę lub dwie spacerował tam i z powrotem, wreszcie udał się do baru „Tempo”. Potem wsiadł w tramwaj i pojechał na Pomorską. A teraz słuchaj! - ściszyła głos. - Wszedł do jednego z domów. Przeczekałam parę sekund i pobiegłam za nim. W sieni nasłuchiwałam jego kroków. Daremnie! Wojtek pięknym stylem powtórzył trick Stefana! Dopiero po chwili zorientowałam się, że z podwórka można przejść do następnego domu, z którego sieni wychodzi się na ulicę Rydygiera. Po cwaniaku oczywiście ani śladu. Bardzo przepraszam...

- Nie martw się! - odparł Malwitz. - Jestem przekonany, że wkrótce ukaże się znowu. Jeszcze nie dowiedział się tego, co go ciekawi.

- Naprawdę strasznie mi przykro! Któż by się po naszym niepozornym Wojtku spodziewał takiej przebiegłości!

- Widocznie twoje kryminały jeszcze nie dały ci dostatecznej edukacji w tej dziedzinie. Niepozorny, głupkowaty typ na końcu zawsze okazuje się albo wybitnym detektywem, albo wyrafinowanym przestępcą.

- Tralalala! A co u ciebie?

- Na razie nic nowego. Załatwiłem parę spraw w mieście, teraz wracam do Oporowa. Meyer na pewno już się niecierpliwi.

- Kiedy będziesz w domu?

- Prawdopodobnie o drugiej. W każdym razie czekaj na mnie, póki nie przyjdę.

*

Mężczyzna, który tak sprytnie zwiódł narzeczoną Malwiza, nie poprzestał na wymknięciu się spod obserwacji. Jak Zosia słusznie stwierdziła, wyszedł przez podwórze na ulicę Rydygiera, lecz stamtąd - o czym nie wiedziała - natychmiast wrócił na Pomorską i z cynicznym uśmieszkiem przyglądał się z ukrycia jej manewrom. Widział, jak wkrótce wróciła na ulicę wyraźnie rozczarowana i gniewna. Chwilę wahała się, w którą pójść stronę, potem skierowała się ku ulicy Dubois i weszła do jednego z większych sklepów.

Ostrożnie zerkając do wnętrza, mężczyzna w brezentowej kurcie dostrzegł, że korzysta z telefonu...

Z rutyną, która świadczyła o doskonałym opanowaniu sztuki śledzenia, nieznamy tropił dziewczynę aż do momentu, kiedy zatrzymała taksówkę i odjechała w kierunku

śródmieścia. Dopiero wtedy zamyślony wrócił na ulicę Pomorską. Idąc zastanawiał się głęboko nad znaczeniem ostatnich wydarzeń.

*

Malwitz powiadomił Meyera o wyniku swych starań.

- W willi mieszka małżeństwo z synkiem i babcia - rekapitulował Herman. - Oby tylko nie mieli gości w piątek...

- Nie rozpoczniemy akcji przed jedenastą w nocy - odparł Meyer. - Do tej pory goście, jeżeli przyjdą, powinni się wynieść. No, najwyższy czas, abym trochę wyprostował nogi. Masz prawo jazdy, Stefan?

- Mam.

- Odjedź samochodem spory kawałek stąd, potem wróć tutaj i spaceruj w okolicy domu. Mieszkańcy rzeczywiście zaczynają zwracać na nas uwagę. Ja pojedę z Heinrichem do miasta, około drugiej wrócę tu z Albertem. Bye, bye!

*

Tkaczykowie w posępnych nastrojach wiedli rozmowę o Meyerze. Zegar wskazywał godzinę pierwszą. Z otwartych drzwi kuchni dolatywały zapachy gotowanego obiadu.

- Gdy jestem z nim, ulegam tym zmyślnym perswazjom, groźbom i prośbom - mówił Tkaczyk, bezradnie rozkładając ręce. - Dziś powiedział, że jeżeli zachowam się nieostrożnie i cokolwiek wyjdzie na jaw, stracę to, na czym mi najwięcej zależy: stanowisko i wolność. Po prostu nie mam wyboru, muszę robić, co mi każe. Poza tym ten człowiek ma niewiarygodne zdolności odgadywania myśli. Był przekonany, że tobie wszystko powiedziałem.

Elżbieta słuchała z opuszczoną głową. Rozmyślała, czy wspomnieć mężowi o rannej wizycie, lecz obawiając się, by zamiar wykorzystania Hermana jako pośrednika nie nasunął mężowi wniosku, że interwencja nie będzie bezinteresowna, postanowiła na razie milczeć.

- Na czym skończyła się rozmowa? - spytała.

- Przyrzekłem spełnić jego polecenia. Co innego mogłem zrobić?

U drzwi wejściowych krótko zabrzączał dzwonek.

- To pewnie on - powiedziała Elżbieta wstając. Przywitała Meyera z grzecznością, lecz chłodno.

- Proszę, niech pan wejdzie. Albert jest w pokoju. Meyer spojrział na nią z zaciekawieniem, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Rzeczywiście ładna - stwierdził, przestępując próg. - Halo, Bert! - zawołał. - Wypocząłeś?

Tkaczyk wstał, wskazał Meyerowi fotel.

- Wcale nie byłem zmęczony. Wydarzyło się coś nowego?

- Niewiele. Lipiński zdobył nazwiska całej rodziny. Są tam cztery osoby. Poza tym jutro muszę zrezygnować z twego samochodu lub przynajmniej nie zatrzymywać się w pobliżu willi. Ludzie zwracają coraz większą uwagę. Biedny kraj! - dodał złośliwie. - U nas jest wszędzie tyle samochodów, że nikt nawet nie spojrzełby po raz drugi.

- Dzielnice peryferyjne są takie same na całym świecie - mruknął Tkaczyk.

Elżbieta raz po raz rzucając na gościa roztargnione spojrzenia zajęła się nakrywaniem do stołu.

- Twoja żona nie patrzy na mnie łaskawym okiem - powiedział Meyer po niemiecku do gospodarza, gdy Elżbieta wyszła do kuchni.

- Skądże! - żywo zaprzeczył Tkaczyk. - Jest trochę zdenerwowana, boi się, czy obiad będzie ci smakował.

- Bzdury! - ostro odparł Meyer. - Wciąż kombinujecie, jak mnie zwieść, co?

- Znowu zaczynasz? - Tkaczyk nachmurzył się. - Nie jesteś... - przerwał, gdyż żona wróciła niosąc wazę z zupą.

Obiad jedli niemal w milczeniu. Meyer czasem rzucił gospodyni jakiś okolicznościowy komplement. Elżbieta odpowiadała zdawkowo.

- Niewiarygodne, jak się ludzie zmieniają z biegiem lat - powiedział Meyer zabierając się do deseru.

Małżonkowie zdziwieni spojrzeli na siebie.

- W pewnych okolicznościach poznajemy człowieka - mówił Meyer - wyrabiamy, sobie o nim opinię, powiedzmy dodatnią, uważamy go za odważnego, męskiego, wartościowego osobnika. Po latach, słusznie się spodziewając, że te walory w nim dojrzały i utrwaliły się, spotykamy go znowu i rozczarowujemy się zmianą, jaka w nim zaszła. Zamiast dawnego, śmiałego faceta znajdujemy człowieka bojaźliwego, zgnuśnialego i ociężałego.

Tkaczyk poruszył się niespokojnie i nizej schylił głowę nad stołem. Elżbieta niespodzianie zabrała głos.

- Indywidualne zdanie o drugiej osobie jest zawsze względne - powiedziała, wymawiając słowa wolno i wyraźnie. - To, co w pewnych sytuacjach wydaje się nam odwagą, może w rzeczywistości być tylko obroną narzuconą przez okoliczności. Tak więc czyny, których człowiek dopuszcza się w trudnej sytuacji, wcale nie świadczą, że jest on bohaterem z powołania. Podczas ostatniej wojny dużo ludzi uległo moralnemu uciskowi okupanta i ratowało swój dom, rodzinę, wolność lub nawet życie uciekając się do kłamstwa i niekiedy kolaboracji. Po prostu obierali linię najmniejszego oporu.

- Sądzi pani, że się maskowali? Może wierzyli w trwałość ówczesnej rzeczywistości, a zmienili swe poglądy dopiero wówczas, gdy ogólna sytuacja uległa zmianie?

- Jeżeli ktoś jest oportunistą, to nie znaczy, że brak mu zdrowego rozsądku. Mówi się: „Jak żeś wlaźł między wrony, to kracz jak i one”. Podczas wojny tysiące osób krakało w takt Horst Wessel Lied, ani przez moment nie wierząc w naiwną nazistowską ideologię. Gdy tylko nadarzyła się okazja, ludzie ci opuścili stado wron i wrócili do swego dawnego życia.

Meyer spojrział na nią z widocznym respektem. Wie oczekiwał od niej sensownych replik.

- Jeśli ci osobnicy - powiedział - służyli sprawie, w którą absolutnie nie wierzyli, to faktycznie byli ludźmi małego serca, fałszywymi i, oczywiście, tchórzliwymi. Trudno mieć dla nich poważanie.

- Służyli pod przymusem... Meyer podniósł rękę.

- Proszę nie zapominać, że w okresie, gdy, jak pani twierdzi, ulegli moralnemu naciskowi, przyjaźnili się z osobami szczerze oddanymi sprawie, zdobywali ich zaufanie. Jak więc taki człowiek, obecnie hołdujący nowej wierze, powinien zachować się wobec dawnych przyjaciół?

- Właściwym byłoby ich unikać. A tamci bohaterowie z prawdziwego zdarzenia mogą sobie gardzić nimi, ignorować ich, ale w żadnym wypadku nie powinni starać się nawracać przypadkowych kamratów i wskrzeszać w nich heroizm, do którego nie byli powołani.

- Ma pani rację. Trudno poważać człowieka, który uroczyście przysięga wierność i posłuszeństwo, ale zapomina o tym wszystkim, gdy czasy się zmieniają. Czy takiemu osobnikowi w ogóle można ufać?

- Biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich ta przysięga została złożona, można jego postępowanie usprawiedliwić. Należy być wyrozumiałym dla ludzkich ułomności i słabostek.

- Ładne słabostki! Znam osoby, które należały do SS, a obecnie uważają się za skrzywdzone ofiary nazizmu i chcą, aby świat w to uwierzył!

Mówiąc to Meyer zerkał na Tkaczyka, przysłuchującego się wymianie zdań z miną wielce nieszczęśliwą.

- Esesmani popełnili tyle potworności, że bez głębszego zastanowienia się można potępić ich w czambuł - odparła nie wiedząc, do czego zmierza jej rozmówca.

- Więc gotowa jest pani przebaczyć najróżniejszym oportunistom i poddającym się przemocy renegatom, z wyjątkiem potworów, które należały do SS! Nie odpowiadając wzruszyła ramionami.

- Jak wiadomo, do SS przyjmowano wyłącznie ochotników - kontynuował Meyer - ponadto ludzi ze stosowną przeszłością, ludzi, którzy dali dowody wierności i wzbudzali zaufanie. Czy słyszała pani - mówił dobitnie i z wyraźnym sarkazmem - że do SS należało ugrupowanie zwane Wehrwolf?

Tkaczyk kilkakrotnie głośno przełknął ślinę. Elżbieta opuściła głowę, by nie patrzeć na drwiącą twarz Niemca. Banalna argumentacja wcale jej nie przekonywała, lecz trudno było zaprzeczyć faktom, na których opierał swą dogmatyczną frazeologię.

Meyer, dumny, wyprostował się na krześle. Udowodnił tej przemądrzałej osobce, jak chwiejne są jej argumenty. Równocześnie czuł wzdrganie dla Tkaczyka, który nie wypowiedział ani słowa na swą obronę, tylko bez przerwy palił papierosy i stroił bezradne miny.

Nieprzyjemną ciszę przerwał dzwonek telefonu. Tkaczyk wstał równocześnie z Meyerem.

- To na pewno do mnie - powiedział Niemiec podchodząc do aparatu. - Pozwól, że odbiorę. - Zdjął słuchawkę. - Halo?

- Czy to pan Harold Winkiel? - usłyszał znajomy głos.

- Tak.

- Mówi Różycki. Miał pan telefonować do mnie we wtorek. Dlaczego pan nie dzwonił?

- Zupełnie zapomniałem. Bardzo przepraszam. Czy można by to załatwić dziś wieczorem?

- Rozumiem, ale sprawa jest bardzo pilna - odparł tamten. - Zadzwoń o siódmej, odpowiada?

- Oczywiście! Gdyby... Połączenie przerwano.

Meyer zamyślony usiadł na miejscu. Tkaczyk przyglądał mu się z zaciekawieniem. Przez kilkanaście sekund nikt się nie odezwał. Potem gospodarz wyjął paczkę „Waweli”.

Właśnie zapalali papierosy, gdy telefon znów zadzwonił. Tkaczyk wstał mrucząc coś.

- Z kim? - zawołał w słuchawkę. - Z Elżbietą? Czy mogę wiedzieć, kto prosi?... Nieważne? Co to znaczy?! - Dopiero po chwili zrozumiał, że nieznajomy odłożył słuchawkę.

- Jakiś idiota! - stwierdził pośpiesznie. - Nie wiem, czego chciał.

Elżbieta spojrzała pytająco na męża. Widząc, że unika jej wzroku, zaczęła sprzątać ze stołu. Tkaczyk ukradkiem obserwując żonę usiłował sobie wytłumaczyć, co znaczył otrzymany przed chwilą telefon. Ktoś pytał o Elżbietę i nie chciał powiedzieć swego nazwiska... Opanował irytację i spojrzał na zegarek. Dochodziła druga.

- Kiedy wracamy? - spytał.

- Już. Najwyższa pora. Meyer zwrócił się do Elżbiety:

- Uprzejmie dziękuję za wyborny obiad - powiedział patrząc jej w oczy. - Przy sposobności, o ile pani pozwoli, dokończymy naszą ciekawą pogawędkę.

- Jeżeli sprawi to panu przyjemność... - odparła z wymuszonym uśmiechem.

Tkaczyk po poprzedniej irytacji uczuł osobliwe zadowolenie na myśl, że utarczka słowna nie wypadła na korzyść żony. To dobrze. Doświadczyła na sobie, jak trudno wskórać cokolwiek przeciwko chytremu Niemcowi...

Dzień włókł się bezsłoneczny, dziwnie przygnębiający; powietrze było wilgotne, niebo zaciągały sine chmury. W odartych z liści ogrodach hulał zimny wiatr; kołysał zeschniętymi badyłami, tłukł się po mokrych parkach, świszcząc w rozpiętej nad ulicami sieci drutów i przewodów. Domy w tę dżdżystą pogodę zdawały się pozbawione koloru, poszarzałe i cichsze.

Meyer i Tkaczyk przechadzali się spokojną uliczką. Przybysz z Niemiec nadal nękał swego dawnego kompana zjadliwymi insynuacjami, jątrzył i znieważał słowami, jakby usiłował go zdruzgotać, zmiażdżyć, aby potem z tej papki ulepić nowy, zadowolający produkt.

Niezaradny Tkaczyk, wyrwany z swojskiego środowiska, odarty z powagi i całkiem bezbronny, w duchu ubolewał nad swą niedolą.

Obserwacja willi nie dała dotychczas nadzwyczajnych wyników. Kobieta, która przed południem wyszła razem z malcem, wróciła niosąc siatkę wypchaną zakupami. Kilkanaście minut później nad kominem zakłębił się dym. Chłopiec, ubrany w kozuszek i wełniane rajtuzy, wybiegł do ogrodu, bawiąc się, wywijając patykiem jak szablą i ścinał co wyższe chwasty. Gdy to mu się znudziło, zaczął majstrować przy ogrodzeniu.

Meyer spojrział na zegarek. Było pół do trzeciej. Za dwadzieścia minut powinien przyjść Malwitz. Umówił się z nim w tajemnicy przed Tkaczykiem. Przedwczesne przyjście gestapowca musiało sprawić wrażenie przypadku.

Zmieniając temat dotychczasowej rozmowy spytał:

- Albert, co sądzisz o Heinrichu?

- O Hermanie? Nieciekawy facet.

- Nie lubisz go?

- Brak mi powodu, aby go lubić. Jest mi zupełnie obojętny.

- To niedobrze, Albert. Myślę, że powinien cię interesować.

- Dlaczego?

- Jest przystojny, zuchwały i raczej inteligentny. Może się podobać.

- Mnie nie. Uważam go za snoba i kpiarza. Będę zadowolony, gdy nasze drogi się rozejdą.

- Może się podobać kobietom - uzupełnił Meyer.

- Jeżeli o mnie chodzi - niech sobie założy harem! - zawołał Tkaczyk.

- Ciebie dziewczynki, a raczej babki, jak zwykliście tu mówić, nie interesują?

- Zapominasz, że jestem żonaty.

- Właśnie o tym myślę. Kochasz swą żonę, Bert? - spytał łagodnie.

- Jesteśmy do siebie przywiązani - odparł Tkaczyk wymijająco. - Przekonałem się, że w trudnych sytuacjach tylko w Elżbiecie znajduję przyjaciela.

- Tak powinno być. Faktycznie broniła cię dzisiaj zajadle. Imponowała mi. Szkoda, że Heinricha przy tym nie było.

- Dlaczego?

- Elżbieta fantastycznie wyglądała w swym zapale...

- Do czego zdążasz, Willi?

- O, to nie moja rzecz! - powiedział Meyer obojętnie.

- Co jest znowu?! To, że moja żona podoba się Hermanowi, jest oczywiste. Ten typ na pewno mizdrzy się do każdej względnie przystojnej kobiety w wieku od piętnastu do pięćdziesięciu lat.

- Jesteś pewny swej żony?

- Naturalnie! - Przypomniał sobie dziwny telefon. - Raczej tak... - poprawił. - Czy sadzisz, że Herman mógłby zwrócić jej uwagę na siebie? Śmieszne! Taki nic nie znaczący, zarozumiały pętał może mieć powodzenie tylko u dziewcząt o wiadomej reputacji.

- Nie znasz kobiet. Dwoje ludzi, których miałem okazję obserwować wczoraj wieczór, bynajmniej nie kryło wzajemnego zainteresowania sobą. Jestem przekonany, że Heinrich, interpretując spojrzenia Elżbiety we właściwy jemu sposób, będzie szukał okazji do zawarcia bliższej znajomości.

Tkaczyk zmarszczył czoło.

- Ten bubek zrobi to, choćby dlatego, żeby mi dokuczyć - mruknął posępnie. - Jednak ufam Elżbiecie! - Trwał przy swoim, choć brak mu było wewnętrznego przekonania.

- Wiem, że jej ufasz. Powierzyłeś jej wszystkie nasze sekrety - powiedział Meyer bez cienia zarzutu w głosie. - Jednak postąpiłeś źle. Tak samo, jak myliłeś się paplając jej o naszych planach, tak obecnie jesteś w błędzie sądząc, że przepuści sposobność, hm... poflirtowania z Hermanem.

Dyskretnie się odwracając, dostrzegł nadchodzącego Malwitza. Jeszcze był daleko. Meyer szybko zastanowił się, jak dolać oliwy do ognia. Tkaczyk zgarbiony przeżuwał słyszane słowa.

- Gotów jestem założyć się o każdą sumę - wolno i wyraźnie mówił Meyer - że właśnie w tej chwili spędzają czule tete-a-tete. Herman wie, że nie wrócisz do domu przed szóstą. Niewątpliwie spróbuje wykorzystać tak świetną okazję. Ręczę, że jego wypróbowane metody zalecania się zostaną uwieńczone sukcesem. Każda normalna kobieta tylko przez pewien czas opiera się pokusie. Jeżeli amant jej wręcz nie odstręcza, a przy tym jest wytrwały, ulega mu prędzej czy później.

Niemiec świetnie się bawił kosztem strapionego Tkaczyka. Podświadomie wyczuwał, że ta inscenizacja „dramatu” wcale nie jest konieczna dla jego planów, lecz znęcanie się nad bezradnym kamratem sprawiało mu osobliwą przyjemność. Śledząc go, jak kot warujący nad zapędzoną w kąć myszą, dodał:

- Wyobrażam sobie twoją żonę, której tak ślepo i bezgranicznie ufasz, w objęciach wniebowziętego Hermana!

Tkaczyk ociężale zaprzeczył głową. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, zacisnął usta.

- Właściwie nie masz się czym przejmować - niedbale dorzucił Meyer. - Takie rzeczy zdarzają się często i nie trzeba z nich robić tragedii. Cest la vie!

- Przestań, Willi! Przestań! - wykrztusił Tkaczyk. Malwicz zbliżał się.

- Nie miałem zamiaru cię denerwować - powiedział Meyer. - Jednak wiem, że jesteś trochę uprzedzony do mnie, więc tym ostrzeżeniem chciałem oddać ci przyjacielską przysługę. Dziwię się, jak mogłeś nie zauważyć... O, halo Stef! Co ty tu robisz?

Malwicz kiwnął głową Tkaczykowi.

- Dowiadywałem się o możliwości pożyczania samochodu - powiedział. - Niestety, nic z tego. Mój znajomy, jedyny, od którego mógłbym wziąć wóz, wyjeżdża na kilka dni do Warszawy. Chciałem ci o tym od razu powiedzieć, dlatego przyszedłem.

- Willi! - wtrącił Tkaczyk. - Czy mógłbym cię na parę minut przeprosić? Wiesz, nie zaznam spokoju, dopóki się na własne oczy nie przekonam, że twoje podejrzenia są bezpodstawne. Wezmę wóz i natychmiast wrócę.

- Jedź, jedź! - skwapliwie zgodził się Meyer. - Chociaż... czasem lepiej jest żyć w nieświadomości. „Czego oko nie widzi - tego sercu nie żal” - zacytował po niemiecku. - Masz trochę czasu? - zwrócił się do Malwitza.

- Owszem, czy mam tu zostać?

- Tak, pojedę z Albertem. W tym nastroju gotów jest rozbić samochód.

Malwitz spojrział za odchodzącym Tkaczykiem.

- Co się stało?

- Jest zazdrosny o żonę. Podejrzewa ją o flirt z Hermanem.

- No to biegnij za nim. Zaczekam, aż wrócisz.

*

Herman opowiadał Elżbiecie historię swego życia. W większej części zmyślone wspomnienia, zabarwione ckliwymi epizodami obliczonymi na wzbudzenie sympatii, przeplatał odpowiednią mimiką i gestami, chwilami „zadumy” i „nerwowym paleniem papierosów”. Mówił o swym ojcu, który był oficerem, i o swoim wujku, który piastował stanowisko w Ministerstwie Oświaty. Było oczywiste, że chce zaimponować Elżbiecie swym pochodzeniem społecznym i kulturą.

Elżbieta słuchała bufonady z pozorną uwagą, doskonale zdając sobie sprawę, że Herman mozolnie usiłuje „stworzyć nastrój”.

- Przyznam - mówił - że propozycje Meyera są dla mnie bardzo kuszące. Od lat mieszkam ze starzejącymi się rodzicami, muszę dostosować się do ich życzeń, słuchać ich gderania i swarów. Ponieważ oficerska renta ojca jest znikoma, lwią część moich zarobków pochłania ich utrzymanie, odzież i podobne wydatki. Jako inżynier zarabiam nieźle, jednak w rzeczywistości dysponuję tylko groszami. Jeżeli plany Meyera dojdą do skutku, nareszcie znajdę możliwość usamodzielnienia się. Ale dlaczego o tym wszystkim pani mówię? Nudzę panią...

- Wcale nie. Wzrusza mnie pańska niedola!

- Pani drwi ze mnie - udał zakłopotanie. - A ja łudziłem się, że pani mnie zrozumie!

Chwilę rozmawiali o tym i owym, potem Elżbieta powiedziała:

- Jeszcze nie wspomniał pan ani słówkiem, czy Meyer zgodziłby się zrezygnować z pomocy mego męża. Miał pan zbadać sytuację.

- Dyskutowaliśmy z Meyerem obszernie o wielu sprawach - zaczął Herman ostrożnie.

- Ma do mnie zaufanie i niewątpliwie przychylił się do mojej prośby.

- Konkretnie jeszcze pan nic nie załatwił?

Zerknął na zegar tykający na kredensie. „Za dziesięć minut trzecia, trzeba się śpieszyć!” - pomyślał.

- Elżbieto! Gotów jestem zrobić wszystko, co pani chce, tylko proszę traktować mnie poważnie i przychylnie.

Schylając się ujął jej rękę.

- Rozumiem doskonale, że Albert nie nadaje się do ryzykownych robót i przekonam Niemca o tym. Gdy Meyer ustąpi, wszystkie pani zmartwienia znów miną - powiedział z egzaltacją, po czym podniósł jej rękę do ust i zaczął całować czubki palców.

- Wierzę panu - odparła rozmyślając, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. - Może... może pan się czegoś napije? - spytała szybko. - Kawy...

- Chętnie! - zgodził się natychmiast. - Jeżeli można, to proszę o kieliszek wódki.

Był niezadowolony z obrotu spraw. Elżbieta wcale nie okazywała skłonności do romansu. Wszystkie aluzje ignorowała lub obracała w żart. „Widocznie obrałem złą taktykę - myślał. - Lecz czas ucieka, obecnie nie pora zastanawiać się nad innymi możliwościami. Lada moment wpadnie zazdrosny mąż...”

Gdy Elżbieta wróciła z tacą, wziął butelkę, odkorkował ją i napełnił kieliszki.

- Pan się nie pogniewa, jeżeli nie wypiję? - powiedziała wahając się, czy usiąść.

- O, pół kieliszka na pewno nie zaszkodzi! Przecież nie boi się pani męża, pani Elżbieto? Zresztą, wróci dopiero wieczorem.

Nagle zdawało mu się, że przed dom zajechał samochód.

- Mój mąż nie jest tyranem, nie mam powodu się go obawiać - powiedziała.

Bacznie nasłuchując, Herman usłyszał trzaśnięcie drzwi wozu.

- Podał wódkę Elżbiecie.

- No, to wypijmy!

- Jeżeli pan nalega - kieliszek. Więcej nie.

- Za spełnienie naszych marzeń!

Gdy podniosła kieliszek do ust, trącił ją, jakby niechcący, w ramię. Część trunku wylała się na sukienkę.

- Och, przepraszam! - zawołał. - Co za niezdara ze mnie!

Wyrwał chusteczkę z kieszeni i zaczął wycierać splamione miejsce.

Kroki na schodach zbliżały się szybko.

- Niechże pan zostawi! To głupstwo, naprawdę! Nagle usłyszeli chrobot klucza w zamku. W drzwiach stanął Tkaczyk. Jednym spojrzeniem ogarnął scenę: Hermana stojącego blisko żony, kieliszki, butelkę z wódką, pełną niedopałków popielniczkę.

W pierwszej chwili wydawało się, że wybuchnie gniewem. Zbladł, oparł się dłonią o framugę drzwi.

- Więc jednak! A ja nie wierzyłem! - wymamrotał, patrząc na zaczerwienioną Elżbietę i na Hermana, który opuścił wzrok i manipulował przy krawacie.

Meyer zaciekawiony przystanął w progu. Tkaczyk wszedł niepewnym krokiem do pokoju i zbliżył się do żony.

- Ty z tym... tym bubkiem! - pociągnął nosem. - Cuchniesz wódką jak... dziwka!

Chciał nadać słowom ostre brzmienie, lecz wargi mu drżały, głos łamał się, w gardle coś go dławilo.

- Hm - chrząknął Herman - przecież jeszcze nic się nie stało! - powiedział z naiwną miną, kładąc nacisk na słowo „jeszcze”. - Nie wiem, jakie лихо was tu sprowadziło...

- Heinrich! - powiedział Meyer surowo i podszedł do swego towarzysza. - Postąpiłeś bardzo nieroztropnie! Czy nie mogłeś wybrać innej pory dla twych amatorów? Wyjdź stąd natychmiast! - rozkazał i pchnął go lekko ku drzwiom.

Herman bez słowa opuścił pokój.

- Elżbieto! - na tłustej twarzy Tkaczyka malowała się ogromna rozterka. Odstąpił od żony i ociężale usiadł w fotelu. Otepiałym wzrokiem patrząc na butelkę wódki i kieliszki, pokiwał głową i znów mruknął: - Elżbieto! Właśnie teraz...

Meyer spojrzał na zmieszaną kobietę i skinieniem ręki dał jej znać, aby wyszła z pokoju. Staął za fotelem.

- Przykro mi, Albert, że to ja musiałem ci oczy otworzyć - powiedział łagodnie. - Ale pomyśl, właściwie nic się nie stało. Przybyliśmy w porę.

- A ja jej ufałem!

- Może teraz uwierzysz, że zachowałeś się lekkomyślnie. W tych sprawach nikomu nie wolno ufać. Byłem zły na ciebie, postąpiłeś niewłaściwie. Lecz puśćmy to już w niepamięć. - Napelnił kieliszek. - Głowa do góry! Wypij, dobrze ci zrobi.

Tkaczyk posłusznie wypił wódkę.

- Nie rozumiem, jak do tego mogło dojść - mówił trochę spokojniej. - Jak mogła zadawać się z tym beczelnym bubkiem.

Elżbieta wróciła do pokoju.

- Bert - odezwała się niepewnym głosem - chciałabym z tobą porozmawiać. Zaszło przykre nieporozumienie. Mogę w kilku słowach wytłumaczyć.

Tkaczyk poruszył się niespokojnie. Spojrzał na żonę nieprzyjaznym wzrokiem.

- Teraz nie! - zawołał Meyer stanowczo. - Proszę zrozumieć, że mąż przeszedł szok i nie jest w nastroju do rozmowy lub słuchania wyjaśnień.

Zauważył, że poprawiła uczesanie i zmieniła suknię.

- Willi ma słuszość - powiedział Tkaczyk odzyskując pewność siebie. - Wątpię, abyś nawet przy swej przebiegłości potrafiła wyjaśnić to, co widziałem na własne oczy! - mówił z

goryczą w głosie. - Tfu! Co za obrzydliwość! Umawiała się z nim telefonicznie... Wiedział, że mnie nie ma! Nie mogłaś pójść do parku, na ławkę? Ilu takich już miałaś, co? - zachłystywał się słowami. Dopiero teraz ogarniała go wściekłość.

Meyer położył mu rękę na ramieniu.

- Uspokój się, Bert! - powiedział ostro. - Nie pora na kłótnie. Chodź, wrócimy do Lipińskiego. Z Hermanem porozmawiam i porządnie natrę mu uszu. No, do diabła, opanuj się!

Za plecami znów skinął ręką Elżbiecie, aby wyszła z pokoju. Potem perswadował zasępiotemu Tkaczykowi, że wszczynanie awantur jest bezcelowe.

*

Gdy ponownie znaleźli się w Oporowie, Tkaczyk nieco stłumił wzburzenie i znowu odzyskał równowagę. Meyer zaniechał dawnej opryskliwości i agresywności, czyniąc wszystko, by zdobyć zaufanie zawiedzionego mężczyzny.

Malwitz nie zakomunikował im nic rewelacyjnego. Kobieta, prawdopodobnie ta sama, która przedtem dokonywała zakupów, jeszcze raz wyszła z domu i wkrótce wróciła niosąc jakieś torebki.

- Obawiam się, że nasza obecność wzbudzi ciekawość mieszkańców - mówił. - Wszyscy tutaj się znają i zwracają na obcych uwagę. Ulica jest za mała, aby jakiś nieznajomy mógł kręcić się na niej niepostrzeżenie przez cały dzień.

- Masz rację, Stef - przytaknął Meyer. - Nie sądzę, by dalsze wyczekiwanie przed willą przydało się na coś. Dziś wieczór pójdę na krótki rekonesans do ogrodu, potem zastanowimy się nad planem działania. Zostanę jeszcze chwilę z Albertem. Spotkamy się tutaj wszyscy przed dziewiątą, dobrze?

- Dobrze. No to do zobaczenia!

Meyer przez chwilę patrzył za odchodzącym Malwitzem, potem zwrócił się do Tkaczyka, stojącego bez ruchu na krawędzi chodnika i rozmyślającego nad czymś z posępną miną.

- Rozchmurz się stary! - Klepnął go po ramieniu. - Chodź! Teraz porozmawiamy w spokoju.

*

O godzinie dziewiątej wieczór cała czwórka znowu siedziała w samochodzie na Oporowie. Co pewien czas zmieniali pozycję, odjeżdżali na główną szosę lub zostawiając wóz na bocznej ulicy spacerowali dwójkami w pobliżu obserwowanej willi.

Noc, jak należało oczekiwać, była ciemna i ponura. Mężczyźni nie byli w nastroju do rozmowy, każdy snuł własne, skryte myśli.

Malwitz wyciągnął nogi przed siebie, oparł się wygodnie i paląc papierosa rozmyślał, kim jest ów dziwny osobnik, który przed południem warował przed jego mieszkaniem. Istniała możliwość, że Meyer po przyjeździe do Wrocławia był przez kogoś obserwowany, przy czym ów ktoś chciał się dowiedzieć, z kim Niemiec nawiązuje kontakty. Kimkolwiek był tajemniczy mężczyzna, na pewno postara się zdobyć bliższe informacje. Należy mieć oczy i uszy otwarte...

Herman czuł się nieswojo. Trzymając papierosa w ustach zerkał na siedzącego przed nim Tkaczyka. Poniekąd żałował, że popsuł swe szanse wobec Elżbiety. Lecz - pocieszał się - gdy zdobędzie większą sumę pieniędzy, będzie mógł wybierać do woli. Swoją drogą do żywego dokuczył Tkaczykowi, wobec którego żywił głęboką odrazę. Zresztą - pomyślał sobie - po upływie pewnego czasu można ponowić starania o względy jego ponętnej żony. Skoro udało mu się zasiać nieufność, łatwo może dojść do rozkładu tego niezbyt dobranego małżeństwa...

Tkaczyk nie wyzbył się jeszcze gorzkich wspomnień popołudniowej sceny. Siedział w swym Wartburgu markotny, skulony i dawał się unosić zmiennym falom zazdrości i rozgoryczenia. Z tą nadmierną wrażliwością ludzi nieporadnych i bezsilnych, przygnębiony zdradą Elżbiety, faktycznie najbardziej ubolewał nad samym sobą i nad niedolą, która go spotkała.

Jak nieoczekiwanie wyrozumiały i serdeczny okazał się Willi Meyer! Podczas długiej rozmowy niezwykle ostro potępił Hermana. Potem obszernie mówił o prawdziwej przyjaźni, którą najlepiej poznaje się w momentach krytycznych. „Udowodnij sobie samemu - mówił - że jesteś mężczyzną. Musisz zmienić swój pogląd na świat, wtedy poprawi się twoje samopoczucie, życie nabierze sensu...” Radził, wcale nie nalegał, intensywnie zająć się poprzednio proponowaną pracą. Twierdził, że przez to, biorąc pod uwagę ryzyko, świadomość odosobnienia od reszty społeczeństwa i niezależność finansową, nabierze wiary w swe siły.

Meyer niewątpliwie miał rację - myślał Tkaczyk. - Jest sprytny i przewidujący. Udowodnił to swymi trafnymi domysłami o podstępnych zamierzeniach Hermana. Marszcząc brwi głowił się, jaki powinien być w przyszłości jego stosunek do Elżbiety. Westchnął głęboko. Wiedział doskonale, że nic się nie zmieni!

- Wciąż rozpamiętujesz tę historię? - mruknął siedzący obok niego Meyer. - Otrząśnij się, człowieku! - Głośniej powiedział: - Słuchajcie! Czas zastanowić się nad planem akcji.

Obserwujemy dom od szesnastu godzin i, łącznie z uzyskanymi informacjami, możemy ustalić, że mieszkają w nim tylko cztery osoby: Kawecki z żoną i czteroletnim synem oraz babcia. Kawecki wraca z pracy o czwartej. Jego żona widocznie zajmuje się gospodarstwem. Gości nie widzieliśmy. Obecnie w jednym z pokoi wciąż pali się światło. Od godziny szóstej wieczór ruch na tej ulicy jest nieznaczny. Z okolicą zapoznaliśmy się dokładnie w ciągu dnia. Znaście każdy dom, ogród i obustronne dojazdy. Teraz uradźmy, jak wydobyć schowaną w tym domu skrzynkę.

- Iloma samochodami będziemy dysponowali? - spytał Malwitz. - Tylko tym?

- Nie, Heinrich postara się jutro o drugi. Będą dwa wozy. Po robocie odjedziemy nimi jednocześnie. Gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego, na przykład niemożliwość zapuszczenia silnika lub jakaś przeszkoda na drodze, wsiądziemy w jeden samochód.

- To byłoby nieostrożne - powiedział Herman. - Jeżeli zostawimy wóz w tej okolicy, zainteresuje się nim milicja i szybko znajdzie właściciela.

- O milicji nie było mowy! - odparł Meyer poirytowanym głosem. - Te ewentualności rozważymy później.

- W domu jest telefon - powiedział Malwitz. - Widziałem przewody.

- O tym należy pamiętać. Gdy zajdzie potrzeba, przetniemy druty. Postaraj się o nożyczki, Heinrich.

Meyer przez chwilę przyglądał się oświetlonemu prostokątowi okna.

- Samochody zostawimy na tej ulicy. Niestety, nie możemy zamknąć drzwiczek, manipulowanie kluczami zajęłoby nam potem zbyt wiele czasu. Jeden z nas natomiast zostanie przy furtce ogrodowej i z ukrycia będzie obserwował wozy i ulicę. Wydobicie pieniędzy wymagać będzie przypuszczalnie około dziesięciu minut. Musimy uwzględnić także i to, że domownicy mogą się zbudzić. Z tej strony niebezpieczeństwo jest najpoważniejsze. Dlatego dwie osoby poświęcą całą uwagę rodzinie Kaweckich.

- Nie gniewaj się, Willi - wtrącił Tkaczyk - ale ja wolałbym zostać przy furtce ogrodowej.

- Przestań się trząść! Podziałem funkcji zajmiemy się później - oświadczył Meyer. - Obecnie, zanim omówimy dalsze szczegóły, musimy przeprowadzić szybki zwiad. Może ty, Heinrich, pójdziesz ze mną? Obejrzymy sobie ogród, a przy okazji zerkniemy do pokoju, w którym pali się światło. Wy - zwrócił się do Tkaczyka i Malwitza - zostańcie w wozie i uważajcie na wszystko.

- Długo będziecie? - spytał Malwitz.

- Nie, wrócimy za jakieś piętnaście minut. Ty, Albert, nie ruszaj się z kierownicy. Gdybyście zauważyli coś podejrzanego, zapuść motor i czekaj na nas. Okolica jest tak cicha, że warkot silnika nas ostrzeże. Chodź, Heinrich!

Wyszli z samochodu i swobodnym krokiem udali się w kierunku willi. Ulicę zalegał mrok. Nieliczne latarnie gazowe skąpo oświetlały jezdnię i chodniki. Najbliższa z nich stała w pobliżu furtki wiodącej do posesji Kaweckich.

Malwitz zamyślony patrzył za odchodzącymi. Meyer trzymał się blisko ogrodzeń, Herman kroczył w odległości kilku kroków za nim. Gdy doszli do znajdującej się jeszcze poza obrębem światła siatki, otaczającej obserwowany dom, Meyer rzucił okiem za siebie, upewnił się, czy ulica jest pusta, uchwycił rękami żelazną sztabę płotu i jednym susem znalazł się na wierzchu. Chwilę chybotął na wiotkiej siatce, potem zeskoczył do ogrodu. Herman bez wahania poszedł jego śladem. Obaj kucnęli za krzewami i z zapartym tchem trwali przez kilka sekund w zupełnym milczeniu.

Daleko zaszczekał pies. Ujadanie stawało się coraz bardziej jazgotliwe. Po kilku sekundach rozległ się gdzieś głos mężczyzny. Trzaśnięcie drzwi przerwało hałas.

- Okay - szepnął Meyer. - Patrz pod nogi i uważaj na suche patyki.

Z tymi słowami, przygarbiony, cichcem przebiegł trawnik i zatrzymał się dopiero w pobliżu domu. Gdy Herman się do niego przyłączył, znów chwilę nasłuchiwali. Wokół było zupełnie cicho. Odblask latarni rzucał gdzieś na ziemię rozcapierzone cienie gałęzi, ale w odległych rejonach ogrodu mrok był tak gęsty, że widzieli tylko niewyraźne zarysy drzew i krzewów.

Starając się stąpać jak najciszej, okrążyli willę. Z oświetlonego okna jasne światło padało do ogrodu.

- Zostań tu - szepnął Meyer - i patrz, czy ktoś nie nadchodzi. Spróbuję zajrzeć do środka.

Bezgłośnie zaczął się skradać pod samym murem budynku. Okno znajdowało się na wysokości ponad dwóch metrów nad ziemią. Niemiec stanął pod parapetem i ostrożnie wyciągnął ręce do góry. Natrafiwszy palcami na metalowy brzeg, próbował delikatnie, czy blacha nie podda się pod ciężarem. Następnie, wyężając wszystkie siły, zaczął się podciągać do okna. Szorstki mur, o który ocierał się ciałem, znacznie utrudniał wspinaczkę. Zaciskając zęby wzmógł wysiłek.

Gdy jego oczy nareszcie znalazły się na poziomie okna, wgniatana dużym ciężarem blacha parapetu głośno trzasnęła. Zastygł w bezruchu.

Gdzieś w pobliżu Herman poruszył się niespokojnie. Wisząc na rękach. Meyer usłyszał szmer rozmowy prowadzonej w pokoju nad jego głową. Dobiegały go niezrozumiałe słowa, krótkie odpowiedzi, potem znów zaległa cisza.

Naprężając mięśnie podniósł się o kilka centymetrów wyżej i zajrzał do wnętrza. W pierwszej chwili światło żarówki poraziło go nieprzyjemnie w oczy. Jednak wkrótce dostrzegł siedzącą przy stole, odwróconą bokiem do okna postać mężczyzny. Był to ten sam, którego obserwowali rano, gdy wychodził do pracy. Nachylony nad rozłożonymi papierami, pisał coś. W rogu, w fotelu przy piecu, siedziała kobieta zajęta szyciem czy cerowaniem. Wnętrze pokoju zajmowały wysłużone, staromodne meble: szafa, dębowy stół, krzesła, dwa wytarte fotele, stolik z radiem i wąski tapczan. Na ścianach wisiały obrazy w ciężkich, połączonych ramach.

Meyerowi zaczęły drętwieć ręce. Nie dostrzegając więcej nic godnego uwagi, wolno opuścił się na ziemię. Otrzeptał się z pyłu i wrócił do Hermana.

- No i co?

- Siedzą w pokoju. On pisze, ona szyje. Niewiele się od czasu wojny zmieniło, nawet obrazy są te same. Telefonu nie widziałem, pewnie jest w korytarzu. Babcia i dzieciak prawdopodobnie już śpią - szeptem informował Meyer. - Teraz dokładnie obejrzymy najbliższe otoczenie willi.

Chyłkiem pośpieszyli za dom.

*

W samochodzie, po odejściu Niemca i Hermana, Malwitz zwrócił się do Tkaczyka:

- Dlaczego jest pan dzisiaj taki małowówny? Czyżby nerwy dawały się we znaki?

- Nerwy? - Tkaczyk ocknął się z zadumy. - Chyba tak, ale nie tylko to. Mam osobiste kłopoty - wyjaśnił z mdłym uśmiechem.

- Radzę odłożyć je na kilka dni. Obecnie potrzebujemy spokoju i opanowania.

- Łatwo mówić! - zachnął się Tkaczyk. - To nie ja wybrałem tę porę do wszczynania konfliktów.

- Herman?

- Mówili panu?

- Nietrudno było się domyślić.

- Tak, pan ma słuszość. Ten bydlak próbował romansować z moją żoną! Na szczęście Willi przejrzał jego beczelne plany.

- Teraz rozumiem... pańską niechęć do niego - mruknął Malwitz. - Rzeczywiście przykre!

Tkaczyk, patrząc gdzieś przed siebie, znów poczuł wzbierającą w nim gorycz.

- Wie pan, w głowie mi się to nie mieści. Dwa dni temu miałem spokój, byłem z życia względnie zadowolony, a obecnie wszystko się na mnie wali! Dosłownie tracę grunt pod nogami. Gdyby nie Willi, popełniłbym masę głupstw - żalił się.

Zapanowała cisza. W milczeniu spoglądali na mroczną ulicę. Wkrótce Malwitz, zerkając z boku na Tkaczyka, powiedział:

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Już rano odniosłem wrażenie, że udział w planach Meyera wcale panu nie odpowiada. Dlaczego więc uczestniczy pan w tej... robocie? Chodzi panu o pieniądze?

Tkaczyk wzruszył ramionami.

- Moja pensja jest całkiem wystarczająca, ale tam, w tym domu, leżą rzeczy ważniejsze od dolarów.

Znów zapadło milczenie. Dopiero po kilkunastu sekundach cierpko dodał:

- Przecież pan wie, o co chodzi!

- Tak, tak. Ale te sprawy należą do dalekiej przeszłości. - Pochylił się do przodu i wpatrzony w Tkaczyka powiedział:

- Niech mnie pan uważnie posłucha. Jestem dla pana obcym człowiekiem... Choć zetknął nas przypadek, tkwimy obecnie w poważnej sprawie i musimy mieć do siebie zaufanie. Przyznam się panu, że brałem udział w wielu ryzykownych przedsięwzięciach i wiem, jakiego pokroju ludzie są do nich potrzebni: ludzie niezależni, pozbawieni skrupułów, odważni, ba, nawet zuchwali. Pan do tej kategorii zdecydowanie nie należy. Proszę darować szczerość, gdy powiem, że pan nam raczej przeszkodzi niż pomoże.

- Zrobię wszystko, aby spełnić wasze oczekiwania - oświadczył Tkaczyk. Zrezygnowanym głosem natychmiast dodał: - jednak to, co pan powiedział, nie jest pozbawione słuszności. No cóż - westchnął - jest za późno, aby się wycofać.

- Dlaczego nie powiedział pan Meyerowi otwarcie o swych skrupułach?

Tkaczyk nie odpowiadał. Opuścił głowę i siedział nachmurzony.

- Nie nalegam, by pan się zwierzał - mówił Malwitz - gdyż w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi. Jednak w pewnych kwestiach mam duży wpływ na Meyera. Powtarzam: ludzie nie powinni wbrew swoim przekonaniom angażować się do takich spraw, i to nie pozbawionych ryzyka. Jeżeli pan chce zrezygnować, mogę to załatwić.

Tkaczyk wpięty patrzył na niego z niedowierzaniem, potem kojarząc pewne fakty zastanowił się, czy Lipiński nie jest łącznikiem, który w przyszłości będzie się z nim kontaktował. Właściwie wszystko na to wskazywało.

Zerknął przez ramię na swego rozmówcę. Spokojna twarz pozbawiona była wyrazu.

- Tak - przyznał - żądania Meyera wcale mi nie odpowiadają. Nie nadają się do tego rodzaju awantur. Jestem człowiekiem spokojnym, cenię swą pracę i dom. Prędzej czy później popełniłbym jakąś gafę i pokutował przez długie lata za obecną uległość. Od wczoraj biję się z myślami, jakby z tej kabały wybrnąć.

Rozmawiając, bacznie rozglądali się na wszystkie strony. Życie w uliczce zamarło, w domach wygasły światła. Niekiedy przez mroczną jezdnię przebiegł kot. Czasem wiatr podrywał strzępy papieru lub liście i miotał nimi bezładnie. Raz ukazało się duże psisko. Obwąchując płoty i słupy powędrowało na koniec ulicy i zniknęło za zakrętem.

Tkaczyk starannie dobierając słowa zwierzał się Malwitzowi ze swych obaw i obiekcji. Były gestapowiec słuchał uważnie, lecz ponieważ był w swych komentarzach bardzo wstrzeźliwy, trudno było stwierdzić, jakie są jego rzeczywiste poglądy.

W mroku przed willą coś się poruszyło.

- Wracają! - powiedział Tkaczyk.

Dwie ciemne, skulone postacie sunęły wzdłuż płotu w ich kierunku. W połowie drogi do samochodu wracający wyprostowali się i swobodnym krokiem doszli do wozu.

Tkaczyk otworzył drzwi.

- Szybko to załatwiliście! - powiedział do wchodzącego Meyera.

Herman znowu usiadł w tyle, obok Malwitza.

- Nie traciliśmy czasu. Wspiąłem się do okna i zajrzałem do wnętrza - odpowiedział Niemiec.

W kilku słowach opisał, co widział.

- Za domem też niewiele się zmieniło - kontynuował. - Nawet po ciemku poznałem sporo szczegółów.

Wszystko wskazuje na to, że pieniądze są tam, gdzie je schowałem. Jednak chciałbym upewnić się, czy nie przeprowadzili remontu w domu. Jutro założę jakiś kombinezon i obejrzę sobie korytarz willi, pod pozorem sprawdzenia licznika gazowego lub elektrycznego... Daj mi kawy, Bert! Zmachałem się.

Tkaczyk nalał z termosu gorącego płynu. Meyer szybko wypił i poczęstował swych kompanów papierosami.

- Tu nic się nie działo?

- Nie - powiedział Malwitz. - Ani żywej duszy.

- Dobrze. A więc do rzeczy! Okolicę znacie. Heinrich obejrzał ogród od wewnątrz. Plan domu narysuję wam jutro. Podczas akcji Albert stanie przy furtce, ja będę zajęty

otwieraniem skrytki. Ty, Stef, i ty, Heinrich, zaopiekujecie się rodziną. Jutro zrobimy próbę generalną. Przyjedziemy tutaj w samochodach z całym potrzebnym ekwipunkiem. Zaparkujemy wozy i wszyscy udamy się na określone stanowiska. Po dziesięciu minutach wrócimy do samochodów i odjedziemy trasą, którą jeszcze musimy ustalić.

- Zostaje problem, jak wejść do domu - powiedział Herman.

- Sprawdzimy, czy drzwi wiodące z ogrodu do willi są zamknięte na klucz. Jeżeli tak jest, to otworzymy je wytrychem.

- A jeżeli jest zamek patentowy? - wtrącił Malwitz.

- Myślę, że narobimy hałasu otwierając drzwi - zauważył Herman. - Czy nie można dostać się do wnętrza inną drogą? Zdaje się, że luk na dachu jest uchylony...

- Nie czuję wielkiej ochoty łażenia po dachach - mruknął Malwitz. - Tę przyjemność zostawmy kotom.

- Więc co? - denerwował się Meyer. - Wytrychem nie, lukiem też nie! - Strzepnął przez okno popiół papierosa. - Dziurką od klucza nie wejdziemy. Ponieważ nie wolno nam liczyć na...

- Zgasili światło! - zauważył Tkaczyk.

- Teraz zobaczymy, gdzie śpią.

Jakby w odpowiedzi, okno w frontowym pokoju wypełniło się światłem.

- Dobrze - powiedział Meyer. - To zmniejsza możliwość, że nas usłyszą podczas wchodzenia. Odjedź na szosę, Bert. Tam staniemy i porozmawiamy.

Tkaczyk zapuścił silnik i ruszył z miejsca.

- A gdybyśmy zapukali do drzwi, a potem, gdy otworzą, weszli i kazali podnieść łapki do góry? - powiedział Herman.

- Gangsterskie metody! - zachnął się Malwitz. - Parę minut po naszym odjeździe cała wrocławska milicja, deptałaby nam po piętach. Powinniśmy przynajmniej próbować uporać się z robotą po cichu. Jaką broń będziemy mieli? - zwrócił się do Meyera.

- Jutro postaram się o pistolet, a w schowku jest ich kilka. Walterki PP i PPK.

- Na razie tylko jeden pistolet?

- Wystarczy! Heinrich świetnie strzela. Kulą z pistoletu trafił z odległości dwudziestu metrów kartę do gry.

- Pamiętasz? - ucieszył się Herman. - Ale to było szesnaście lat temu!

- Obecnie wystarczy, jeżeli trafisz człowieka z odległości kilku metrów - stwierdził Meyer.

- Przestańcie się wygłupiać! - rzekł Tkaczyk. - Pistolety... strzelanina! Chcecie wisieć?

- U was się wiesz? - zdziwił się Niemiec.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób wykonuje się u nas wyroki śmierci, i wcale mnie to nie interesuje! - sucho odparł Tkaczyk, zatrzymując wóz przy krawężniku.

- Dobrze, dobrze! Wróćmy do naszej sprawy: jak dostać się do domu, nie budząc mieszkańców?

Dyskutowali kilka minut, podając i odrzucając różne pomysły, wreszcie Meyer powiedział:

- Z tyłu domu, tuż nad ziemią, znajdują się okienka piwnic. Jutro sprawdzimy, czy są zamknięte. Nawet jeżeli się okaże, że tak, wytniemy szybę i otworzymy okno. Stamtąd droga do domu będzie otwarta. W jednorodzinnych domach piwnice nie są zamykane na kłódki.

Noc była coraz głębsza, wszystkie światła w okolicznych domach pogasły. Przed jedenastą nad spokojną dzielnicą znów rozhulał się wiatr. Niósł przenikliwy, wilgotny ziąb, targał drzewami i żałośnie lamentował.

Mały Wartburg jeszcze długo stał na mrocznej, cichej, opustoszałej szosie.

5

Nastał dzień. Elżbieta leżała w łóżku. Założywszy ręce pod głowę, zamyślona patrzyła w okno, za którym, ponad dachami domów, szarzało niezmiennie chmurne niebo. Przez zamknięte drzwi dobiegał ją szmer cichej rozmowy. W przyległym pokoju Albert z Meyerem już od wczesnego rana dyskutowali nad swoimi sprawami. Wstała, zamierzając przyrzadzić im śniadanie, ale Niemiec odmówił, twierdząc, że zaraz wyjdą. Mąż w ogóle zbył ją milczeniem. Gdy wczoraj późną nocą wrócił, rozebrał się po ciemku i natychmiast zasnął lub udawał, że śpi. Rano zbudzili się wcześniej. Próbowała wyjaśnić wczorajsze zajście z Hermanem, lecz Albert odwrócił się do niej plecami i całkiem ją zignorował. Chociaż zła była na niego, na siebie i na cały świat, to jednak musiała przyznać, że próby usprawiedliwiania się byłyby pozbawione sensu.

Herman... Wspomnienia o nim nie należały do miłych. Nie popisał się odwagą. Uciekł jak niepyszny i tym jeszcze pogorszył sytuację. Tchórzliwy bufon! Na pewno wcale nie miał zamiaru spełnić jej prośby, a tylko wykorzystywał okoliczności do osiągnięcia swych jednoznacznych celów. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, jak trywialnie jej niedoszły adorator się zachował.

Usłyszała szuranie krzesłami i kroki. Tkaczyk wszedł do sypialni, spode łba spojrzął na żonę, otworzył drzwi szafy, wyjął chusteczkę, odwrócił się na pięcie i spieszenie wrócił do swego towarzysza.

„Biedny Bert! - pomyślała. - Zaprzedał się Niemcowi całą duszą. Razem może byśmy coś wskórali, ale obecnie sprawa przedstawia się beznadziejnie. Jednak jakoś należy mu pomóc. Otumaniony wczorajszymi wydarzeniami gotów jest uwikłać się w sieć, tak starannie tkaną przez podstępного Meyera”.

Im dłużej nad tym rozmyślała, tym większy wstręt w niej budził ten przemądrzały, arogancki Niemiec. Zaczęła się głowić nad wyjściem z zawilej sytuacji...

Z odgłosów w drugim pokoju wnioskowała, że mąż i gość szykują się do wyjścia. Po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwiami, potem cisza zaległa mieszkaniu.

Mijały minuty. Spokój zaczynał ją drażnić. Nie potrafiła odeprzeć natrętnie powracających myśli, że jej mąż - stateczny, sumienny Albert - będzie usługiwał Niemcowi. Jeżeli im się nie powiedzie, a sprawą zainteresują się władze, Alberta czeka poniżenie, wstyd i długoletnie więzienie...

Zaniepokojona podniosła się na łokciach. Milicja naturalnie zaaresztuje ją także. Nietrudno będzie udowodnić, że wiedziała o zamiarach męża!

Zmarszczyła brwi. Do tej pory sądziła, że stoi na uboczu, teraz pojęła, że jest w tę aferę wplątana niemal w tej samej mierze co mąż, a perspektywa długoletniej kary więzienia wcale się jej nie uśmiechała. Lecz co robić?

Znów położyła się wygodnie, przytuliła policzek do poduszki i przymknęła oczy, by nie widzieć jesiennej szarugi za oknami.

Milicja! Ale cóż oni poradzą? Albert był w Wehrwolf, organizacji, która - jak twierdził Meyer - należała do SS. Nie, milicja raczej nie wchodzi w rachubę...

Przebiegła myślą znajomych, ale w końcu uznała, że ci w ogóle nie byłiby w stanie pomóc.

Długi czas rozważała różne możliwości, zanim wreszcie sprecyzowała pewien plan.

Wstała, narzuciła szlafrok, wyszła do przyległego pokoju i usiadła w fotelu przy stoliku z aparatem telefonicznym. W książce odszukała numer milicji. Chwilę wahała się, czy zadzwonić do centrali, czy do oficera dyżurnego. Potem podniosła słuchawkę i nakręciła 97-42.

- Halo, słucham - usłyszała.

Elżbieta, choć przemyślała słowa, które zamierzała powiedzieć, nagle odczuła nieprzyjemną treść.

- Chciałabym rozmawiać z oficerem - powiedziała niepewnie - który mógłby udzielić informacji w sprawach - politycznych.

- Sprawy polityczne? Czy może pani bliżej określić, o co chodzi?

- Jest taki problem... Potrzebuję porady...

- A kto mówi?

Na to pytanie Elżbieta była przygotowana.

- Barbara Orzechowska - powiedziała bez namysłu. - Widzi pan, piszę opowiadanie, w którym poruszam kwestię rehabilitacji byłych volksdeutschów. Dysponuję ciekawym materiałem, lecz zupełnie nie orientuję się w kwestiach prawnych.

- Czy nie byłoby wskazane zwrócić się do jakiegoś prawnika?

- Jednak wolałabym porozmawiać z kimś z milicji. Sądzę, że orientujecie się lepiej w aspektach, które mnie ciekawią.

- No dobrze - zgodził się oficer dyżurny. - Proszę zostać przy aparacie. Łączę.

Po kilku trzaskach i krótkim sygnale w słuchawce odezwał się głos:

- Słucham...

- Mówi Barbara Orzechowska - przedstawiła się Elżbieta i powtórzyła swą prośbę.

- O rehabilitacji volksdeutschów? - zdziwił się jej rozmówca. - Przecież te sprawy dziś już nie są aktualne.

- Ale ja piszę opowiadanie, nie felieton - upierała się. - Zresztą, na pewno istnieją osoby, które do tej pory jeszcze się nie ujawniły.

- Może opowie mi pani w kilku słowach, o co idzie.

- Dobrze. Przypuśćmy, że istnieje człowiek, który podczas wojny służył w niemieckim wojsku.

- Jakiej narodowości jest ten człowiek?

- Polskiej. Po wojnie osiedlił się na Ziemiach Zachodnich, pracuje, ma rodzinę. Niestety, nigdy nie wyjawiał władzom swej przeszłości. Obecnie chciałby to uczynić. Co powinien zrobić?

- Gdzie pracuje?

- Przecież to nie jest istotne!

- W wypadku niewykwalifikowanego robotnika. Natomiast jeżeli zajmuje poważne stanowisko, to zapewne podawał fałszywe dane w formularzach i za to może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

- Elżbieta zastanowiła się.

- Piastuje dość poważne stanowisko - przyznała niechętnie. - A gdyby przyszedł do was i wszystko opowiedział?...

Nagle zdała sobie sprawę, że rozmowa daleko odbiegła od pierwotnej wersji o pisaniu felietonu czy opowiadania. Stukając czubkami palców o blat stolika myślała, jak błąd naprawić.

- Wie pani co? - usłyszała po chwili milczenia. - Trudno dyskutować o tych sprawach telefonicznie. Może pofatyguje się pani do nas, wtedy chętnie udzielimy informacji.

Elżbieta, zaskoczona, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ja... wie pan... mój czas jest bardzo ograniczony.

- Naprawdę nie jestem upoważniony do przeprowadzania tego rodzaju rozmów telefonicznych - grzecznie, lecz stanowczo oznajmił jej interlokutor. - Proszę nas odwiedzić, gwarantujemy dyskrecję.

- Dobrze - odparła. - Będę tam za godzinę. Do kogo mam się zgłosić?

Rozmówca podał numer pokoju i obiecał przewertować odpowiednie paragrafy w celu zaznajomienia się z kwestią. Elżbieta położyła słuchawkę na widełkach.

*

Tkaczyk i Meyer jechali w kierunku ulicy Dąbrowskiego. Spotkanie umówiono u Malwitza, ponieważ Tkaczyk nie chciał się zgodzić na przyjęcie Hermana w swoim mieszkaniu.

Niemiec ubrany był tego ranka w sweter z golfowym kołnierzem i obcisłą kurtkę z ciemnoszarej skóry. Na oparciu siedzenia wisiał wypłowiały, poplamiony kombinezon, który zamierzał wdziać, ażeby udając kontrolera - rozejrzeć się w domu na Oporowie.

Sadowiąc się wygodniej, wyciągnął nogi przed siebie.

- I co dalej, szary człowieku? - spytał sarkastycznie.- Bierzesz rozwód ze swoją kochaną żonusią, czy wspaniałomyślnie jej przebaczysz?

- Rozwód? Absurd! Sądzę, że wszystko wróci do normy. Faux pas Elżbiety z czasem pójdzie w zapomnienie.

- Jesteś z niej zadowolony, co? - spytał Niemiec mrużąc oko.

Tkaczyk udał, że nie rozumie aluzji.

- Nie można porównać naszego życia do płomiennej miłości Romea i Julii, raczej żyjemy spojeni kielkiem przywiązania. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, abyśmy się mieli rozejść. To, co miało miejsce wczoraj, na pewno będzie dla niej nauczką.

- Dla ciebie również! - mruknął Meyer. Głośniej dodał: - Czy sądzisz, że twoja żona obecnie zachowa się spokojnie?

- Co znaczy „spokojnie”?

- No, czy nie pobiegnie do przyjaciółki i nie wygada wszystkiego...

Tkaczyk zaprzeczył głową.

- O ile wiem, nie ma przyjaciółek. Przypuszczalnie zostanie w domu i przemyśli całą historię.

- Oby tylko znowu nie chciała ci w czymś pomóc! - powiedział Meyer w swym ojczystym języku. - Kobiety są nieobliczalne. Sprawy problematyczne, które my rozwiązujemy rozsądkiem i logiką, one przepuszczają przez swój skomplikowany aparat myślowy i w rezultacie zaskakują otoczenie zupełnie nieoczekiwanymi pociągnięciami. U kobiety dwa plus dwa niemal zawsze równa się pięć. Wcale nie jestem przeświadczony, że twoja żona siedzi w domu i niecierpliwie czeka na twój powrót.

Tkaczyk spochmurniał.

- Znowu zaczynasz?

- Miałem na myśli, że może się przed kimś wygadać.

- Elżbieta z zasady nie wstaje przed dziesiątą, a z domu wychodzi dopiero po południu. Zresztą można zadzwonić i przekonać się, czy tam jest.

- Słusznie. Nie zapominaj, że wczoraj też miałem rację... Ale zostawmy to.

Tkaczyk gniewnie nacisnął pedał „gazu” i szybko minął dużą ciężarówkę. Meyer rozejrzał się.

- Teraz w lewo - powiedział. - Jeszcze parę metrów... O, widzisz? - wskazał palcem szary budynek. - Lipiński mieszka w tym domu. Zatrzymaj wóz przed bramą.

Gdy weszli na piętro, Malwitz, który z okna dostrzegł Wartburga, otworzył drzwi.

Przybysze rozgościli się w pokoju. Przez kilka minut rozmawiano na różne tematy, potem Malwitz wyszedł do kuchni, aby przyrządzić kawę. Meyer udał się za nim.

- Myślałem, że przyjedziesz sam - powiedział Malwitz napełniając czajnik wodą.

- Tkaczyk nie chciał zostać w domu. Pokłócił się z żoną. Musiałem go zabrać.

- Tak, napomknął wczoraj, że Herman włązi mu w paradę. Czy to prawda?

- Mhm, Elżbieta podoba się Hermanowi. Odwiedził ją wczoraj po południu. Złapaliśmy ich in flagranti, ale w porę - jeszcze nie zdążyli przypiąć Tkaczykowi rogów.

Malwitz postawił czajnik na kuchence gazowej.

- Podziwiam twój dar przewidywania - powiedział regulując płomień. - Umawiając się ze mną na trzecią, wiedziałeś, co się święci.

Meyer zachichotał.

- Wiedziałem, bo Heinrich opowiedział mi o swoich zamiarach.

- A ty, jako szczyry przyjaciel, ostrzegłeś Tkaczyka.

- A ja, jako szczerzy przyjaciel, ostrzegłem Tkaczyka. Meyer, bawiąc się zapalniczką do gazu, z drwiącym uśmiechem obserwował Malwitza.

- Sądziłem, że darzysz Henryka większą sympatią. Powinno ci być obojętne, czy romansuje z Elżbietą, i co z tego wyniknie.

- Mylisz się, mój drogi Johannes! Kocham Alberta jak rodzzonego brata. Nie mogłem pozwolić, by mu się stała krzywda.

- Pleciesz, Willi. Ale wróćmy do pokoju, twój drogi przyjaciel na pewno już się niecierpliwi. Meyer nagle spowaźniał.

- Żarty na bok, Malwitz. Powinniśmy porozmawiać w cztery oczy. Wyślę Alberta pod jakimś pretekstem do miasta.

- Proszę bardzo. Jestem do twojej dyspozycji. Tkaczyk stał przy oknie. Słyszac kroki odwrócił się.

- Chyba wkrótce zacznie padać - powiedział. - Pogoda w tym roku nie dopisuje.

- Ale za to sprzyja naszym planom - powiedział

Meyer. - Noce są ciemne, ludzie siedzą w domach i wcześniej włączą do betów.

- Czy już macie wszystkie potrzebne rzeczy? - spytał Malwitz mrugając do Niemca za plecami Tkaczyka. - Latarkę, obcęgi i inne narzędzia, które nam będą potrzebne w Oporowie?

- Sklepy dziś rano były zamknięte - powiedział Meyer. - Tym waszym państwowym przedsiębiorstwom wcale się do handlu nie śpieszy. Może byłbyś tak uprzejmy, Albert, wyskoczył teraz do miasta i załatwił te zakupy?

- Chętnie - zgodził się Tkaczyk. - Co mam kupić prócz latarki i narzędzi?

- Oliwiarke, oliwę, aparat do cięcia szkła, małą puszkę białej i czarnej farby olejnej...

- Farbę olejną? - zdziwił się Tkaczyk.

- Do przemalowania tabliczek rejestracyjnych - odparł Meyer. - Staraj się kupić każdą rzecz w innym sklepie.

Po odejściu Tkaczyka Malwitz zaparzył kawę. Czestując gościa papierosami spytał:

- Widziałeś się z Hermanem?

- Nie, ale dzwonił rano. Powiedział, że ma samochód. Meyer wyjrzał przez okno, potem odwrócił się i spytał:

- Powiedz mi, Johannes, dlaczego zgodziłeś się na tę robotę?

- Czy nie proponowałeś mi tego?

- Sugerowałem możliwość zarobienia pieniędzy. Ale, jeżeli mam być szczerzy, dziwię się, że wyraziłeś zgodę. O ile moje domysły są słuszne, powinieneś unikać dodatkowego

ryzyka, a takie bez wątpienia wiąże się z naszymi planarni. Trudno mi uwierzyć, że zależy ci na tych kilku dolarach.

- To samo mógłbym powiedzieć o tobie, Willi. Jesteś zbyt inteligentny, by wiązać się z takim Tkaczykiem, który, jak wiesz, będzie nam przeszkodą, a nie pomocą. Ja również nie sądzę, że przybyłeś do Polski tylko po te kilka dolarów. Wybierając się w podróż nie wiedziałeś nawet, czy ten dom w ogóle istnieje. Zresztą to już tyle lat, ktoś mógł ten schowek znaleźć. Nie, Willi, nie przyjechałeś tylko po swój wątpliwy skarb.

- Wobec tego obaj mamy skryte zamiary.

- Ty je masz bez wątpienia. Krótko się zastanowił.

- Ostrzegam cię, Willi, że prowadzisz niebezpieczną grę, zwłaszcza gdy chodzi o Tkaczyka. Narazasz nie tylko jego, ale wszystkich zaangażowanych. Przedstawiciele władzy tego kraju wcale nie są tacy naiwni, za jakich ich uważasz. Jeżeli cokolwiek zwęszą, zlikwidują w oka mgnieniu całą grupę.

- Nie kr acz, Johannes! Tkaczyk dostał dobrą nauczkę. Wie, że nie wolno nikomu ufać. Herman jest zapaleńcem, ale się ustatkuje. Nawet jeżeli któryś z nich wpadnie, to najwyżej wyda drugiego.

- A ja? Wiedzą, gdzie mieszkam!

- Przeprowadź się.

- To nie jest takie łatwe.

- Przecież zgodziłeś się na rendez vous w twoim mieszkaniu!

- Nie było innego wyjścia. Jednak nie jestem z obrotu spraw zadowolony. Powiedz, co znaczy ta historia z Hermanem i Elżbietą?

Meyer opowiedział przebieg wydarzeń. Jednak pominął faktyczny cel intrygi, mówiąc tylko, że chciał gadatliwemu Tkaczykowi dać nauczkę i pokazać mu, że kobietom nie można ufać.

- Więc Elżbieta również zna nasze tajemnice? - zawołał Malwitz.

- Sądzę, że tak, lecz z obawy o bezpieczeństwo męża, który - jak nie omieszkałem jej powiedzieć - należał do SS, na pewno zachowa milczenie.

Malwitz niezadowolony pokiwał głową.

- Popełniłeś gafę, mój drogi. Wprawdzie Elżbieta zrobiła na mnie dodatnie wrażenie, lecz nie ręczyłbym za jej dyskrecję.

Meyer skonsternowany zapalił papierosa.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem w tej sytuacji - powiedział.

- Dziś zostawiłeś ją samą w domu. Wątpię, by siedziała cały dzień z założonymi rękami. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że rozżalona wczorajszym incydentem, za który nie przypisuje sobie winy, będzie się starała zrehabilitować przed mężem? Sama nic nie wskóra. Zwróci się do kogoś o radę lub pomoc. Postąpiłeś nieopatrzenie, Willi!

- Verflucht noch mai! - zaklął Meyer. - Chyba masz rację!

- Byłoby dobrze, gdyby ktoś się nią zajął.

- Tak, ale kto?

- Herman odpada...

- Alberta wolę na razie mieć koło siebie. Ja nie mam czasu. Może ty? Nie masz ochoty na tete-a-tete z uroczą Elżbietką? Gdybyś odpowiednio do niej podszedł...

- Nie bądź taki dowcipny, Willi! Nie, wcale nie mam ochoty na pilnowanie cudzych żon.

- No to nie znam nikogo, komu mógłbym tę funkcję powierzyć.

Milczeli przez chwilę.

- Aniołem stróżem Elżbiety powinna być kobieta - mruknął Malwitz. - Może Albert mógłby nam wskazać jedną z jej znajomych?

- To byłoby całkiem głupie! - zawołał Meyer. - Dopiero wygadałaby jej wszystko! Nie, nie! Musimy znaleźć godną naszego zaufania. - Po kilku sekundach dodał: - A twoja Zosia, Johannes?

Malwitz zaskoczony przytaknął.

- Niezła, myśl. Ale Elżbieta nie zna Zosi.

Wtem zadzwonił telefon. Malwitz wstał od stołu i podniósł słuchawkę.

- Lipiński, słucham... nie... dobrze... tak? W jakiej sprawie? Aha! Tak, naturalnie!... Powiadom mnie, co z tego wynikło... Dziękuję.

Położywszy słuchawkę, zwrócił się do Meyera:

- Znajomy. Nic ważnego. - Namyslił się. - Wróćmy do naszego tematu. Mam przecucie, Willi, że powinniśmy bezzwłocznie otoczyć Elżbietę opieką.

- Tak, tak. Czy możesz zawiadomić Zosię, aby zaraz przyszła?

- Zadzwonię do niej.

Malwitz pochylał się nad aparatem. Meyer cicho wstał i zerknął mu przez ramię. Były gestapowiec raptownie odwrócił się.

- Willi!

Niemiec uśmiechnął się głupkowato i z powrotem usiadł na krześle.

- Robisz tajemnicę z każdej drobnostki, Johannes.

- Mam powody. Zresztą nie wiem, dlaczego wciąż patrzysz mi na palce!

Po przeprowadzeniu krótkiej rozmowy Malwitz zwrócił się do Meyera:

- Jak słyszałeś, nie ma jej w biurze, wyszła na chwilę do miasta. Gdy wróci, przekażą jej moją prośbę, aby tu przyszła.

- Dobrze. Czy pomyślałeś o tym, że wciągając swoją narzeczoną w nasze sprawy, musimy wtajemniczyć ją w pewne szczegóły?

- Tego nie da się uniknąć. Ale Zosia nie będzie zaskoczona, ponieważ wczoraj już napomknąłem jej o tym i owym.

- Sądzisz, że można na niej polegać?

- Z pewnością! Ufam jej więcej niż Tkaczykowi czy Hermanowi.

- No dobrze. Ponieważ do jej przyjścia upłynie trochę czasu, wyślemy Hermana na ulicę Dubois, z poleceniem obserwowania bramy domu, w którym mieszkają Tkaczykowie. Jeżeli Elżbieta wyjdzie, to przynajmniej będziemy wiedzieli, gdzie była.

- W jaki sposób zawiadomisz Hermana?

- Powinien zaraz przyjechać.

Jakby w odpowiedzi na te słowa rozległ się dzwonek. Malwitz otworzył drzwi. Herman wszedł, przywitał się i zaczął zdejmować płaszcz.

W progu stanął Niemiec.

- Jak się masz, Heinrich? Jest wóz?

- Tak. Fiat. Powiedziałem znajomemu, że potrzebuję go na dwa dni.

- Okay. Nie rozbieraj się, Heinrich. Z uwagi na pewne sprawy chcielibyśmy, abyś zaraz pojechał na Dubois, pod dom Tkaczyków. Obawiamy się, że Elżbieta wymyśliła jakiś cudowny plan wyratowania męża z naszych szponów. Jeżeli wyjdzie z domu, obserwuj ją i daj nam znać.

- Gdzie będziecie?

- Tutaj. Czekamy na Alberta i narzeczoną Stefana, Zosię. Gdy przyjdzie, poprosimy ją, by zajęła się Elżbietą.

- Co znaczy „zajęła się”?

- Zapoznamy je i Zosia przypilnuje twą niedoszłą miłość, żeby nie spletała nam jakiegoś figla. Zaczekaj chwilę, zadzwonię do niej. Musimy wiedzieć, czy jest w domu.

Meyer wszedł do pokoju i nakręcił numer Tkaczyków. Gdy otrzymał połączenie i usłyszał głos Elżbiety, natychmiast położył słuchawkę i wrócił do czekających.

- Jest. Jedź, Heinrich. Będę spokojniejszy wiedząc, że ktoś ją pilnuje.

6

Elżbieta przeszła ulicę Podwale. Idąc wzdłuż fosy wciąż zastanawiała się, czy ta wizyta jest celowa. Musi być niezwykle ostrożna, aby zwieść oficera, z którym będzie rozmawiała. Wersja o napisaniu opowiadania, dotyczącego rehabilitacji byłych kolaborantów, wydawała jej się bardzo pomysłowa; lecz należy liczyć się z niespodziewanymi pytaniami i w ogóle mieć się na baczności. Zwłaszcza oficer, który rozmawiał z nią przez telefon, już mógł powziąć pewne przypuszczenia. Jeżeli się okaże, że sprawa męża nie jest beznadziejna, można prosić o dalszą radę.

W pewnej odległości za nią jechał mały, niebieski Fiat. Siedzący za kierownicą Herman starał się nie stracić idącej z oczu. Gdy zobaczył, że wchodzi do gmachu milicji, zaklął wulgarnie.

Wygląd oficera rozczarował Elżbietę. Spodziewała się ujrzeć starszego, surowego mężczyznę z pistoletem u boku. Tymczasem kapitan Filipiak - bo tak się przedstawił - szczupły szatyn o łagodnych rysach twarzy, był w ubraniu cywilnym i wcale nie sprawiał wrażenia funkcjonariusza milicji.

- Pani Barbara Orzechowska? Proszę! - wskazał krzesło przed biurkiem. - Kolega, który odebrał telefon, nadmienił, że pani interesuje się rehabilitacją byłych kolaborantów i volksdeutschów. Cóż panią skłoniło do pisania na ten niecodzienny temat? - spytał przyglądając się jej z ciekawością.

Elżbieta wymusiła uśmiech.

- Szukając materiału do felietonu, przypadkowo napotkałam ten - ciekawy problem.

- Pani pisze dla prasy?

- Tak, dorywczo. - Wymieniła nazwę jednego ze stołecznych czasopism. - Nie pracuję zawodowo, a tylko dorabiam w ten sposób.

- Czy redakcje dobrze płacą za taki felieton?

- To zależy. Właściwie traktuję to pisanie jako hobby.

- Proszę, niech pani opowie tę sprawę. Zawahała się.

- Zainteresowany człowiek zwierzył mi się w zaufaniu... Czy mogę liczyć także na pańską dyskrecję, panie kapitanie?

- Oczywiście. Przybyła pani do nas z prośbą o informacje. Udzielimy ich pani, jeżeli będziemy w stanie. Pani wizyta żadnej ze stron do niczego nie zobowiązuje.

Po dłuższym zastanowieniu Elżbieta powiedziała:

- Podczas ostatniej wojny zdarzało się, że niektórzy Polacy służyli w armii niemieckiej. Mężczyzna, którego sprawa mnie interesuje, nazwijmy go A., służył w artylerii

przeciwlotniczej. Pod koniec wojny zgłosił się do jednostki specjalnej, przypuszczając, że będzie zatrudniony jako tłumacz lub coś w tym rodzaju. Odesłano go do obozu szkoleniowego koło Berlina. Tam dowiedział się, że jego nowym dowódcą jest SS-man Skorzeny. Choć przebieg spraw wcale mu nie odpowiadał, poddał się biernie biegowi wypadków. Było wiadome, że wojna się kończy, więc prędzej czy później musiała nadarzyć się okazja do powrotu w rodzinne strony.

W lutym czterdziestego piątego roku wyjechał razem z czterema innymi żołnierzami do Wrocławia. Jego udział w akcji był znikomy. Po zakończeniu działań wojennych został na Śląsku, ukończył studia i do tej pory pracuje i mieszka w Polsce. Jakoś udało mu się zatuszować swą służbę w niemieckim wojsku.

Minęło szesnaście lat. Ostatnio wydarzyło się coś, co pana A. mocno zaniepokoiło. Spotkał towarzyszy z tamtego okresu, ludzi, którzy znają jego niechlubną przeszłość. Chciałby zwrócić się po radę do władz, lecz boi się, że w konsekwencji zostanie zatrzymany, postawiony przed sądem, straci posadę i cały swój dorobek. Jak wygląda ten problem w świetle prawa, panie kapitanie?

Filipiak oparł się łokciami o blat, złożył ręce czubkami palców i uważnie przyglądał się mówiącej.

- Pozwoli pani, że zadam kilka pytań koniecznych do uzyskania pełniejszego obrazu?

- Słucham.

- Sprawa osób narodowości polskiej, które służyły w armii niemieckiej, została ujęta odpowiednimi paragrafami. Jeżeli te osoby były żołnierzami w zwykłych formacjach, a więc Wehrmacht czy Luftwaffe, i nie dopuściły się zbrodniczych czynów, to nie grozi im żadna kara. Ci, którzy służyli w SD, SA, SS i podobnych jednostkach, muszą odpowiedzieć za to przed prawem. Pani twierdzi, że A., zgłaszając się do służby specjalnej, nie wiedział, co go czeka. Sam fakt, że się ochotniczo zgłosił, nie jest przestępstwem, choć tłumaczenie się niewiedzą nie może mieć wpływu na zmniejszenie ewentualnej kary. Czy pani wie, że w obozie pułkownika Skorzenego szkolono żołnierzy w sabotażu i dywersji?

- Tak, lecz A. nigdy nie skorzystał ze zdobytych tam wiadomości.

- Skąd pani wie, że tak było?

- Powtarzam to, co powiedział.

Może kłamie? Czy sądzi pani, że przyzna się do wykroczeń, które, jak sądzi, są wyłącznie jego tajemnicą?

Elżbieta opuściła głowę. Rozmowa znów nie szła po właściwej linii.

- Myślę, że to należy do was - powiedziała z przekorą. - Jeżeli się kiedykolwiek zgłosi, może pan go o te szczegóły zapytać.

- Słusznie. Przypuśćmy więc, że sobie niczym rąk nie zabrudził. Jednakże skoro czuł się niewinnym, dlaczego nie złożył wniosku o rehabilitację?

- Po prostu bał się konsekwencji.

- Musiał zdawać sobie sprawę, że mu nic nie grozi. Nastąpiła chwila nieprzyjemnej ciszy.

- Zostawmy to - kontynuował kapitan. - Twierdzi pani, że A. ostatnio spotkał towarzyszy z tamtego okresu. Czy należy rozumieć, że są to ci sami osobnicy, z którymi w czterdziestym piątym roku przybył do Wrocławia?

- Tak... to znaczy nie opowiedział mi wszystkiego, ale wnioskuję, że chodzi o tych ludzi.

- Dlaczego A. jest tym spotkaniem zaniepokojony? Chyba nie obawia się, że złoży skargę na niego?

- Raczej nie... Nie wiem... - W tej chwili Elżbieta najchętniej uciekłaby z tego pokoju. Spodziewana rozmowa przemieniła się w rodzaj śledztwa.

- Nie powiedział mi, czego się obawia - wydusiła. Kapitan lekko się uśmiechnął.

- Jeżeli pani chce swym opowiadaniem zainteresować czytelników, musi pani zdobyć od A. wszystkie fakty. Żyje sobie w Polsce przez szesnaście lat skrzętnie ukrywając swą przeszłość, potem naraz spotyka nie jednego, ale kilku towarzyszy broni i... oblatuje go strach? Przed czym? Przed swymi kamratami czy przed konsekwencjami za czyny przeszłości? Wydaje mi się, że spotkanie z nimi nie jest przypadkowe.

Zastanowił się.

- Więc pani nie wie, czego A. się obawia? Zaprzeczyła.

- Jak wynika z pani słów, A. przebywał we Wrocławiu od lutego do - powiedzmy - maja czterdziestego piątego roku. Grupa bezsprzecznie przybyła tutaj z określonymi zadaniami. Czy sądzi pani, że A. przez te kilka miesięcy nie uczynił nic, co obecnie mogłoby go obciążyć?

Gdy nie odpowiadała, dodał:

- Przyzna pani, że ewentualne wykroczenia, których A. dopuścił się w tym okresie, a których świadkami byli jego kamraci, obecnie mogłyby być przyczyną jego lęku.

Elżbieta przemyślała słowa kapitana. Wahała się, czy wyjawić więcej faktów, czy też zrezygnować z dalszej rozmowy i zostawić sprawę własnemu biegowi.

- Panie kapitanie! - powiedziała. - A. zwierzył mi się z pewnych faktów. Uczynił to w zaufaniu, którego nie chciałabym zawieść. Jeżeli rzucę więcej światła na sprawę, czy pan, jako przedstawiciel władzy, nie będzie zmuszony interweniować?

Filipiak zrobił poważną minę.

- Przybyła pani z prośbą o radę. O ile podane mi fakty nie będą w jaskrawy sposób kolidowały z prawem, to interwencja nie będzie konieczna. Gdybym natomiast dowiedział się od pani danych dotyczących przestępczej działalności tego człowieka, musiałbym w myśl przepisów zarządzić śledztwo. Prawdę mówiąc, cała sprawa wydaje mi się nieco dziwna. Dlaczego ten człowiek właśnie pani powierzył swe dotąd tak skrzętnie ukrywane tajemnice? Może znajomy pani jest po prostu blagierem? Nieraz trafiamy na osobników, którzy puszczają cugle fantazji i zmyślają, koloryzują swe szare, jednostajne życie.

Mówiąc bacznie ją obserwował. Widział, że jest zaniepokojona i usilnie stara się stworzyć pozory obojętności.

- Być może pan ma słuszość - przyznała. - Mnie również niektóre momenty w jego historii wydają się przesadzone. Lecz jeszcze nie widzę najmniejszego powodu, aby sprawą zajęła się milicja. Zresztą porozmawiam z nim i postaram się dowiedzieć czegoś więcej.

Zrobiła ruch, jakby zamierzała wstać. Kapitan Filipiak podniósł rękę.

- Chwileczkę, proszę! Czy te osoby, z którymi A. się spotkał, także mieszkają w Polsce?

- Sądzę, że tak.

- Nie wie pani, czy oni zostali zrehabilitowani?

- Nie wiem.

- Twierdzi pani, że się spotkali przypadkowo?

- Powtarzam słowa pana A.

- Ale to nie jest logiczne! Nie widzieli się przez szesnaście lat, nagle spotykają się... Nie, nie! To spotkanie musiało być zaaranżowane. Jeśli tak, to w jakim celu?

- Może chcieli porozmawiać o dawnych czasach?

- Hm, sentymentalni starsi panowie gawędzą przy lampce wina o awanturniczej przeszłości...

- O, nie tacy starsi! - ugryzła się w język i spod oka zerknęła na kapitana.

Ten jednak nie zwrócił uwagi na niebaczne słowa.

- Interesuje mnie - powiedział - powód obaw pana A.

- Nie wiem, czego się lęka - powtórzyła Elżbieta. - Może się dowiem. Może żądają od niego czegoś, a on nie chce lub nie może zadośćuczynić ich życzeniom.

- Szantaż?

- A jeżeli tak jest? - zaryzykowała. - Gdyby nakłaniali go do czynów, które kolidują z prawem, a on z obawy przed ujawnieniem przeszłości musi spełnić ich życzenia?

- W takim wypadku jego przeszłość niewątpliwie jest bardzo brudna - powiedział kapitan. - Zresztą czego mogą od niego chcieć? Pieniądzy? - zachnął się. - Cała sprawa jest strasznie zawiła. Byłoby najlepiej, gdyby do nas przyszedł i wszystko opowiedział. Artykuł artykułem... - spojrzął na nią z niedowierzaniem. - Pogmatwane jest to wszystko, co pani mi opowiada. Brzmi raczej jak szkic do powieści kryminalnej.

Elżbieta czuła się jak uczennica złapana na gorącym uczynku, która nie wie, jak się usprawiedliwić. Z twarzy kapitana nie wynikało, czy traktuje ją poważnie i rzeczywiście niczego się nie domyśla, czy też wie dużo więcej, niż przyznaje. Zbierając resztki odwagi powiedziała:

- Proszę pana, po rozmowie z panem A. sądziłam, że z tego materiału stworzę niecodzienne i ciekawe opowiadanie. Po drugie wydawało mi się, że należy mu jakoś pomóc. Od pana chciałam się tylko dowiedzieć, czy taka osoba może liczyć na pomoc władz.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że są one sprzeczne z wersją, którą początkowo motywowała przybycie na milicję.

Kapitan Filipiak zerknął na nią z ukosa.

- Panu A. niewątpliwie należy pomóc, lecz nie możemy mu tej pomocy narzucić. Nie wiemy, jaka jest jego przeszłość. Z tego, czego się od pani dowiedziałem, wynika, że coś nabroił...

- Użył pan słowa „szantaż”. Przypuśćmy, że tak rzeczywiście jest. Może wtedy stało się coś, o czym oprócz niego wiedzą tylko jego towarzysze. Wersja o tamtych wydarzeniach może być interpretowana dowolnie.

- Nie rozumiem.

- Załóżmy, że towarzysze pana A. dopuścili się jakiegoś karygodnego czynu. Pan A. był biernym świadkiem tego zdarzenia. Obecnie ci znajomi, chcąc wyrzucić nacisk na niego, przekręcają fakty, zmuszają do uległości i przypisują mu wyłączną winę. W jaki sposób A. udowodni prawdę?

- A więc ich obecne życzenia nie są legalne? A. przypuszczalnie stoi przed dylematem: przyznać się do niechlubnej przeszłości i tłumaczyć się przed władzami lub spełnić ryzykowne polecenia swych kompanów, czy tak?

Przytaknęła milcząco.

Kapitan przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Radziłbym - powiedział wreszcie - powierzyć całą sprawę kompetentnym czynnikom. Z biegiem czasu A. za-brnie w matnię, z której nie znajdzie wyjścia. Za czyny popełnione w czterdziestym piątym roku musi ponieść odpowiedzialność. Jednak ze względu na okoliczności konsekwencje prawdopodobnie nie będą surowe. Gdyby natomiast obecnie dopuścił się nowych wykroczeń...

- Czy pan nie rozumie - zawołała Elżbieta - że jedynymi świadkami z czterdziestego piątego roku są jego koledzy, którzy chcąc ratować własną skórę, zrzucą całą winę za wszystko, co się wtedy wydarzyło, na niego!

- Proszę pani! Codziennie mamy do czynienia z ludźmi, którzy kłamią, blagują, składają fałszywe zeznania i przekręcają fakty. Jednak niemal zawsze, choć nieraz dopiero po żmudnym śledztwie, dochodzimy do prawdy. Proszę nie sądzić, że w MO siedzą ciężko myślące kpy - oświadczył cierpko.

Po chwili Elżbieta powiedziała:

- Jak już mówiłam, A. piastuje dość poważne stanowisko. Pomijając wszystkie inne sprawy, słusznie obawia się, że straci posadę i dozna wielu przykrości. Decyzja jest trudna.

- Dochodzenia można przeprowadzić dyskretnie, bez rozgłosu. Reszta będzie zależała od wagi wykroczenia. Niewątpliwie uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by wykryć całą prawdę.

- Lecz przypuśćmy, że te trzy osoby były świadkami pewnego zajścia. Dwie zeznają przeciwko trzeciej. Komu dacie wiarę?

- Świadkowie bardzo często ustalają swoją wersję wydarzenia między sobą, sądząc, że władze muszą uwierzyć większości. Ale podczas śledztwa zaczynają się plątać, mylić i w końcu wyznają prawdę. Czy pani sądzi, że uwierzyłem w historyjkę o pisaniu opowiadania na temat rehabilitacji volksdeutschów? - spytał zniecka.

Elżbieta poruszyła się niespokojnie i nieufnie spojrzała na kapitana.

- Publicyści zachowują się... inaczej - ciągnął. - Jak na autorkę reportażu czy opowiadania, jest pani zbyt przejęta perypetiami pana A. Wie pani o sprawie wiele więcej, niż pani przyznaje. Jednak nie będę nalegał. Radzę powiedzieć bratu, mężowi lub narzeczonemu, komukolwiek, kto kryje się za literą A., by przyszedł do mnie. Jesteśmy ludźmi, a nie oprawcami lubującymi się w dręczeniu swych ofiar. Zapewniłem pani dyskrecję, proszę więc spokojnie wrócić do domu i zastanowić się nad moją propozycją. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

Elżbieta wolno potrząsnęła głową. Kapitan wstał i odprowadził ją do drzwi.

Herman poruszył się niespokojnie, gdy zobaczył wychodzącą. Spojrzał na zegarek.

- Psiakrew! Siedziała tam całą godzinę!

Rzucił połówkę papierosa na zaśmieconą niedopałkami podłogę wozu i obcasem zdeptał żar. Gorączkowo namyślał się, co robić: czy jechać za nią, czy też obserwować wyjście z gmachu, aby przekonać się, czy ktoś będzie ją śledził.

Elżbieta odeszła w kierunku Dworca Swiebodzkiego.

„Idzie na przystanek tramwajowy - pomyślał Herman. - Przypuszczalnie pojedzie do domu”.

Z budynku milicji wyszli dwaj mężczyźni w cywilnych ubraniach. Spojrzeli w lewo, potem rozmawiając zatrzymali się opodal. Chwilę później z bocznej ulicy wymknął milicyjny „gazik”, popędził w lewo i nie zatrzymując się skręcił w ulicę Świerczewskiego.

Herman zapuścił motor i wolno ruszył z miejsca. Gdy dojechał do skrzyżowania, zobaczył zatrzymujący się tramwaj. Elżbieta, jak przypuszczał, stała na przystanku. Rozejrzała się podejrzliwie, potem wsiadła na ostatni pomost.

Gdy tramwaj ruszył, Herman dodał gazu i pośpieszył w kierunku ulicy Dąbrowskiego.

Kiedy Elżbieta rozmawiała z kapitanem Filipiakiem, w mieszkaniu przy ulicy Dąbrowskiego Meyer i Malwitz krzyżowali szpady.

Utarczka słowna, wszczęta przez Meyera i prowadzona w języku niemieckim, zmierzała do wydarcia przeciwnikowi sekretów, lecz mimo przebiegłych i podstępnych pytań Niemiec nie otrzymywał zadowolających odpowiedzi.

- Za kilka dni wyjadę stąd - mówił pochylając się nad stołem i wpatrując badawczo w Malwitza. - Zabiorę z sobą dolary i wspomnienia. Tam, za granicą, wszystko, co o tobie wiem, będzie wyłącznie moją tajemnicą. Ty zostaniesz na stanowisku...

- Nieco zachwianym przez udział w twoich planach - wtrącił Malwitz. - W najbliższej przyszłości muszę uczynić dużo, aby znów zbudować wokół siebie bezpieczny mur. Myśl o tym, że Tkaczyk i Herman mnie znają i wiedzą, gdzie mieszkam, nie pozwoli mi na spokój, dopóki się znowu nie zaasekuruję przeciwko ewentualnym niespodziankom.

- Dlaczego się zgodziłeś? - spytał Meyer. - Uważam, że postąpiłeś bardzo nierozważnie mieszając się w tę sprawę.

- A ty, Willi? Przyjechałeś z określonym zadaniem i ryzykujesz powodzenie tak ważnej pracy dla zdobycia kilku dolarów. Czy to jest rozsądne?

- Ja ryzykuję najmniej. Ale nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie: dlaczego ty się w to wmieszałeś?

Malwitz wstał i zaczął przemierzać pokój.

- Może chcę przypilnować, abyście nie robili głupstw - powiedział przystając przed Meyerem. - Twoje postępowanie jest nieuczciwe. Jesteś bardzo niedoświadczony postępując tak pochopnie. Nie uwzględniłeś indywidualnych możliwości osób, które zamierzasz angażować. Ani Tkaczyk, ani też Herman nie są odpowiednim materiałem do...

- Do czego?

- Przestań mnie badać!

- Dobrze, dobrze! Zresztą, poniekąd zgadzam się z tobą. Niestety, nie miałem wyboru. A z jakiej racji ty chcesz nas pilnować? - spojrzał nieufnie na Malwita. - Jestem pełnoletni. Wiem, co robię lub co robić powinienem. Nie taki znów ze mnie amator, za jakiego widocznie mnie uważasz. Obejdę się bez niańki.

- Gdy wyjedziesz, ktoś będzie realizował zapoczątkowane przez ciebie plany. Twierdzisz, że już nie jesteś amatorem i nie potrzebujesz niańki. A co sądzisz o twoich dwóch adeptach? Czy oni również nie potrzebują nadzoru?

- Czy ty chcesz się nimi opiekować? - szczerze zdziwił się Meyer.

- O tyle o ile. Między nami mówiąc sypną się prędzej czy później.

- Malwitz! - Meyer zmrużył swoim zwyczajem oczy i przez szparki w powiekach wpatrywał się w gestapowca. - Gdybym ciebie osobiście nie znał - powiedział - gdybym nie wiedział, jak ważne stanowisko piastowałeś w gestapo i ilu Polaków masz na sumieniu, mógłbym mieć wątpliwości co do twoich intencji.

Zamilkł i zmarszczył czoło. Następnie szybko podniósł głowę i rzucił pytanie:

- Powiedz, wiedziałeś o moim przyjeździe? Znasz moje plany?

Malwitz uśmiechnął się ironicznie.

- Błódsin! Nasze spotkanie było przypadkowe, Willi! Plany? Podsunąłeś mi propozycję zarobienia pieniędzy. Zgodziłem się. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Na twoje insynuacje, domysły i pytania w przyszłości nie będę odpowiadał.

Meyer skrzywił się z niezadowoleniem. - i Taka odpowiedź nie świadczy o dużym zaufaniu do mnie. Ja odkryłem swoje karty...

- Nie, nie uczyniłeś tego. A „zaufanie” to dziwne słowo w twoich ustach.

- Dlaczego?

- Nie ufasz Tkaczykowi, a jednak używasz go... jako narzędzia. Nazwijmy rzecz po imieniu - Herman, Tkaczyk i nawet ja jesteśmy tobie potrzebni, Willi.

Dzwonek zaterkotał cztery razy krótko.

- Zosia - powiedział Malwitz. - Otworzę jej. Przepraszam.

Młoda kobieta szybkim krokiem weszła do pokoju. W ciemnozielonej spódnicy w szkocką kratę i modnym kubraczku wyglądała bardzo powabnie. Przywitała się z Meyerem. Znowu usiedli przy stole.

- Chcielibyśmy, abyś się zaopiekowała żoną Tkaczyka, Elżbietą - mówił Malwitz bez ogródek. - Wczoraj przeżyła wstrząs, jest bardzo podekscytowana. Z tych i innych względów uważamy, że nie może pozostać sama. Jednak zależy nam, by nie wychodziła z domu i w miarę możliwości nie zwierzała się ze swych kłopotów koleżankom czy znajomym.

- Hm, ale jak mam się wobec niej zachować? Jeżeli zechce do kogoś zadzwonić albo wyjść... Trzepnąć ją butelką w łeb?

- Bądź rozsądna, nie pora na żarty! - strofował Malwitz. - Spróbuj ująć ją sympatycznym podejściem i wyrozumieniem. Prawdopodobnie, gdy nabierze zaufania, wyżali się tobie i tym sobie ulży. Przede wszystkim wbij jej do głowy, aby zachowała się rozsądnie..

Meyer, przysłuchujący się rozmowie, wtrącił:

- Niech pani doda, że mąż z czasem zapomni o jej eskapadzie i wszystko znów będzie w porządku.

Zosia zaczęła kręcić kosmyk włosów.

- Jaka eskapada? Zdradza go? Wolalabym dowiedzieć się szczegółów od was.

- Herman odwiedził ją wczoraj... - zaczął Meyer.

- Herman jest dobrym znajomym Williego - wyjaśnił Malwitz.

- Odwiedził ją i zaczął się do niej zalecać. Elżbieta zapomniała o całym świecie. W momencie gdy zataczali się w kierunku sypialni, do pokoju wpadł jej mąż...

- Mogę sobie tę scenę wyobrazić - powiedziała Zosia ze śmiechem. - Zdradzony mąż rzucił się na nich z okrzykiem: „Nędznicy!”, spoliczkował amanta i drżącą ręką wskazał żonie drzwi: „Precz z moich oczu!”

- Zosiu!

- Nie - powiedział Meyer. - Popatrzył na nich żałośnie i niewiele brakowało, a byłby się rozplakał.

- A teraz ona chce zatrzeć złe wrażenie i stara się mężowi pomóc - dorzucił Malwitz.

- W czym?

- Tkaczyk współpracuje z mamą w pewnej sprawie. Powiedział o tym żonie. Oboje nie są z naszych propozycji zadowoleni. Jednak Tkaczyk zdecydował się iść nam na rękę. Nie wiemy, co robi żona. Dlatego chcemy, abyś się nią zajęła. Zwolniłaś się na cały dzień?

- Tak, załatwiłam to z kierownikiem. Mogłabym także wziąć wolny dzień jutro.

- Zobaczymy. Na razie... Znów zaterkotał dzwonek.

- Albert - powiedział Meyer. - Zaraz zobaczy pani rogacza.

Malwitz wprowadził Tkaczyka do pokoju. Przedstawił go narzeczonej i w kilku słowach opowiedział o projekcie zaopiekowania się Elżbietą. Tkaczyk nie stawiał sprzeciwu.

- Musimy pojechać razem - rzekł. - Moja obecność upewni żonę, że jest pani osobą zaufaną.

- Dobrze, a następnie...

Ostry, długi dzwonek przerwał słowa Malwita. Gestapowiec szybko wstał i pobiegł do drzwi.

- Kto tam?

- To ja, Herman. Malwitz otworzył drzwi.

- Co się stało?

Herman był zdyszany, włosy miał zwichrzone, twarz zaczerwienioną. Wpadł do pokoju.

- Była... - zauważył narzeczoną Malwita. Skłonił głowę. - Przepraszam...

Malwitz przedstawił przybysza. Herman zwrócił się do Meyera:

- Chciałbym zamienić z tobą kilka słów, Willi! Meyer wstał.

- Chodźmy do kuchni.

- Oho, pańska żona coś nabroiła! - powiedział Malwitz do zdumionego Tkaczyka.

- Skąd pan wie, że o moją żonę chodzi?

Zanim Malwitz zdążył odpowiedzieć, Meyer wrócił do pokoju. Był wzburzony. Głośniejszy niż zwykle powiedział:

- Sądzę, że sprawa dotyczy nas wszystkich. Elżbieta udała się na milicję!

Tkaczyk jęknął i pochylił głowę. Malwitz postąpił krok naprzód.

- No i co?

- Była tam około godziny - powiedział Herman od drzwi. - Gdy wyszła, obserwowałem, czy ktoś z nią lub za nią nie pójdzie. Wróciła do domu.

- Sama?

- Tak.

- Jasna cholera! - zaklął Malwitz. - Tego nam brakowało! Jedziemy tam?

- A jeżeli milicja zna adres? - powiedział Meyer. - O, die blóde Gans!

- Albert może wejść pierwszy, my zaczekamy w samochodzie na dole - sugerował Herman.

- Dobrze - przytaknął Malwitz. - Potem weźmiemy ja na spytki.

- Okay! Nie traćmy czasu! - denerwował się Meyer. - Jedźmy!

- A ja? - wtrąciła Zosia.

- Jedź z nami - powiedział Malwitz wkładając płaszcz.

W pośpiechu opuścili mieszkanie i kilka sekund później mknęli w dwóch samochodach ulicą Świerczewskiego. Wszyscy byli nadzwyczaj podnieceni i w milczeniu zastanawiali się nad możliwymi konsekwencjami kroku Elżbiety.

Na skrzyżowaniu przed „Orbisem” zatrzymało ich pomarańczowe światło. Milicjant zrobił pół obrotu i skinął pojazdom czekającym na przecznicy.

- Verfluchter Dreck! - klął Meyer. - Nie ma innej drogi. Tracimy czas na przypatrywanie się akrobacjom tego durnia!

Niecierpliwie patrzyli na samochody wolno sunące w obydwie strony i na przechodzące przez jezdnię tłumy ludzi. Mijały sekundy, Tkaczyk zerknął w lusterko. Mały Fiat stał tuż za nimi. Siedzący za kierownicą Herman rozmawiał z towarzyszącą mu Zosią.

Po długiej jak wiek przerwie znów błysnęło pomarańczowe światło. Milicjant spokojnie podniósł rękę.

- Żeby go szlag trafił! - Meyer niecierpliwie bębnił palcami o drzwiczki. - Rusza się jak mucha w smole!

Tkaczyk włączył bieg i kiedy droga była wolna, puścił sprzęgło, równocześnie naciskając pedał gazu. Silnik zawył, samochodem szarpnęło do przodu.

Przez warkot motoru usłyszeli przenikliwy gwizd. Tkaczyk znów zerknął w lusterko. Milicjant z gwizdkiem w ustach szybkim krokiem zmierzał w ich stronę.

- Co jest? - spytał Meyer.

Tkaczyk zaczął hamować.

- Nie podoba mu się, że tak gwałtownie ruszyliśmy. Zatrzymał wóz przy krawężniku.

- No i co teraz? - Meyer wiercił się na siedzeniu.

- Zażąda prawa jazdy i wygłosi mowę o bezpieczeństwie...

Milicjant dochodził do samochodu. Malwitz, wyraźnie zaniepokojony, obejrzał się kilkakrotnie, potem wtulił się w kąt i nerwowo przecierał powieki. Tkaczyk, opuściwszy szybę, wyjął portfel z kieszeni. Podekscytowany Meyer mamrotał niemieckie przekleństwa.

Fiat Hermana minął ich wolno i zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej.

Milicjant otworzył drzwi samochodu.

- Dokąd tak spieszno? - zapytał.

- Żona źle się czuje - szybko odparł Tkaczyk. - Telefonowała do mnie. Mieszkamy na Dubois. Jadę zobaczyć, co się stało.

- Rozumiem, ale to nie zmniejsza konieczności przestrzegania przepisów bezpieczeństwa. Gdyby nieostrożny przechodzień wszedł na jezdnię, pan nie zdążyłby w porę zahamować.

- Może ruszyłem trochę za szybko - bąknął Tkaczyk.

Milicjant zerknął do wnętrza samochodu. Meyer spojrzał mu wyzywająco w twarz.

- Poproszę prawo jazdy i książeczkę samochodu.

Tkaczyk wręczył dokumenty milicjantowi. Ten, nie śpiesząc się, sprawdził tożsamość kierowcy i zgodność numeru rejestracyjnego wozu, potem trzymając książeczki w ręku powiedział:

- Chwila nieuwagi często kończy się poważnym wypadkiem. Powinien pan o tym wiedzieć. Pośpiech za kierownicą to niebezpieczna rzecz. Przyjedzie pan na miejsce tylko o sekundy wcześniej, a ryzykuje pan zdrowie i życie nie tylko swoje, ale także pasażerów i przechodniów.

- Prowadzę wóz od dziesięciu lat - powiedział Tkaczyk. - Jeszcze nie miałem wypadku.

- To ładnie - odparł milicjant oddając papiery. - Jednakże zawsze istnieje ten pierwszy raz. Proszę jechać dalej, ale w dozwolonym tempie i zwalniać na skrzyżowaniach.

Przyłożył rękę do daszka czapki i wrócił na swój posterunek.

Tkaczyk, czerwony na twarzy, wolno ruszył z miejsca.

- Czepiają się byle głupstwa - mruzczał. - Pijaków i chuliganów omijają z daleka, za to używają sobie na kierowcach.

W gniewnych nastrojach dojechali do rogu ulicy Dubois. Meyer polecił zatrzymać samochód.

- Nie możemy zbliżyć się do domu - powiedział - dopóki się nie dowiemy, co twoja żona powiedziała milicji.

- Wprawdzie nie widać nic podejrzanego - dodał Malwitz, - bacznie obserwując ulicę - ale to o niczym nie świadczy. Może pan pójdzie do domu i dowie się, czy możemy wejść - zwrócił się do Tkaczyka.

Meyer potrząsnął głową.

- Nie wejdę tam za żadne skarby! Albert, idź do domu i przyprowadź żonę tutaj. Wsiądziesz z nią do swego wozu i pojedziesz w kierunku Klęczkowskiej. Będziemy cię obserwowali. Zatrzymasz się, kiedy dam ci znak.

- Dobrze - powiedział Tkaczyk wychodząc na chodnik. - Zaraz wrócę.

Herman zatrzymał Fiata opodal i podszedł z Zosią do czekających.

- Czego chciał milicjant? - spytał Meyera.

- Nie podobało mu się, że tak szybko przejechaliśmy skrzyżowanie.

- Czepiał się, jak zwykle - dodał Malwitz.

- Tkaczyk mógł przewidzieć, że taki start zwróci uwagę władzy - wtrąciła Zosia. - Niepotrzebnie straciliśmy kilka minut.

- Zostawmy to - powiedział Malwitz. - Mamy ważniejsze zmartwienia. Jestem bardzo ciekawy, co Elżbieta powiedziała na milicji. Jakoś nie mogę uwierzyć, że nas wydała.

- Siedziała tam godzinę - przypomniał Herman. - W ciągu tego czasu można niejedno powiedzieć.

Potem, zajęci myślami, wszyscy w milczeniu patrzyli przed siebie.

Zosia pierwsza zauważyła Tkaczyków.

- O, idą!

- Wsiadajcie do Fiata - powiedział Meyer. - Odjedziemy kawałek.

Z niedużej odległości przyglądali się, jak Tkaczykowie zajęli miejsca w swym samochodzie i wkrótce odjechali w ustalonym kierunku.

Po kilku minutach jazdy, gdy Meyer upewnił się, że nikt Wartburga nie śledzi, powiedział do Hermana:

- Wyprzedź go!

Herman spełnił polecenie. Meyer skinął Tkaczykowi ręką. Wozy zatrzymały się przy krawężniku.

- Chodź ze mną! - powiedział Meyer do Malwitza. - Ty, Heinrich, na razie zostań tutaj i dotrzyj towarzystwa pani Zofii. Nie sądzę, by nasza rozmowa trwała długo.

Tkaczyk otworzył drzwi. Zajęli miejsca w tyle. Elżbieta spojrzała na nich zdziwiona.

- Spytałem żonę, kiedy się spodziewa swych przyjaciół z milicji - informował Tkaczyk. - Powiedziała, bym nie gadał głupstw. Oznajmiła również, że chce ze mną porozmawiać...

- Wobec tego rozmawiajmy! - powiedział Meyer sucho. - Po co była pani na milicji? - spytał bezpośrednio.

- A co to pana obchodzi? - oburzyła się.

- Odpowiedz na pytanie! - zażądał mąż. Przygarbiła się, wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że to interesuje tylko nas dwoje.

- Proszę pani - odezwał się Malwitz - spróbujmy załatwić tę przykrą sprawę bez denerwowania się. Po prostu czujemy się zagrożeni i musimy wiedzieć, co czynić. Nawet,

gdyby pani porozmawiała z mężem na osobności, on i tak wszystko by nam powtórzył. Zależy nam na czasie.

Zastanowiła się. Tkaczyk odwrócił się do żony.

- Wczoraj sprawiłaś mi dużą przykrość - powiedział cierpko. - Dziś zamiast zachować się spokojnie, znów wtykasz nos w nieswoje sprawy. Doprawdy można stracić cierpliwość. - Podniósł głos: - Proszę, nie przeciągaj struny! Wszyscy musimy wiedzieć, po co byłaś na milicji. Mów!

Elżbieta przechyliła się do niego.

- Albert! Opamiętaj się! Przecież ty nie należysz do tej... kliki! Nie wiem, jak ci wytłumaczyć, że tylko staram się pomóc tobie i sobie. Wczorajszy incydent...

Meyer uderzył pięścią w oparcie.

- Do diabła! - wrzasnął. - Niech pani nas nie uważa za głupców! Lada moment możemy mieć milicję na karku, a pani opowiada jakieś bzdury! Co milicja wie o nas?

Poczerwieniała i zerknęła na męża. Na jego twarzy widać było przygnębienie i rozterkę, miał pionową zmarszczkę między brwiami.

- Nic - odparła.

- Jak to „nic”?

- Wcale o was nie rozmawiałam.

- Więc o czym? - krzyknął zirytowany Niemiec. - O pogodzie?

Malwitz skinął na niego i potrząsnął głową. Pochylił się do przodu.

- Proszę się uspokoić. Przypuszczalnie udała się pani na komendę, aby w jakiś sposób pomóc mężowi. Prawdopodobnie pytała pani o radę. Tyle możemy się domyślić. Czy podała pani swoje nazwisko?

Meyer spojrział na niego z ukosa. Spokój gestapowca nie zawodził go - znał tę metodę: przesłuchiwanego oszołamia się krzykiem i groźbami, potem nagle zadaje się parę łagodnych, ba, uprzejmych pytań, by znienacka znów wrzasnąć lub - jak bywało za dawnych czasów - uderzyć. Ten sposób przesłuchiwania wytrącał ofiarę z równowagi i kruszył jej opór. Meyer wnioskował, że Malwitz, zostawiając mu rolę „agresywnego”, będzie się starał wydobyć z Elżbiety prawdę ostentacyjnym spokojem.

- Nie - odparła Elżbieta. - Przedstawiłam się pod innym nazwiskiem.

- Adres? - indagował Malwitz.

- Nikt mnie nie pytał o adres.

- Z kim pani rozmawiała?

- Z jakimś kapitanem. - O czym?

Gdy nie odpowiadała, spytał:

- Mówiła pani o przeszłości męża?

- Nie.

- Wspomniała pani o jego znajomych, o nas?

- Tak, ale bardzo ogólnikowo, bez podawania nazwisk. - Pytała pani, w jaki sposób mężowi pomóc?

- Stawiałam pytania tak, jakby chodziło o obcego człowieka, o którego tarapatkach przypadkowo się dowiedziałam.

- A oni w to uwierzyli? - sardonicznie zawołał Meyer.

- Elżbieto! - wtrącił Tkaczyk. - Po raz ostatni proszę, powiedz nam o wszystkim, co działo się na MO. Co wiedzą o nas i o naszych planach?

Spojrzała na niego z żalem.

- Podałam się za publicystkę i powiedziałam, że chcę napisać artykuł o rehabilitacji volksdeutschów.

- Co to ma wspólnego z nami? - zawołał Meyer zdziwiony.

- Powiedziałam, że niejaki pan A. służył w niemieckim wojsku i tego faktu do tej pory władzom nie wyjawiał. Chciałby to uczynić obecnie, ale się boi. Pytałam, jakie są prawne konsekwencje przynależności do armii niemieckiej.

Meyer z niedowierzaniem pokiwał głową.

- Unglaublich! Zawracała im pani głowę takimi rzeczami? Czy chce pani, by Albert do nich poszedł i dał się na kilka lat zamknąć?

- Nie przypuszczam, żeby mu to groziło - powiedziała śmieiej. - Albert nie dopuścił się żadnego karalnego czynu.

- Tak panią poinformowano? - Meyer roześmiał się w głos. - A pani uwierzyła tym bzdurom? Czy powiedziała pani także, że mąż należał do SS? Że brał udział w akcji przeciwko ruskim żołnierzom? Wątpię! Przypuśćmy, że nas wszystkich wsadzą. Czy myśli pani, że zgodnie potwierdzimy niewinność Alberta, a sobie przypiszemy wszystkie winy? W takiej sytuacji każdy walczy o swoją głowę i zwała winę na drugiego. To jest ludzkie, ja tego nie zmienię. Albert tkwi we wszystkim tak głęboko, jak i my. Cokolwiek pani zrobi, tylko przyczyni się do jego zguby. Proszę sobie to wbić do głowy! Co powiedzieli albo poradzili pani na milicji? Spojrzała na niego z przekorą.

- Sugerowali, żeby Albert do nich przyszedł i szczerze z nimi porozmawiał.

- Ch, cha, cha! Słyszysz, Bert? Leć na milicję i wyżał się przed nimi! Uprzejmy milicjant pogłodzi cię po czuprynce, da na porcję lodów i odeśle do domu z ostrzeżeniem, abyś na przyszłość był dobrym chłopczykiem. Cha, cha, cha!

Nagle zmienił ton i urągliwie spytał:

- Czy pani kompletnie zwariowała? Pani zbyt mało wie, aby się wtrącać. Nasze sprawy są niezwykle poważne, władze zdecydowanie nie są nam przychylnie. Zrobiła pani wielkie głupstwo lecąc do nich po informacje. Czy o nas naprawdę nie było mowy?

Zaprzeczyła.

- Nie pytali, dlaczego pani się tym interesuje?

- Powiedziałam, że piszę felieton - powtórzyła.

- Nie pytali, kim jest ten pan A.? Znow zaprzeczyła.

- Proszę sobie dokładnie przypomnieć, czy nie dała im pani żadnych wskazówek, z których mogliby się czegoś domyślić.

- Czego?

- Naszych obecnych planów.

- Nie znam waszych planów, więc nie mogę o nich mówić.

- Przypuśćmy, że tak jest - zachnął się Meyer, lecz jego pytania straciły ostrość. - Jaki był dalszy przebieg tej rozmowy?

- Oficer, z którym rozmawiałam, poradził, by A. do niego przyszedł - powtórzyła z braku lepszej odpowiedzi.

- Przecież pani powiedziała, że chodzi o felieton, a nie o pomoc dla pana A.!

- Tak, ale on sugerował, że A. należałoby pomóc.

- Czy nie pytał, dlaczego dopiero teraz chce się zrehabilitować?

Namyśliła się. Pytanie było logiczne... Patrząc w ślad za przechodzącą parą szukała odpowiednich słów.

- Tak, pytał o to.

- A co pani powiedziała?

- Powiedziałam, że niedawno przypadkowo spotkał znajomego, który zna jego przeszłość i obawia się, że może go zadenuncjować.

Meyer domyślał się, że Elżbieta nie mówi prawdy, lecz nie wiedział, jak zadać kłam jej słowom.

- Skąd ten nieznajomy wie, że A. jeszcze się nie zrehabilitował? - spytał.

- Ta kwestia nie była poruszana - odparła.

- O co panią jeszcze pytano? - O nic więcej.

- Chce nam pani wmówić, że uwierzyli tym nonsensom, o nic nie pytali i puścili panią do domu? Czy mamy uwierzyć, że przez godzinę wymieniliście tylko te kilka zdań? No, niechże pani wreszcie powie, co się tam działo! - nalegał niecierpliwie.

- Dla mnie wersja pani Elżbiety brzmi rozsądnie - wtrącił Malwitz.

- Dla mnie nie! - Meyera znów ogarniała wściekłość. - Mucha siada na lep tylko na chwilę, ale lep już ją ma. Wyobraź sobie, że jesteś urzędnikiem milicji. Przybywa do ciebie kobieta z niecodzienną historią. Czy uprzejmie ją wysłuchasz i nie zadając pytań pozwolisz odejść?

- Nie przeceniaj bystrości tutejszych władz - rzekł Malwitz. - Sam stwierdziłeś, że nie są inteligentni.

- Mimo to cała ta historia jest strasznie dziwna! Nie rozumiem, dlaczego... - przerwał i głowił się nad czymś. Wreszcie pochylił się do Elżbiety i z bliska patrząc jej w twarz powiedział:

Proszę pani! Nie mogę zmusić panią do mówienia. Jednak dla dobra wszystkich, w tym pani i Alberta, proszę odpowiedzieć szczerze na jedno pytanie: czy z pani słów albo zachowania milicja mogła nabrać jakichkolwiek podejrzeń? Czy w konsekwencji tej rozmowy należy się liczyć z ich interwencją?

Zastanowiła się.

- Nie - powiedziała. - Jestem pewna, że nie przykładali wielkiej wagi do moich wypowiedzi.

- Hm, chcąc nie chcąc musimy uwierzyć. Ale w celu uniknięcia w przyszłości podobnych eskapad poproszę panią, by udała się z nami do mieszkania pana Lipińskiego. Bert wyraził zgodę. Sądzę, że pani także nie ma obiekcji?

- Co to znaczy? - uniosła się.

Tkaczyk, który do tej pory skonsternowany milczał, chrząknął.

- Będzie tak, jak Willi mówi - powiedział. - Pani Zosia, narzeczona pana Lipińskiego, zostanie... będzie towarzyszyła ci - poprawił się - tak długo, aż zrealizujemy nasze plany.

Elżbieta zagryzła wargi. Nie odpowiadała. Meyer zwrócił się do Tkaczyka:

- Jedziemy na Dąbrowskiego, Bert!

Gdy mijali Fiata, dał znak Hermanowi, by jechał za nimi.

- Prawdę mówiąc, nie rozumiem tej historii - powiedział Meyer do Elżbiety podczas jazdy ulicami miasta. - Uważałem panią za rozsądną osobę, a tu zachowuje się pani całkiem nieobliczalnie. Co skłoniło panią do pójścia na milicję? Troska o męża? Chyba nietrudno jest zrozumieć, że tam nie znajdziecie przyjaciół. Liczy pani na sentymenty i współczucie... kogo?

Ludzi, którzy są opłacani za wsadzanie takich gagatków jak Albert za kratki? Mogą najwyżej udawać życzliwość, ale w duchu wysmiewają się z głupców, którzy kładąc głowę w pętlę ułatwiają im pracę. Tylko bardzo łatwowierna osoba może uwierzyć w ich naiwne obietnice. Milczeli kilka sekund.

- Ja również sądzę, że pani nie powinna się mieszać w nasze sprawy - rzekł Malwitz. - Jesteśmy dorośli, wiemy, co robimy, i zdajemy sobie w pełni sprawę z ewentualnych konsekwencji. Pani natomiast jest zbyt słabo poinformowana o naszych planach, by móc ingerować.

Gdy przyjechali do celu i weszli do mieszkania, Malwitz, usiłując zachować w tej zawilej i dziwnej sytuacji przynajmniej jakieś pozory dobrego tonu, zwrócił się do Elżbiety:

- Pani pozwoli - powiedział - że przedstawię: Zofia Kubicka, a to jest pani Elżbieta Tkaczyk.

Elżbieta z zaciekawieniem spojrzała na swą strażniczkę. Zosia zawahała się, czy podać jej rękę, uczyniła nawet gest, jakby zamierzała wyciągnąć dłoń, jednak widząc nieprzyjazną minę Elżbiety, nieznacznie wzruszyła ramionami i tylko skinęła jej głową.

*

Po południu mały Fiat zatrzymał się na jednej z oporowskich uliczek, w dość dużej odległości od willi Kaweckich. Herman prowadził wóz, w tyle siedział Meyer, ubrany w kombinezon.

- Muszę pójść osobiście - odpowiadał Niemiec na jakieś pytanie. - Wiem, czego szukać. Zobaczą mnie, to prawda, ale kto domyśli się, że kontrolerem elektrowni jest Willi Meyer z Niemiec?

- Kontrolerzy nie noszą kombinezonów - zauważył Herman.

- Wiem o tym, ale Malwitz dzwonił niedawno, że Kawecka pojechała z dzieckiem do miasta. W domu jest tylko stara, a ta, widząc kombinezon, na pewno da się nabrać.

- Jednak pamiętaj, jak się zachować: bądź mrukliwy, ale autorytatywny...

- Heinrich! - Meyer roześmiał się. - Kogo ty uczysz? Otworzył drzwiczki.

- No, trzymaj się! Zaraz wrócę.

Przewiesił sobie przez ramię starą, skórzaną torbę, którą Malwitz miał u siebie w szafie, wysiadł i rażnym krokiem ruszył w kierunku willi.

Do furtki, jak przypuszczał, przy dreptała stara kobieta. Miała około siedemdziesięciu lat. Jaskrawa czerwono-zielona chustka zakrywała siwe włosy. Spojrzała na Meyera znad szkielek okularów.

- Kontroler z Zakładu Energetycznego - burknął Meyer.

- Aha. Chce pan wejść?

- Tak. Muszę zobaczyć licznik i sprawdzić instalację.

Kobieta bez wahania otworzyła furtkę. Weszli do domu, na krótki korytarz.

Przez otwarte drzwi pokoju Meyer zobaczył skrawek dywanu i głęboki brązowy fotel stojący przy piecu. Po prawej wiodły schody na piętro. Ku swej radości Niemiec zauważył, że były stare, wytarte i - według wszelkiego prawdopodobieństwa - te same, które pamiętał z 1945 roku.

Półśłówkami odpowiadając na pytania starej kobiety, poszedł za nią w głąb korytarza, gdzie w niszy znajdowały się liczniki. Otwierając duży brulion, bacznie rozglądał się, notując w pamięci każdy szczegół.

- Kawecki Jan - mruknął odczytując nazwisko z listy, którą przed wyjazdem sporządzili, wypisując z książki telefonicznej kilka nazwisk mieszkańców Oporowa.

- Ile osób mieszka w tym domu, cztery?

- Tak - odrzekła. - Póki żył mój mąż... - zaczęła wspominać, zadowolona z okazji do rozmowy.

Meyer nie słuchał. Stwierdził, że drzwi do piwnicy są uchylone. Wzrokiem odszukał stojący na półce telefon. Następnie, przerywając wywody starej kobiety, spytał, czy mają telewizor i pralkę.

Niby to oglądając instalację elektryczną myszkował w domu przez kilka minut, potem zadowolony podziękował kobiecie, która nie przestając gadać odprowadziła go do furtki.

- No - powiedział do Hermana, gdy znów usiadł w samochodzie - teraz mógłbym się poruszać w tym domu z zamkniętymi oczami! Prawie wszystko jest w takim stanie, jak było szesnaście lat temu. Wiesz, zapytałem starą, czy przypadkiem nie mają pokoju do wynajęcia. Niestety, nie.

- Pozostaje dokładne omówienie szczegółów i możemy działać.

- Tak. A teraz jedźmy!

7

Wydarzenia zaczynały nabierać rozpędu. Niewidzialne ręce coraz szybciej pociągały nitki, na których poruszały się ludzkie kukły. Tkaczyk, Herman, Elżbieta... bezwolni aktorzy osobliwej pantonimy. Z ich udziałem, lecz bez ich wiedzy, kurtyna przed ostatnim aktem podniosła się do góry.

Scena: mieszkanie Tkaczyków. Dym z papierosów włókł się leniwymi smugami, falował, unosił się pod sufit, wypełniał pokój szarą, piekącą oczu mgiełką. Na ekranie telewizora trzy osoby wiodły dyskusję na temat spółdzielni mieszkaniowej. Zosia z Elżbietą

siedziały w fotelach i prowadziły cichą rozmowę. Malwitz patrzył na szklany ekran, lecz zajęty własnymi myślami nie zwracał uwagi na program. Gospodarz nalewał kawę do filiżanek. Aromatyczny zapach rozszedł się w krąg. Odstawiwszy dzbanek, Tkaczyk zajął miejsce przy stole.

- Proszę, napijmy się kawy. Skoro Meyera do tej pory nie ma, to nie wiadomo, kiedy przyjdzie.

Malwitz zerknął na kobiety. „Jednak się zbliżyły do siebie - pomyślał. - Spędziły razem kilka godzin i już rozmawiają całkiem przyjaźnie...”

Stojący obok niego Tkaczyk gestem zapraszał Zosię do stołu. Do żony nie odzywał się. Czasem, gdy mu się zdawało, że nikt nie patrzy, rzucał jej ukradkowe spojrzenia, lecz już nie było w nich gniewu; w międzyczasie wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, iż trudno mu było rozpamiętywać swe żale.

Po południu Meyer raz jeszcze wziął Elżbietę na spytki. Razem z Lipińskim bombardowali ją pytaniami, aż się załamała i wybuchnęła histerycznym płaczem. Jednak nie dowiedzieli się niczego więcej. „Przedstawiłam się jako Barbara Orzechowska... nie podałam swego adresu... nie wymieniłam waszych nazwisk... nikt mnie nie śledził...” - uporczywie twierdziła Elżbieta.

W rozmowie z kompanami Meyer dał wyraz swym wątpliwościom i podejrzeniom. „Nawet jeżeli powiedziała na milicji to, do czego przed nami się przyznała, powinni wykazać większe zainteresowanie - mówił. - Tymczasem zbagatelizowali ją, odesłali do domu grzecznie prosząc, by ów tajemniczy A. sam do nich przyszedł! Czy nie rozumiecie, że ze słów Elżbiety nawet kiep by się domyślił, iż spotkanie trójki dawnych przyjaciół ma jakieś głębsze znaczenie? - Jak wytłumaczyć kompletny brak zainteresowania ze strony milicji?”

Lipiński sugerował, że kapitan, z którym Elżbieta rozmawiała, być może nie rozumiał znaczenia sprawy. „Jesteś przewrażliwiony, Willi! - mówił. - Faktem jest, że się jej opowiadaniem nie zainteresowali i to powinno wystarczyć. Po co łamać sobie głowę, dlaczego tak postąpili?”

Później Lipiński powiedział, że można by wrócić na Dubois. Tkaczykowi zdawało się, iż chce się ich pozbyć ze swego mieszkania... Meyer z początku oponował, potem niechętnie zgodził się mrużąc, że tak czy owak musi wieczorem być w tym mieszkaniu.

Wszyscy pojechali na Dubois. Długo obserwowali okolicę domu, nim odważyli się do niego wejść. Meyer jednak zabawił tylko parę minut. O trzeciej poszedł gdzieś z Hermanem. „Chcę załatwić osobiste sprawy - powiedział wychodząc. - Spotkamy się tutaj o piątej.”

Tkaczyk podejrzewał, iż Meyer nie ma żadnych „spraw do załatwienia”, lecz po prostu nie chce przebywać w „spalonym” mieszkaniu - jak je nazywał.

- Spojrzał na zegarek: za piętnaście minut szósta.

- Proszę - powiedział do Zosi - może zje pani ciastko?

- Chętnie! - odparła, a następnie zwróciła się do Malwitza: - Ej, Stef! Co ci jest? Masz taką minę, jakbyś chciał kogoś zamordować!

Malwitz ocknął się z zadumy. Zrobił podobny do uśmiechu grymas.

- Rozwiązywałem w myśli ciekawy problem brydżowy - powiedział. - Szlemik w bez atutu z niezbyt mocną kartą. Nie wiem, gdzie jest król pik... Cała rozgrywka zależy od udanego impasu. Jeżeli uda mi się wytrącić go obrońcom, to reszta jest bagatelką.

- Nie gram w brydża - mruknął Tkaczyk obojętnie. - Karty nigdy mnie nie interesowały. Zresztą jestem zawsze zbyt zajęty. Pani niewątpliwie gra w brydża? - spytał nie tyle z ciekawości, co z grzeczności.

- O tak, dzielnie asystuję narzeczonemu, chociaż, jak twierdzi, kobieta i brydż to dwie absolutne sprzeczności. - Kręcąc w palcach kosmyk włosów zwróciła się do Malwitza: - A jeżeli impas się nie uda?

- Wtedy leżymy co najmniej bez jednej. Lecz zostawmy karciane problemy.

Na dźwięk dzwonka Tkaczyk szybko wstał.

- To Willi!

Meyer i Herman weszli do pokoju wyraźnie czymś ukontentowani. Zamrugali oczami oswajając się ze światłem.

- Nie mogliśmy się was doczekać - powiedział Tkaczyk, stawiając dodatkowe filiżanki na stole.

Meyer usiadł, spojrzał na Elżbietę, potem na Zosię i Malwitza.

- Zabawiliśmy dłużej, niż przypuszczałem. Było tak gemütlich, że nie mogliśmy się oderwać - mruknął do Hermana. - Nie było telefonu do mnie?

- Nie - powiedział Tkaczyk.

- Nic się nie działo? - spytał Meyer znacząco.

- Nic - odparł Malwitz. - Sądzę, że oczekiwana burza minęła nas bokiem.

- Tak się wydaje - rzekł Meyer sceptycznie. - Wiecie - zmienił temat - po drodze wstąpiliśmy do „Delikatessen”, chciałem kupić koniak i trochę kielbasy. Koniak był tylko chiński. Nie kupiłem, bo Heinrich mówi, że go czuć eterem. Poprosiłem sprzedawczynię o salami. Wyjęła kawałek sera i pyta: „Ile dać?” Ja jej powtarzam, że chcę salami, a ona z oburzeniem mówi: „Przecież panu daję!” Co za...

Zadzwonił telefon.

- Szósta - powiedział Niemiec wstając i sprawdzając czas. - Na pewno do mnie.

Nie pytając gospodarzy o zgodę podniósł słuchawkę.

- Halo, słucham? Tak, to ja.

Potem odwrócił się plecami do towarzystwa i szeptem powiedział:

- Przecież dziś środa... raczej tak, ale chciałbym jak najprędzej odebrać tę biografię, wie pan...?...Tak, doskonale... naturalnie... dobrze. - Położył słuchawkę.

- Muszę wyjść na kilka minut - oświadczył odwracając się. - Proszę, zaczekajcie na mnie.

- Pójdiesz sam? - spytał Tkaczyk.

- Tak, ale do ciebie mam małą prośbę - odparł Niemiec wychodząc do przedpokoju.

Tkaczyk udał się za nim.

- O co chodzi?

Meyer zniżył głos do szeptu:

- Idę na ważne spotkanie, Bert. Zależy mi na tym, aby nikt w tym czasie nie opuszczał mieszkania, nie telefonował ani nawet nie odbierał rozmów telefonicznych.

Tkaczyk zdumiony spojrzał na Niemca.

- Ale...

- Proszę, nie pytaj - przerwał Meyer. - Muszę być ostrożny. Zresztą wytłumaczę ci później. Teraz bardzo się śpieszę.

Lekko oczyścił buty, oddał gospodarzowi szczotkę, klepnął go po ramieniu i wyszedł.

Na ulicy było mroczno. Światła rozpląwały się w szarości między dniem a nocą. Wiał nieprzyjemny, chłodny wiatr.

Meyer podniósł kołnierz palta, szybko przeszedł jezdnię i po kilku krokach znalazł się na Pomorskiej. Idąc odczuwał dziwne napięcie. Skoro nieznanemu łącznik chciał się z nim osobiście porozumieć, musiał mieć ku temu ważne powody. Wprawdzie miał dostarczyć broń, lecz aby to zrobić, mógł wybrać liczne sposoby, bez spotykania się. Nie w tym jednak leżało źródło niepokoju Meyera. Szkolony przez wygów gehlenowskiej służby wywiadowczej, miał niezwykle wyczulone zmysły. Słuchając, łowił uchem nie tylko słowa, lecz także intonację głosu i szczególne akcenty, które często zdradzały prawdziwe myśli mówiącego. Jego oczom nie uchodziły momenty zażenowania lub malująca się na twarzy czujność; zważał na mimowolne gesty i grymasy; szczylił się, że każdego potrafi psychologicznie rozłożyć na cechy podstawowe i odpowiednio się z nim obejść. Ale tym

razem nie wiedział, skąd wzięła się owa niemal nieuchwytna świadomość zbliżającego się niebezpieczeństwa. Zdawało mu się, że ostrzega go maleńki dzwonek alarmowy...

Lecz przed czym, przed kim? Przed flegmatycznym Tkaczykiem? Gestapowcem Malwitzem? Hermanem? A może groźba zbliżała się z innej strony? Obojętność kapitana milicji, przed którym Elżbieta się wyżałała, wciąż stanowiła nierozwiązaną zagadkę...

Alarmujące myśli jednak nie sprawiały mu przykrości. Czuł się dobrze w sytuacjach niejasnych i napiętych. To myśl o jakimś normalnym życiu byłaby nieprzyjemna.

Przeszedł obok budynku szpitala Rydygiera i spojrzął na numer jednego z domów. Trzydzieści pięć. Jeszcze dalej.

Ciemne bramy, grube mury i szare cienie. Gdzieniedzie oświetlona wystawa sklepu. Siedemnaście lat temu bronili tych domów. Dobrze pamięta tygodnie tamtej wiosny. Atmosfera w dogorywającym mieście nasycona była emocją, życie przebiegało w przyspieszonym tempie, nieliczne przyjemności wykorzystywano w pełni. Miłość była łatwa, dziewczęta uległe...

Znów wnętrza bramy. Numer czterdzieści trzy. Zawahał się. Przystanął. Skrzydło dużych drzwi było otwarte. Z mrocznej sieni wiał chłód.

Upłynęło kilka sekund. Z szumem i hałasem przejechał tramwaj. Meyer czekał niezdecydowany. Znów zerknął na numer. Tak, to tu!

W tem za jego plecami odezwał się spokojny głos:

- Pan Winkiel?

- Tak - odwrócił się. - Czy...

- Proszę się oprzeć plecami o bramę! - stanowczo zażądał tamten i nie wychodząc z cienia kontynuował: - Gdyby ktoś zamierzał wejść, przerwiemy rozmowę, odejdę, pan zostanie na miejscu i zaczeka, aż wrócę.

- Dobrze - odparł Meyer szukając papierosa w kieszeni. Trochę był rozczarowany, że nie zobaczy pana Różyckiego”, lecz właściwie tak było rozsądniej. Zapalił papierosa.

- Przede wszystkim - powiedział nieznajomy półgłosem - dam panu to, o co pan prosił. Biografię Wilhelma Piecka, prawda?

- Nie, nie! Pan mnie nie zrozumiał! Prosiłem o biografię Ulbrichta, mając na myśli Waltera... pistolet marki „Walter”! Przecież u pana w depozycie są „Walterki”, powinien pan być wnioskować...

- Rozumiałem doskonale - przerwał mu tamten. - Chciałem się tylko upewnić. Oto pański „Walterek”.

Meyer poczuł lekkie dotknięcie przy lewym boku. Opuścił rękę. Palce napotkały zimny metal.

- Proszę włożyć broń do kieszeni. Tu ma pan amunicję.

Wepchnął w nastawioną rękę małe, lecz ciężkie tekturowe pudełko.

Następnie Meyer przekazał dane o Tkaczyku i Hermanie, z którymi „Rózycki” w przyszłości miał się kontaktować. Gdy Niemiec skończył relację, nieznajomy powiedział:

- Teraz chciałem pana spytać o kilka rzeczy, które mnie interesują.

- Słucham.

- Przedtem muszę zaznaczyć, że może pan na moje pytania nie odpowiadać. Moim zadaniem jest obserwować z daleka, co się dzieje, i zbierać informacje od agentów. Mogę ich także ostrzegać, jeżeli się dowiem, że coś im grozi. Na tym moja rola się kończy.

- Proszę pytać - powiedział Meyer.

- Po przyjeździe do Wrocławia spotkał się pan z pewną osobą, która mieszka na ulicy Dąbrowskiego. Czy ten mężczyzna jest także agentem?

- Nie, jest to mój znajomy z dawnych lat.

- Nazwisko?

- Obecnie Lipiński.

- A dawniej?

- Malwitz. - Meyer zawahał się, czy powiedzieć „Rózyckiemu” o byłym gestapowcu.

Postanowił jeszcze mil-

CZGC.

- Więc znacie się z dawnych lat. To znaczy z czasów wojny?

- Tak.

- Czy on wie, co pan tu robi?

- Domyśla się.

- Ma pan zaufanie do niego?

- Raczej tak.

- Czym się trudni ten pan Lipiński vel Malwitz?

- Nie wiem, co robi oficjalnie. Jednak sądzę, że jest zaangażowany w pracy podobnej do naszej.

- Nic więcej pan o nim nie wie?

- Nie.

- Dlaczego towarzyszy panu na każdym kroku? „Dobrze poinformowany!” - pomyślał Meyer. Głośno powiedział:

- Chcę, aby mi pomógł w załatwieniu pewnej sprawy.
- Czy do tej sprawy także potrzebny jest pistolet?
- Może się przydać - ostrożnie odparł Meyer, zastanawiając się, czy nie należałoby wtajemniczyć „Rózyckiego” w swe plany.

- Nie mogę wam niczego odradzić - powiedział tamten, jakby odgadując myśli Niemca - mogę natomiast być pomocny, choćby tylko informacjami i wskazówkami. Dlatego pytam.

Zamilkł na moment, gdyż chodnikiem przechodził jakiś mężczyzna.

- Henryk i Albert zgodzili się na współpracę, prawda? - padło pytanie.

- Tak. Henryk chętnie, Albert miał skrupuły. Jego żona wręcz się sprzeciwia.

- Żona? Co ona wie o tym?

- Albert, niestety, wygadał się przed nią. Zapanowało krótkie milczenie. Potem głos zza bramy powiedział:

- To bardzo niedobrze! Wobec takiego obrotu sprawy radziłbym wstrzymać jakąkolwiek akcję na... miesiące.

- Dobrze, ale...

„Muszę mu powiedzieć” - pomyślał Meyer i rzekł:

- Widzi pan, chcę obecnie załatwić małą, prywatną sprawę. W czterdziestym piątym roku ukryłem we Wrocławiu pewne osobiste papiery. Chcę je wydostać. Albert i Henryk pomogą mi w tym.

Milczenie tym razem trwało tak długo, że Meyer zaczął się niecierpliwić.

- Kiedy? - padło wreszcie pytanie.

- Co...?

- Kiedy chce pan je wydostać?

- W ciągu najbliższych dni. Może już jutro. Dziś przeprowadzę próbę generalną.

- Więc to jest takie poważne, że trzeba przeprowadzić próbę?

- Raczej tak.

- Zaczynam rozumieć. Czy Lipiński również bierze udział w tej akcji?

- Tak.

- Co to za dziewczyna, która do niego przychodzi?

- Prawdopodobnie jego narzeczona, Zosia.

- Gdzie pracuje?

- Nie wiem. W jakimś biurze.

- Hm... panie Winkiel, proszę uważnie posłuchać. Pańskie informacje razem z moimi spostrzeżeniami stwarzają ciekawy, lecz raczej niepokojący obraz. Opiekowałem się podobną grupą przed paroma miesiącami. Niestety, na skutek samowoli i nieostrożności jednego z agentów milicja zlikwidowała ją w ciągu dwóch tygodni. Do mnie nie dotarli. Jednak pewne szczegóły nauczyły mnie mieć się na baczności. Stawiam sobie za zadanie wiedzieć jak najwięcej o zaangażowanych osobach. Nie podoba mi się obrót, jaki sprawy przybrały.

Meyer, dziwiąc się, skąd nieznajomy zdobył swe informacje, znów się zaniepokoił. Coś wisiało w powietrzu!

- Co pan radzi? - spytał.

- Jeżeli pan musi przeprowadzić tę swoją prywatną sprawę, radzę zrobić to jak najszybciej i natychmiast opuścić Polskę. Albert i Henryk niech zachowują się absolutnie spokojnie, aż dam im znać, że mogą zacząć działać. A ja bez zwłoki postaram się dowiedzieć czegoś o Lipińskim.

Meyer zdecydował się szybko

- Wobec tego załatwię wszystko jeszcze dziś - powiedział.

- Ile czasu potrzeba panu na to?

- Godzinę, dwie. Po północy mam pociąg do Warszawy, a jutro po południu z Warszawy do Berlina. Może zadzwoni pan później do mnie?

- Naturalnie. Myślę, że zdobędę jakieś dodatkowe informacje. Będzie pan u Tkaczyka?

- O nie! Na pewno nie. Z Oporowa wrócimy do Lipińskiego. O dziesiątej powinno być po wszystkim.

- W takim razie zadzwonię do pana o dziesiątej. Zna pan jego numer?

- Nie. Pewnie jest w książce. Tylko... Jeżeli nie odbiorę telefonu osobiście, proszę pytać o Willi Meyera.

Rozglądając się bacznie na wszystkie strony, zauważył nadchodzącego milicjanta.

- Z lewej idzie milicjant!;- szepnął.

- To nic. Za dziesięć sekund wejdzie pan do tej sieni, dalej prosto na podwórze. Stamtąd przejdzie pan przez następną, sień i znajdzie się na ulicy Rydygiera. Potem w prawo i następną uliczką znowu w prawo. Życzę powodzenia!

Ciche kroki oddaliły się.

Meyer uczynił, jak nakazał mu nieznajomy, i wkrótce znalazł się znowu na ulicy Pomorskiej.

*

Była siódma, gdy wrócił do mieszkania Tkaczyków. Zanim wszedł do pokoju, gospodarz zdołał mu szepnąć na ucho, że wszystko jest w porządku, nikt nie dzwonił ani też nie opuszczał domu.

Zosia z Elżbietą wciąż o czymś rozprawiały. Malwitz siedział w fotelu przed telewizorem. Wszyscy z zaciekawieniem spojrzeli na Niemca.

- Zimno? - spytał Herman podsuwając mu krzesło.

- Można wytrzymać - odparł Meyer. Siadając rozpiął błyskawiczny zamek swej kurtki.

- Słuchajcie, musimy dokładnie omówić nasze plany. Zaszły pewne zmiany. - Ciszej dodał: - Akcję należy przyspieszyć.

- Przyspieszyć? - Malwitz był zdziwiony. - Tak. Zaraz o tym porozmawiamy. Zwrócił się do Elżbiety:

Czy byłaby pani tak uprzejma zrobić cośkolwiek do jedzenia? Nie miałem czasu nic kupić.

- Willi! - zaprotestował gospodarz. - Przecież jesteś naszym gościem!

- Na co pan ma ochotę? - spytała Elżbieta wstając. - Wędliny, sałatkę mięsną czy coś na gorąco?

- Obojętne, co pani sprawi najmniej kłopotu.

Gdy wyszła, pochylił się nad stołem i cicho powiedział do Tkaczyka:

- Później poprosisz panie, by wyszły do sypialni. Porozmawiamy w czwórkę. Teraz, proszę, o nic nie pytajcie. Muszę przemyśleć pewne ważne sprawy.

Usadowił się wygodnie w fotelu, rozluźnił krawat i wyciągnął nogi przed siebie.

Po kolacji, gdy mężczyźni zostali sami w pokoju, Meyer, wpatrując się w jakiś punkt przed sobą, powiedział nieoczekiwanie:

- Oporów zrobimy dziś wieczór.

- Dzisiaj?! - Tkaczyk wytrzeszczył oczy w zdumieniu.

- Dlaczego naraz taki pośpiech? - spytał Malwitz, również zaskoczony nagłą decyzją.

- Po prostu mam także inne sprawy na głowie - odparł Meyer. - Muszę mieć swobodę ruchu. Dopóki nie skończę z Oporowem, nie będę miał spokoju. Rozważyłem wszystko i doszedłem do wniosku, że nie ma na co czekać. Właściwie wszystko jest przygotowane: samochody, narzędzia... No, zgadzacie się?

Tkaczyk nie odpowiadał, tylko opuścił głowę.

- Naturalnie! - zawołał Herman z ożywieniem. - Im prędzej, tym lepiej!

- Stanowczo odradzam działać pochopnie - powiedział Malwitz. - Nawet nie omówiliśmy szczegółów. Musimy przemyśleć każdą drobnostkę, przewidzieć każdą możliwość. Na to potrzebny jest czas.

- Czas, czas! W obecnej sytuacji zwłoka może nam tylko zaszkodzić.

- Jak to?

- Obserwując dom, zwróciliśmy na siebie Uwagę sąsiadów. Gdybyśmy się tam szwendali jeszcze dłużej, zapamiętaliby nie tylko samochody, lecz także ich numery i wreszcie opisaliby każdego z nas milicji - motywował Meyer, zdając sobie sprawę, że argument nie jest przekonujący, a słuszność leży po stronie Malwitza. Do precyzyjnego przeprowadzenia tej operacji nie byli dostatecznie przygotowani. Ale swoje dolary musiał zdobyć...

- To nie jest fair, Willi. Zaskakujesz nas nieoczekiwanymi pomysłami.

- Mój drogi! - odparł Meyer. - Planowałem tę sprawę od dawna, sądzę, że możemy z powodzeniem przeprowadzić ją dziś. Ale skończmy z tym jałowym gadaniem. Wiem, co robię, i to powinno wystarczyć!

- Willi ma rację! - przytaknął Herman. - Planował akcję, toteż musi wiedzieć, kiedy ją przeprowadzić. Nie możemy godzinami dyskutować, kto jest za, a kto przeciw.

„Spieszno mu do pieniędzy” - pomyślał Malwitz, lecz już nie oponował.

- Wobec tego słuchamy - powiedział. Meyer spojrział na zegarek.

- Jest za dziesięć minut ósma. Wyjdziemy stąd o dziewiątej. Mamy dość czasu, aby wszystko przygotować. Chciałbym postawić jeden warunek, który winien być bezwzględnie przestrzegany: od momentu, gdy stąd wyruszemy, wszystko musi grać jak w zegarku. Jakkolwiek by się nie potoczyły wypadki, trzeba przede wszystkim zachować spokój i nie gorączkować się.

Tkaczyk wstał i ze złością wyłączył telewizor. Potem wrócił do stołu, usiadł i zapalił papierosa. Malwitz obserwując go spod oka, zauważył, że drżą mu ręce.

- Pojedziemy w czwórkę w dwóch samochodach - ciągnął Meyer. - Heinrich z tobą - skinął na Malwitza - ja z Albertem. Zabierzemy latarki, aparat do cięcia szkła, mały łom, obcęgi, oliwiarę. Przed wyjazdem należy starannie opróżnić kieszenie, nie zabierać żadnych dokumentów ani papierków. Prawa jazdy i dowody osobiste zostawimy w samochodach. Gdy przyjedziemy na miejsce, zatrzymamy się w odległości pięćdziesięciu metrów od willi. Fiat z prawej strony ulicy, Wartburg z lewej. Zostaniemy w wozach dokładnie trzy minuty. Ten czas wykorzystamy na obserwację i ewentualne zmiany szczegółów. Potem, jeżeli ulica będzie

zupełnie pusta, krótko zaświecę tylne światła sygnałowe. Wtedy równocześnie wyjdziemy i przeskoczmy płot. Po akcji odjedziemy w przeciwnych kierunkach.

- Czy nie można by wejść furtką? - spytał Malwitz. - Tyle osób przełazących przez płot może zwrócić na siebie uwagę.

- Furtka jest zamykana na noc. - Próbowałem ją otworzyć, gdy byliśmy tam z Heinrichem. Miałem nawet zamiar dorobić klucz. Musimy sobie jakoś i tak radzić. Ale do rzeczy: po przeskoczeniu płotu zatrzymamy się minutę na miejscu. Gdyby w tym czasie coś się wydarzyło, na przykład, gdyby ktoś przechodził ulicą, to zaczekamy, aż odejdzie. Następnie wszyscy oprócz Berta podejmiemy do domu od tyłu. Ty, Bert, staniesz blisko furtki i będziesz obserwował okolicę. O ile zajdzie potrzeba, ostrzeżesz nas, zagwiżdżesz...

- Co? - naiwnie spytał Tkaczyk.

- Bez znaczenia. Każdy gwizd zrozumiemy jako ostrzeżenie. Jeżeli hałas nie będzie wskazany, a wydarzy się coś niezwykłego, przybiegniesz do okienka piwnicy, gdzie zostawię Stefana, i powiesz mu, co się dzieje. W wypadku gdyby z wnętrza domu dobiegały cię jakieś krzyki lub szamotanie, przeskoczysz płot, wsiądziesz do samochodu i zapuścisz silnik. Co tu dużo mówić - kiedy my będziemy zajęci wewnątrz, ty musisz zapewnić nam zabezpieczenie przed nieprzewidzianymi wypadkami.

- Ty, Heinrich, wejdiesz do piwnicy zaraz za mną. Jak najciszej zakradniemy się na korytarz. Staniesz przed drzwiami sypialni. Jeżeli któryś z domowników się zbudzi i wyjdzie, nastraszysz go pistoletem. W ogóle musicie wszyscy postępować tak, jak będzie wymagała sytuacja. Wydobyć skrzynki zajmie co najwyżej parę minut. Natychmiast po tym odjeżdżamy.

Krótko się zastanowił.

- To jest mniej więcej wszystko - powiedział. - Teraz możemy przedyskutować cały plan.

W ciągu następnych piętnastu minut kwartet omawiał szczegóły zamierzonej akcji. Przez propozycje i wypowiedzi Tkaczyka przebijały niechęć i obawa. Bliskość niebezpieczeństwa niemal paraliżowała w nim zdolność myślenia. Coraz - częściej myślał o ucieczce, ale wiedział, że się na to nie zdobędzie. Zresztą, nie było w tym sensu. Związał się z tymi ludźmi więzami, od których żadna ucieczka by go nie uwolniła.

- Oczywiście przemalujemy numery samochodów - odpowiadał Meyer na jakieś pytanie. - Prosiłem Alberta, by kupił farbę i pędzle...

Z ukosa zerknął na gospodarza. „Szamoce się na haczyku wyrrywającym go z błogiej Gemutlichkeit - stwierdził w myśli. - Niby wszystkiemu przytakuje, lecz jego myśli wcale nie

pracują w harmonii ze słowami”. Jednak, choć czuł wstręt do Tkaczyka, niczym nie zdradzał swej antypatii; zbyt dobrze był wytresowany...

Rzucił okiem na Hermana. Wzrok młodego mężczyzny Ignął do jego twarzy. W czasie dyskusji silił się na pomysłowość i błyskotliwość. „Szczeniak!” - pomyślał Meyer.

- Radziłbym - mówił Malwicz - namalować numery na kawałku tektury. Zakryjemy nimi prawdziwe tarcze dopiero przed przyjazdem do celu. Po akcji zatrzymamy się na szosie i znów je zdejmujemy. W ten sposób unikniemy, w wypadku nieprzewidzianej kontroli milicji, dodatkowego ryzyka.

- Słusznie - potwierdził Meyer. - Bert, postaraj się o tekturę i zajmij się malowaniem.

Tkaczyk wyszedł do kuchni i po chwili wrócił z dwoma małymi puszkami farby. Meyer pokręcił głową.

- Nie tutaj. Któraś z pań może wejść i zobaczyć, co się dzieje. Zrób to na dole w garażu. Przy okazji zwróć uwagę, czy na ulicy w pobliżu domu nie dzieje się nic podejrzanego.

Gospodarz posłusznie opuścił pokój. Malwicz wstał.

- Nie podoba mi się ten twój Tkaczyk - powiedział spacerując po pokoju. - Mam przecucie, że w krytycznym momencie nie zapanuje nad nerwami.

- Powtarzasz to w kółko! - irytował się Meyer. - Mówię ci, że wiem, co robię i co robić muszę. Nie wyolbrzymiaj niebezpieczeństwa. Żaden z nas nie jest amatorem. Pojedziemy do Oporowa, cicho wejdziemy do willi, w ciągu kilku minut będzie po wszystkim. Nie mówmy więcej o Albercie.

„Wstał.

- Zobaczę, co robią nasze panie.

- Przepraszam - powiedział otwierając drzwi do sypialni - że nasza rozmowa trwała tak długo. Prosimy!

- Nie szkodzi! - odparła Zosia wchodząc do pokoju. - Nie nudziłyśmy się. Sądzę, że omówiliście już wszystko i doszliście do zadowalających wyników?

- O, tak - powiedział Malwicz. - Skończyły się słowa, ruszamy do boju.

- Kogo chcecie bić?

- Wszystkich, którzy nam nie sprzyjają - odparł Meyer wolno, podnosząc rękę i oglądając paznokcie.

- A to ładnie - powiedziała. - Bijcie sobie. Ale nie zapominajcie, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie...

Skinęła na Elżbietę, która włączywszy telewizor, teraz zamierzała wyjść.

- Pomogę pani w kuchni.

- Dobrze. - Zawahała się i nie patrząc na nikogo spytała: - Alberta nie ma?

- Jest na dole, w garażu - poinformował ją Malwitz. Gdy wyszły, zwrócił się do

Meyera:

- Chyba pójdę mu pomóc. W dwójkę uporamy się z tym szybciej.

- Nie... - odruchowo zaprzeczył Niemiec. - Zresztą idź - zmienił zdanie. - Heinrich pójdzie z tobą. W trójkę zrobicie to jeszcze sprawniej.

- Mhm - mruknął Malwitz - dwóch będzie malować, trzeci może dmuchać, by lepiej schło.

- Cóż wy tam malujecie? - z progu spytała Zosia. - Pisanki?

Postawiła talerze na stole.

- Pan Tkaczyk otarł błotnik samochodu - odparł jej narzeczony. - Chciał to zamalować.

- Teraz, w nocy?

- Tak, wyjedziemy jeszcze dziś wieczór.

- Na długo?

- Nie, wrócimy za pół godziny.

- Szkoda, myślałam, że spędzimy wieczór razem. Ostatnio bardzo mnie zaniedbujesz, Stef - powiedziała z żalem.

- Poprawię się w przyszłości. Myślę, że dziś załatwimy wszystkie bieżące sprawy, a wtedy znów wróci dawny porządek.

Skinął jej ręką i opuścił pokój. Herman wyszedł za nim. Meyer odprowadził ich do drzwi.

- Rozejrzyjcie się jeszcze raz na dole - powiedział. - Niepokoi mnie ta sprawa z milicją... Siedzę tu jak na gorących węglach!

Kilka minut później, w garażu, Tkaczyk słysząc kroki, zdumiony podniósł głowę.

- Ach, to wy!

Włożył do puszkę mały, ociekający farbą pędzel.

- To wcale nie takie łatwe - powiedział prostując się - - Farby zaciekają jedna na drugą.

Weszli do garażu w zapach benzyny i terpentyny. Wnętrze było czyste, ściany bielone, narzędzia starannie poukładane. Z - boku ciągnął się podłużny warsztat, na nim leżały pudełka i zwoje drutu, stały puszki i butelki. Malwitz pochylił się nad malowanymi przez Tkaczyka tabliczkami.

- Obawiam się, że z tego nic nie będzie - zauważył oglądając nieudolne cyfry i litery. - Radziłbym poszukać kawałka białej tektury i na niej malować kontury znaków tylko czarną farbą. Wtedy nie będzie zacieków. - Zaczął szukać czegoś w kieszeni. - Psiakrew! Nie zabrałem papierosów.

- Ja także zostawiłem swoje na górze - stwierdził Herman.

- To nic - powiedział Malwitz. - Niedaleko stąd jest kiosk...

- Skoczę tam - zaproponował Herman. - Kupię od razu kilka paczek dla siebie. Dziś będą nam potrzebne. Jakie pan chce?

- Carmeny albo Extra Mocne. Pieniądze pan ma?

- Naturalnie. Zaraz wrócę.

Wyszedł na podwórze i zniknął w sieni prowadzącej na ulicę.

Wrócił po niespełna trzech minutach niosąc parę paczek papierosów. Dyszał jak po szybkim biegu.

- Uff, właśnie zamykała kiosk. Carmenów nie było, kupiłem Extra Mocne - zawołał do Malwitza przyglądającego się rozwieszonym na desce narzędziom. - Gdzie Albert? - spytał nie dostrzegając Tkaczyka.

- Poszedł na górę poszukać białej tektury. Zaraz wróci. Malwitz uregulował należność za papierosy i częstując nimi Hermana spytał:

- Jak nerwy?

Twarz tamtego przybrała wyraz pobłażliwej wyższości.

- Cóż mają nerwy z tym wspólnego? Takie pytanie brzmi dziwnie w pańskich ustach.

- A kimże ja jestem? - zdziwił się Malwitz. - Moje nerwy działają normalnie i w sytuacjach pełnych napięcia dają o sobie znać.

- Nie wiem, kim pan jest, ale uważam pana za starego wygę. Natomiast pan wie o mnie dostatecznie dużo, aby nie posądzać o lękliwość, prawda?

- No dobrze... Czy sądzi pan, że znajdziemy te dolary?

- Willi jest przekonany, że nic się nie zmieniło. Obejrzał sobie dom z zewnątrz i z wewnątrz.

- Pomimo to Willi może się mylić.

- Jeżeli się myli, musimy traktować wszystko jako podniecającą przygodę. Ale - dodał po namyśle - byłoby szkoda, gdybyśmy tej forsę nie znaleźli.

- Pan będzie uzbrojony?

- Sądzę, że Willi da mi pistolet. Strzelam nie najgorzej.

- Tylko niech pan się stara tego nie udowadniać - powiedział Malwitz. - Jeżeli moje słowo coś się liczy, głosowałbym stanowczo przeciwko zabieraniu broni. W domu jest tylko jeden mężczyzna. Po co nam pistolet?

- Nie użyję broni bez ważnej przyczyny - zapewnił go Herman. - Zresztą nie zawsze trzeba od razu strzelać... Brr, ale tu zimno! - wzdrygnął się. - Gdzie ten Bert tak długo siedzi? Odwrócił się i wyrżał na podwórze.

- Niech się pan nie denerwuje! Pewnie szuka tektury. Jeszcze mamy czas. Pomożemy mu w malowaniu i uporamy się z tym w dziesięć minut.

- Wcale się nie denerwuję! Ale jest za dwadzieścia minut dziewiąta. Musimy się śpieszyć.

Zdjął okulary i zaczął czyścić szkła. Stojąc przy uchylonych drzwiach, nasłuchiwał kroków, lecz w sieni panowała cisza.

- Ciekawym, czy uda nam się wydostać pieniądze bez zbudzenia domowników - powiedział Malwitz bawiąc się małym młotkiem.

Herman wzruszył ramionami.

- Czy to ważne?

- O bardzo! Jeżeli nas zobaczą, podadzą rysopis milicji. Prędzej czy później możemy się natknąć na kogoś z Kaweckich na ulicy.

- Przesadne obawy... dla człowieka z taką przeszłością.

- Znowu przytyk do mojej przeszłości? Nie wiem, skąd pan bierze pożywkę do swoich domysłów, i nie rozumiem, do czego zmierzają te aluzje?

- Uważa pan, że to są domysły? Możliwe. W każdym razie trafne, prawda?

Malwitz nie odpowiadał. Gniewnym ruchem rzucił niedopałek na ziemię. Wydeptał żar.

- Uważam, że w naszej małej kompanii jest zbyt wiele niedomówień i insynuacji. Zamiast okazywać sobie konieczne w tych warunkach zaufanie, podchodzimy do siebie z nieufnością i podejrzliwością. Taka atmosfera niezwykle utrudnia współpracę.

- Ba, o ile jestem właściwie poinformowany, nasza współpraca kończy się za parę godzin.

Herman znów zerknął na zegarek. - Za piętnaście dziewiąta. Nie rozumiem, co Bert tam tak długo robi!

Zagryzł wargi. Chociaż tego nie okazywał, popadał coraz bardziej w stan podrażnienia. Malwitz wyraźnie silił się na podtrzymanie banalnej konwersacji. Czekając tracili cenny czas.

- Musimy zobaczyć, co Bert robi. Może coś się stało?

- Co mogło się stać? Gdyby ktoś wszedł do domu, słyszelibyśmy kroki.

- Jednak zaczynam się niepokoić. Chodźmy!

Wbiegli schodami do góry. Drzwi otworzył Meyer. Spojrzał na nich pytająco.

- Nie możemy się doczekać Berta - powiedział Herman wchodząc. - Jakoś długo szuka tej tektury.

- Co!?! Nie ma go z wami w garażu? - Nie, wrócił do mieszkania...

- Tutaj go nie ma! Nie było... - Meyer zmrużył oczy. Jego twarz przybrała zły wyraz. - Mów, co się stało!

- Farba zalewała, więc pomyśleliśmy, że lepiej będzie malować na białym tle. Bert poszedł poszukać odpowiedniego kawałka tektury. Czekaliśmy kilka minut... Nie wracał...

Herman był ogromnie zmieszany. Nawet nie śmiał spojrzeć Meyerowi w oczy.

- Verfluchter Dumkopf! - warknął Niemiec. - Biegnij na dół i rozejrzyj się na ulicy. Jeżeli go nie zobaczysz w pobliżu, natychmiast wracaj.

Skinął na Malwitza.

- Chodźmy do kuchni.

Puścił gestapowca przodem, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Przez kilka sekund żaden z nich nie podejmował rozmowy. Jeszcze słyszeli przytłumiony tupot kroków Hermana zbiegającego schodami.

- I co teraz, Willi? - spytał Malwitz wyjmując papierosy z kieszeni i częstując nimi Meyera. - Wydaje się, że Tkaczyk nie wytrzymał nerwowo i czmychnął.

Meyer podał mu ogień, potem sam zapalił papierosa i kilkakrotnie zaciągnął się dymem.

- Nie mogłeś tego przewidzieć, Johannes? - spytał z pozornym spokojem. - W twarzy Tkaczyka można czytać jak w otwartej książce. Nie domyśliłeś się, co zamierza zrobić?

- Był podekscytowany, ale przed wypadem do Oporowa uważałem to za normalny objaw.

Meyer przyglądał mu się nieufnie.

- Tkaczyk nie chciał brać udziału w tej akcji, ty również próbowałeś go odsunąć...

- Willi! Jesteś wyjątkowo podejrzliwy i wszędzie wieszysz podstęp. Zastanówmy się lepiej, co teraz robić.

- Dokąd poszedł Tkaczyk?

- Ty mi powiedz, wtedy obaj będziemy wiedzieli. Nie sędzę, by poleciał do MO. To nie byłoby w jego stylu. Na pewno siedzi u znajomych... Odłożymy akcję?

Meyer rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Zastanawiam się nad tym. Jest wiele spraw, które mi się wcale nie podobają. Pomimo to nie chciałbym swego planu zmieniać. Teraz, po ucieczce Tkaczyka, zdobycie dolarów stało się szczególnie ważne... Myślał chwilę i dodał: - Musimy jak najszybciej wynieść się z tego mieszkania. Zaczekaj moment.

Wyszedł z kuchni. Malwitz słyszał, że coś mówi do Elżbiety. Wkrótce wrócił razem z nią.

- Pani mąż - powiedział - skorzystał z okazji i uciekł. Chcemy dowiedzieć się, dokąd mógł pójść.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Uciekł?

- Tak przypuszczamy. Czy ma bliskich znajomych?

- Oprócz kolegów z pracy raczej nie ma znajomych - powiedziała opierając się o stół.

Malwitzowi zdawało się, że dostrzega błysk zadowolenia w jej oczach.

- Nawet gdybyśmy znali jego znajomych - powiedział z namysłem - nie radziłbym dopytywać się u nich o pana Tkaczyka. Musimy unikać rozgłosu.

Usłyszeli kroki i natychmiast dzwonek.

- Heinrich! - mruknął Meyer idąc do drzwi. Herman wrócił z zaczerwienioną twarzą. Ciężko oddychając powiedział:

- Nie ma go. Znikł, przepadł jak kamień w wodę! - Spojrzał na Elżbietę. - Mamy z wami nie kończące się kłopoty! Wciąż nowe przykrości.

- Mogłabym powiedzieć to samo o was! - oburzyła się, - Mieliśmy spokój. Potem przyjechał pan Meyer i wciągnął męża w swe podejrzone machinacje...

- Hola! - Meyer z trudem tłumił wściekłość. - Pani poglądy żadnego z nas nie interesują. Byliśmy zgodni i jednomyślni, dopóki pani nie zaczęła wtykać nosa w nie swoje sprawy.

- Czyniłam wszystko tylko z myślą o mężu i o sobie.

- Powtarzam po raz dziesiąty, że mogła mu pani tylko zaszkodzić!

- To się jeszcze okaże.

- Teraz jest pani zuchwała, bo go nie ma. Sądzi pani, że jest bezpieczny? - spytał z kąpiącym uśmieszkiem, choć widać było, że daleko mu do śmiechu.

- Gdziekolwiek się znajduje, jest bezpieczniejszy, niż był w waszym towarzystwie - powiedziała agresywnie. - Cieszę się, że zmądrzał i w porę od was odszedł.

- Pani jest arogancka i... naiwna! Ja go do SS nie werbowałem!

- Ba, pańskie metody zastraszania straciły efekt. Musi pan wymyślić coś lepszego.

W spojrzeniu, które Niemiec jej rzucił, było tyle nienawiści, że speszona zamilkła. Malwitz stanął między nimi. - Przestańcie! Kłótnia w niczym nie pomoże.

- Sądzę, że Albert, wiedząc, iż pani jest z nami, zachowa się spokojnie - wtrącił Herman.

Meyer rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Masz rację. - Sprawdził czas: - Pięć po dziewiątej. Jedziemy natychmiast. Czy masz przy sobie prawo jazdy, Stefan?

- Mam.

- Dobrze. Heinrich pojedzie sam. My w dwójkę w drugim wozie. W Oporowie ty, Stefan...

Dalsze słowa przerwał dzwonek telefonu. Pośpieszyli do pokoju. Meyer podniósł słuchawkę.

- Halo!

Głos w słuchawce był wystarczająco mocny, by stojący w pobliżu go usłyszeli.

- To ty, Willi?

- Tak.

- Mówi Bert...

- Bert?! Gdzie jesteś? Co się stało?

- Nic się nie stało - odparł Tkaczyk. - Po prostu brakło mi odwagi. Nie gniewaj się na mnie, Willi. Już nie jestem tym lekkomyślnym chłopcem, którego znałeś w czterdziestym piątym roku. Przedwczoraj, kiedy wystąpiłeś ze swoimi propozycjami, byłem przerażony. Wprawdzie nadrabiałem miną, ale przez cały czas czułem, że twoim wymaganiom nie podołam. Przykro mi, Willi. Postąp, jak uważasz, lecz skreśl mnie z twojej listy.

- Bert! Opamiętaj się! - dyszał Meyer. - Musimy porozmawiać, słyszysz? Gdzie jesteś?

- Jestem u znajomego. Nie pytaj Elżbiety, ona się niczego nie domyśla.

- Bert! Słuchaj uważnie...

- Nie, Willi! - głośno i stanowczo odparł Tkaczyk. - Nie chcę ciebie więcej słuchać!

Połączenie przerwano.

Meyer wolno położył słuchawkę. Przymknął oczy. Przesunął palcami po czole. Choć był niezwykle wzburzony, opanował zdenerwowanie zdumiewająco szybko. Spojrzał na obecnych.

- Albert przesyła pozdrowienia - powiedział spokojnym głosem. - Z osobistych względów nie może brać udziału w naszych planach. Jedziemy!

- A kto zajmie jego miejsce? - spytał Malwitz.

- Wóz ty poprowadzisz. Resztę ustalimy w drodze.

- A panie?

- Tu nie mogą zostać. Pojadą do twego mieszkania na Dąbrowskiego i tam na nas zaczekają. Wrócimy przed dziesiątą.

Otworzył drzwi.

- Pani Elżbieto, proszę!

Wszyscy spojrzeli na żonę Tkaczyka. Przybladła nieco, jednak bez obawy patrzyła w twarz stojącego przed nią Niemca. Wydawało się, że odmówi, lecz nagle wzruszyła ramionami i zrezygnowanym głosem powiedziała:

- Biorę obecnych za świadków, że idę pod przymusem, i oświadczam panu, panie Meyer, że przy najbliższej okazji zwrócę się do władz o pomoc.

- Zobaczymy! - powiedział Niemiec. - A teraz bierzcie potrzebne rzeczy i chodźmy!

W tym samym czasie mężczyzna, który występował pod pseudonimem „Różycki”, szedł ulicą Dąbrowskiego w kierunku domu gestapowca. Wiedział, że Malwitz mieszka na drugim piętrze oraz że obecnie nie ma go w domu. Nikogo nie ma. „Różycki” upewnił się o tym dzwoniąc z budki telefonicznej.

Dochodząc do szarego budynku, spojrzął w górę. Okna pokoju Malwitza były ciemne. Wszedł do sieni i zapaliwszy latarkę zaczął wstępować po schodach. Zatrzymał się przed drzwiami na pierwszym piętrze i chwilę nasłuchiwał. Przez zamknięte drzwi dobiegł go przeciągły krzyk niemowlęcia, kłótlivy głos kobiety i monotonne odpowiedzi mężczyzny. Ogólny rwetes uzupełniała głośnie muzyka radiowa.

Nie dostrzegając dzwonka, „Różycki” zapukał do drzwi.

Głosy wewnątrz mieszkania zamilkły.

- Ki czort?! - usłyszał. Zbliżyły się człapiące kroki.

- Kto tam?

- Obcy. Chciałem prosić o informacje. - Co? Jakie informacje?

Zaciekawiona cofnęła zasuwę i uchyliła drzwi na kilka centymetrów. Światło z przedpokoju padło przez szparę na twarz przybysza. Widząc starszego mężczyznę, otworzyła drzwi szerzej.

- Bardzo przepraszam - powiedział „Różycki” z uśmiechem. - Jestem emerytem. Poszukuję pokoju. Od znajomego otrzymałem adres tego domu. Podobno na drugim piętrze

jakiś mężczyzna ma się wkrótce wyprowadzić. Dzwoniłem, ale nikt nie otwiera. Może pani coś wie o tym mieszkaniu? Czy jest duże?

Zmierzyła go zaciekawionym spojrzeniem.

- Piętro wyżej mieszkają dwie rodziny, no i ten Lipiński - rzekła.

- Kawaler?

- Tak. Pewnie o niego chodzi, co?

- Nie znam nazwiska, ale myślę, że to on.

- Ma się wyprowadzić?

- Tak słyszałem. Co to za facet, proszę pani? Pytam, bo nie lubię brać zrujnowanego mieszkania. Porządny?

- Nie wiem. Niech pan się spyta u Kobielow, na górze. Czasem chodzi do nich na brydża. Będą wiedzieli, czy się wyprowadza.

- Co tam jest?! - zawołał mężczyzna zniecierpliwiony. - Nie masz nic lepszego do roboty jak godzinami gadać?

- Już idę, już! - Zaczęła zamykać drzwi. - Niech pan się tam spyta.

- Dziękuję pani bardzo. Dobranoc! - powiedział „Różycki”.

Pięć minut później opuścił dom. Przygarbił się i zamyślony poszedł przed siebie.

*

Przed odjazdem Malwitz miał kłopot z zapuszczeniem silnika Wartburga, gdyż Tkaczyk zabrał ze sobą klucze. Niemiec poradził sobie z tą trudnością zrywając i łącząc końce przewodów.

Wkrótce jechali ulicą Mostową w kierunku placu 1 Maja, potem szerokim odcinkiem ulicy Świerczewskiego, obok czterech nowoczesnych punktowców. Za licznymi oknami światło przebijało przez barwne firanki.

- Te domy uznano za najładniejsze we Wrocławiu - powiedział Malwitz, chcąc przerwać przykre milczenie i rozładować napięcie nerwowe.

- Mhm - mruknął Meyer nie zdradzając chęci do rozmowy.

Znów pogrążyli się w myślach.

Grabiszyńska. Pojedyncze stare domy i jasne nowe bloki. Rozległe, porośnięte wysokimi chwastami ugory. Nad pustymi polami wisiało chmurne niebo, mrok wydawał się tam szczególnie gęsty. Przeciągnął tramwaj z przyczepą. Potem skręcili w lewo. Droga wiodła obok cmentarza. Nad murem zamajaczyły czarne sylwetki grobowców.

Meyer, ponieważ czuł się nieswojo, zapytał, czy nie lepiej byłoby zapalić reflektory. Malwitz przekręcił włącznik. Smugi światła prześlizgiwały się po kępach krzaków i pniach drzew obrzeżających drogę.

W pewnym miejscu Niemiec polecił zatrzymać samochód. Herman stanął kilka metrów za nimi.

- Co jest? - spytał wychodząc na szosę.

- Chlapij błotem na numery rejestracyjne - powiedział Meyer. - Tylny i tak jest całkiem zabrudzony, zaszmaruj także ten z przodu.

Schylił się i podniósł grudę rozmokłej ziemi.

Po kilku sekundach ruszyli dalej. Szybko dotarli do pętli tramwajowej i wkrótce znaleźli się na spokojnej uliczce W Oporowie. Herman odjechał parę metrów dalej, zawrócił i zatrzymał wóz przy krawężniku. Gdy wyłączyli silniki, zapanowała cisza tak głęboka, że aż dzwoniło w uszach. W willi, do której zamierzali wtargnąć, było zupełnie ciemno.

Malwitz odwrócił się.

- Już śpią - powiedział wyjmując papierosy. - Co robimy?

- Czekamy trzy minuty, zgodnie z planem - odparł Meyer. - Opróżnij kieszenie i zostaw swoje papierosy w samochodzie.

*

Kapitan Filipiak przesłuchiwał Tkaczyka.

- Nie mogę powiedzieć, jaki obrót wezmą pańskie sprawy - mówił. - Służąc w armii niemieckiej przyjechał pan razem z grupą awanturników i dywersantów z zadaniem specjalnym do Wrocławia. Po wojnie należało bezzwłocznie zgłosić się do władz.

Tkaczyk opuścił głowę i wpił palce w krawędź krzesła. Nawet teraz, po swej spowiedzi, osaczały go nieskończone komplikacje i problemy. Poza tym nie rozumiał zachowania kapitana. Powiedział mu wszystko, nie tylko o sobie, lecz także o Meyerze, Malwitzu, dolarach i łączniku. Jego zdaniem zamiast tracić cenne minuty na rozmowę o sprawach osobistych, należało natychmiast działać.

- Na przestrzeni ostatnich siedemnastu lat wypełnił pan niezgodnie z prawdą dziesiątki formularzy i akt; chyba nie potrzeba tłumaczyć, że jest to czyn karalny.

Tkaczyk spojrzał mu niepewnie w oczy.

- Gdyby nie przyjazd Meyera, nikt by się niczego o mnie nie dowiedział - powiedział.

- Wykonywałem swe obowiązki sumiennie... Teraz dobrowolnie wyznałem wszystko w celu umożliwienia wam zlikwidowania w załączku większego zła.

Filipiak potrząsnął głową.

- Owszem, wyznał pan wszystko, ale czy istniała inna możliwość?

Tkaczyk poruszył się niespokojnie. Wyobrażał sobie epilog tej rozmowy zgoła inaczej. Niewzruszony spokój kapitana zaczynał go denerwować.

- Dlaczego pan czegoś nie robi? - wyrwało mu się. - Przecież oni mogli tam pojechać! Meyer na pewno ma broń. Traciecie czas...

Filipiak uśmiechnął się.

- Sądzę, że Meyer zaniepokojony pańską ucieczką zmieni swe plany. Ale to nie jest istotne.

!- Nie rozumiem.

- To jest oczywiste. - Zaczął się bawić popielniczką. - Meyer jest pionkiem i to niezbyt ważnym. Wystarczy dać mu swobodną rękę, a zapłacze się we własnych machinacjach. Oszukuje siebie i innych, potem gubi się w podwójnej grze. Meyer jest małą częścią mechanizmu.

Ażeby ten mechanizm unieszkodliwić, musimy dotrzeć do jego istotnych części.

- Zwierzchnicy Meyera siedzą za granicą - zauważył Tkaczyk.

- Owszem - Filipiak skrzywił się z niechęcią. „Prostoduszny i naiwny” - pomyślał o Tkaczyku przypatrując się jego żabiej twarzy, przyobleczonej w wyraz bezradności i cierpienia. - Ale ci zwierzchnicy przysyłają do naszego kraju Meyerów. Meyerowie werbują agentów i wracają do Vaterlandu. Jednak ktoś się tymi agentami nadal opiekuje, zbiera od nich informacje i przekazuje je dalej, prawda?

- No tak, ten człowiek, który miał utrzymywać z nami łączność telefoniczną.

Filipiak milczał.

Tkaczykowi zaczęło świtać, że milicja od dawna ostrożnie kieruje akcją zmierzającą do zlikwidowania całej szajki. Tylko w ten sposób można było wytłumaczyć obecny spokój kapitana. Dopiero teraz uświadomił sobie, w jakim byłby niebezpieczeństwie, gdyby podporządkował się planom Niemca. Podsumował wydarzenia ostatnich godzin i nagle zrozumiał!

8

Malwitz, nie odwracając głowy, szepnął:

- Już czas.

- Tak - odparł Meyer. - W okolicy cicho jak w grobie. Zaraz wyjdziemy. Zaświeć tylne światła sygnałowe.

Czerwone światła krótko błysnęły w ciemność.

Malwitz otworzył drzwi. Wyszli z samochodu. Szybko przebiegli jezdnię i zatrzymali się przed siatką ogrodzenia. Gestapowiec spojrział w lewo. Ciemna sylwetka Hermana była ledwo widoczna.

- In Ordnung! - szepnął Meyer i podniósł rękę.

Wkrótce byli w ogrodzie i, jak planowano, czekali chwilę w mroku za krzakami, rozglądając się i nasłuchując! Potem Meyer odchylił gałęzie i ostrożnie stawiając nogi wyszedł na zasypany listowiem trawnik. W zgiętej postawie przebiegł ogród i zatrzymał się dopiero za domem. Po kilku sekundach przyłączył się do niego Malwitz. Z ciemności wyszedł Herman.

- Idź do furtki! - powiedział Niemiec szeptem do gestapowca. - Wiesz, co robić.

- Wiem. No to... powodzenia! Odszedł.

Meyer pochylił się przy małym prostokątnym okienku.

- Scheisse! Nic nie widać - mruknął po chwili. - Świeć, Heinrich!

Herman zapalił latarkę i skierował snop światła na zakurzoną szybę. Meyer ostrożnie pchnął okno. Z lekkim zgrzytem ustąpiło pod naporem dłoni.

- Otwarte! Ułatwiają nam robotę.

- Wciśniemy się tędy? - spytał Herman krytycznie patrząc na mały prostokąt.

- Na pewno. Daj mi latarkę. Zobaczę, jak wygląda w środku.

Wsunął głowę do piwnicy.

Na wysokich regałach rzędem stały słoiki z owocami, gliniane garnki, jakieś puszki i butelki. Na górnych półkach, starannie ułożone, leżały czerwone jabłka.

Skończywszy inspekcję, Meyer odwrócił się. Sięgnął do kieszeni i wyjął pistolet.

- Masz, Heinrich. Zabezpieczony. A teraz wchodzimy! Ukląkł i zwinnie wśliznął się do piwnicy. Choć Herman stał przy samym oknie, nie słyszał, kiedy Niemiec skoczył na nogi.

Gdy byli wewnątrz, Meyer oświetlił drzwi. Były zrobione z luźno zbitych desek i zamknięte na drewniany skobel, który z łatwością dał się podnieść z wewnątrz.

Przez kilka sekund wsłuchiwali się w ciszę, potem Niemiec skinął na swego towarzysza, i - Oliwiarce!

Przyświecając sobie latarką, starannie naoliwił zawiasy. Następnie wsunął rękę przez szparę w deskach, wyjął skobel i podnosząc drzwi, aby zmniejszyć tarcie, wolno zaczął je otwierać.

Herman przypatrywał mu się w milczeniu. Gdy w pewnym momencie zawiasy lekko skrzypnęły, drgnął niespokojnie. Wyteżyli słuch. W domu panowała głęboka cisza.. Meyer

znów pchnął drzwi. Kiedy szpara była dostatecznie szeroka, stąpając jak najciszej wyszli na zewnątrz.

- Kotłownia! - Meyer wskazał w głąb korytarza. - Po prawej wiodą schody do góry, tam też są drzwi.

Kamienne stopnie nie wymagały wielkiej ostrożności. Szybko znaleźli się przed drzwiami, które dzieliły ich od wnętrza domu.

Poprzedniego dnia Meyer, markując kontrolera, upewnił się, czy nie skrzypią, toteż obecnie dość śmiało położył rękę na klamce i milimetr po milimetrze zaczął ją oburącz naciskać.

- Podnoś! - szepnął.

Herman wpił palce w drewno i jak potrafił, tak pchał drzwi do góry. Tym razem zawiasy nie wydały najłżejszego szmeru.

Cichaczem weszli na korytarz. W połowie Niemiec zatrzymał się, skinieniem przywołał swego towarzysza i gestem wskazał mu drzwi, pod którymi ma stanąć. Następnie oświetlił schody wiodące na poddasze. Pokiwał głową zadowolony. Bez dalszej zwłoki wyjął zza pazuchy jakieś narzędzia, położył je na szmatce przed sobą i zaczął majstrować przy deskach stopni. Chociaż Herman stał w oddaleniu pięciu kroków od niego i bacznie obserwował ciemną sylwetkę, nie słyszał żadnego szmeru.

Minęło kilkanaście sekund. Za drzwiami pokoiów było cicho, jak makiem zasiał. Na zewnątrz cienko zawodził wiatr, czasem cicho świstał, to znów kwilił nieprzyjemnie, poza tym panował spokój. Meyer, nie wstając z klęczek, zrobił pół obrotu i podniósł palec do góry. Herman zrozumiał, że ostrzega go przed ewentualnym hałasem.

Niemiec pochylił się do przodu. Z ruchu ramion można było wnioskować, że coś podważa. Skrzypnęła deska. Herman wstrzymał oddech. Znów zatrzeszczało. Meyer nawet się nie odwrócił, tylko na moment znieruchomiał, potem powtórnie zabrał się do pracy.

Herman rzucił okiem w prawo, w głąb korytarza. Stojąca obok Niemca latarka nieco rozjaśniała mrok. W mdłym świetle rysowały się kontury dużej szafy, wnęki drzwi i półeczki z telefonem. Pierwsze stopnie, te, przed którymi klęczał Meyer, były wyraźnie widoczne, reszta roztapiała się w ciemnościach.

Raptem mocniej zadął wiatr. Słyszeli, jak skomli w krokwiach i kominie, szumi w szczelinach i szparach. Wtem Herman zauważył, że na końcu korytarza coś się porusza. Jakiś duży kształt sunął miarowo w prawo. Podniósł trzymaną w pogotowiu latarkę i nacisnął włącznik. Smuga światła przeszła czerń i utkwiała w... zamykających się pod naporem przeciągu drzwiach do piwnicy.

Meyer, widząc blask latarki, drgnął. Spojrzał w ślad za światłem. Drzwi przymykały się coraz szybciej. Zdrętwieli czekając na nieuchronne trzaśnięcie...

Huknęło, jakby ktoś wystrzelił z moździerza! Meyer zerwał się na nogi. Herman wyjął pistolet. Przez kilka chwil tylko echo dzwoniło im w uszach, potem zza drzwi, za którymi stali, wyraźnie odezwał się głos mężczyzny:

- Co to było? - Po chwili: - Koś nie zamknął drzwi.
- Sama zamykałam - odparł głos kobiety. - Może wiatr...
- Wiatr albo... ktoś jest w domu - nerwowo stwierdził mężczyzna.

Milczeli parę sekund, jakby przerażeni tą możliwością.

- Pójdę, zobaczę - powiedział niezdecydowanie.
- Nie, nie! Zostań tutaj!

Wtem z góry odezwał się głos dziecka. Słowa nie były zrozumiałe, lecz zdawało się, że czegoś płaczliwie się domaga. Odpowiedział mu znużony głos kobiety.

Cały dom ożył. Meyer wciąż stał nie ruszając się. Herman zgasił latarkę i cofnął się w cień. Z niepokojem czekali na dalszy rozwój wypadków.

Na górze skrzypnęły drzwi.

- Teraz ci się pić zachciało! - mówiła kobieta kierując się ku schodom. Dlaczego nie pomyślisz o tym przed pójściem do łóżka, co? Akurat mi się chce wstawać w nocy!

Meyer szybko schylił się, podniósł i zgasił swoją latarkę. Niemal w tej samej chwili na górze zapalono światło. Słaby odbłask spłynął na klatkę schodową.

Herman, zaskoczony, nie wiedział, co począć. Wprawdzie mogli cichaczem umknąć do piwnicy, lecz z wahania Meyera wnioskował, że nie zdążyłby w porę usunąć śladów roboty. Myśli mknęły w błyskawicznym tempie. Od momentu obudzenia się dziecka minęło zaledwie parę sekund.

Na górnych stopniach zobaczyli obute w rozczłapane papucie nogi schodzącej. Meyer szybko podniósł jakieś narzędzie, jednym susem znalazł się we wnęce drzwi i bez ruchu stanął w niej.

Z sypialni małżonków znów dobiegły ich strzępy rozmowy:

- Ktoś schodzi...
- To babcia. Słyszałam, jak rozmawiała z Piotrem.
- Po co łążą w nocy po domu? - mruczał mężczyzna. Kobieta już zbliżała się do ostatnich stopni. Herman przyłgnął plecami do ściany i mocniej ścisnął pistolet. Meyer wolno wsunął się za framugę drzwi do sypialni. Widział doskonale pozostawione na stopniach

narzędzia, podniesioną na kilka centymetrów deskę stopnia, widział, jak kobieta nieuchronnie zstępowała wprost na duży śrubokręt...

Trącone nogą narzędzie potoczyło się z hałasem na posadzkę.

- Znowu zostawił swoje zabawki pod nogami! - gderала stara. - Skaranie boskie z nim. Jeszcze się ktoś kiedy zabije!

Przyczajeni mężczyźni czekali w bezruchu. Nadzieja, że nie zostaną odkryci, nikła z każdą sekundą.

Wtem kobieta zauważyła ciemną postać Hermana. Wyciągnęła szyję do przodu i nie dowierzając oczom wpatrzyła się w nieruchomy cień. Wahala się jeszcze.

Za jej plecami wyrósł cień Niemca.

- Chryste Panie! - Okrzyk wybiegł w ciszę, zanim dłoń Meyera zamknęła jej usta.

Przeżrana próbowała się uwolnić. Meyer przechylił ją do tyłu i pociągnął w kierunku piwnicy.

- Ani mru-mru, bo będzie źle z tobą! - syknął jej w ucho.

Zdrętwiała ze strachu, bezwolnie dała się prowadzić.

Drzwi sypialni otworzono szarpnięciem. W progu stanął mężczyzna w pizamie. Światło nocnej lampki oświetlało go z tyłu.

- Co się dzieje?! Herman zagroził mu drogę.

- Proszę wrócić do pokoju i zachować spokój! - powiedział stanowczo.

Mężczyzna przeżony spojrzał na intruza, potem na pistolet wymierzony w jego pierś.

- Co to znaczy? Czego pan chce? - cofnął się o krok.

- O Jezu! - jęknęła jego żona, wystraszoną wzrokiem wpatrując się w obcego.

Podnosząc pistolet Herman powtórzył rozkaz i dodał: - Nic się wam nie stanie, jeżeli będziecie rozsądni. No, z powrotem do łóżka!

Z piwnicy dobiegły go jakieś szmery. Otwierano i zamykano drzwi. Stłumione słowa.

- Co się stało z Piotrusiem? - spytał mężczyzna, wolno się cofając. - Słyszałem jego głos...

- O Jezu! - znów jęknęła jego żona. - Piotrusiu! Zrobiła ruch, jakby zamierzała się podnieść.

- Ej, do stu diabłów! Cicho w tej chwili!

Rozległy się kroki. Zerkając przez ramię, Herman dostrzegł wracającego Meyera.

- Wszystko w porządku, Willi?

Niemiec tylko przytaknął głową, podniósł narzędzia i natychmiast wrócił do przerwanej roboty, i - Do łóżka i odwrócić się! - rozkazał Herman.

- O Matko Najświętsza! Chodź, Janku, chodź! Rób, co ci każe!

Wtuliła głowę w poduszkę i zaniosła się płaczem. Mężczyzna jeszcze wzdragał się wykonać rozkaz. - Piotruś... muszę wiedzieć...

Herman szybko zrobił krok do przodu i mocnym pchnięciem rzucił Kaweckiego na łóżko.

- Stul pysk! - warknął. - Nie przyszliśmy tutaj na rozmówki!

Potem jednym ruchem szarpnął przewód nocnej lampki i wyrwał wtyczkę z gniazdka. Znów było ciemno. Przez następne chwile słychać było tylko szybkie oddechy, stłumione łkanie kobiety i lekki zgrzyt narzędzi na klatce schodowej. Z piwnicy, dokąd Meyer zaprowadził starą kobietę, nie dochodził żaden szmer.

Herman zapalił latarkę i skierował światło na łóżko małżonków. Mężczyzna zrezygnowany legł na boku i niespokojnie poruszał palcami rąk. Minęło kilka sekund.

- Zrób coś z telefonem - mruknął Niemiec nie przerywając pracy.

Herman spojrzał w prawo, gdzie stał aparat. Zbliżył się do niego, przez moment przy nim majstrował, potem natychmiast wrócił na próg sypialni.

Meyerowi upadło narzędzie. Zaklął. Atmosfera w domu stała się naelektryzowana. Nawet cisza okalająca dom z zewnątrz nie uspokajała.

Głośno skrzypnęła deska. Meyer energicznym szarpnięciem otworzył skrytkę pod stopniem i latarką oświetlał wnętrze.

„Nareszcie!” - pomyślał Herman z ulgą.

W następnej chwili Niemiec wydobył niedużą, metalową skrzynkę i postawił ją obok siebie, potem znów sięgnął do schowka i wyjął z niego jakieś małe zawiniątko. Odwinął je i z zadowoleniem stwierdził, że pistolety, okręcone w naoliwione szmaty, przetrwały bez uszczerbku i nadal nadają się do użytku. Z dwóch tekturowych pudełek wysypał amunicję do kieszeni i nie tracąc czasu opuścił deskę stopnia zamykającą się jak na zawiasach. Następnie zajął się usuwaniem śladów nocnej roboty.

Małżonkowie zachowywali się spokojnie. Kobieta przestała łkać; wprawdzie wzdychała i kręciła się na łóżku, lecz nie odwracała głowy ku drzwiom, w których stał nocny intruz. Kaweckie położył rękę na ramieniu żony i coś bezgłośnie szeptał jej do ucha.

Meyer chował narzędzia do kieszeni lub wtykał je za pas. Oświetlając stopnie latarką, sprawdził, czy nie zostawił jakichkolwiek śladów.

- Okay - mruknął. - Załatwione!

Podszedł do Hermana i spojrzał mu przez ramię.

- Zamkniemy ich do piwnicy.

Jego towarzysz milcząco przytaknął. Skierował snop światła na głowy małżonków.

- Wstać! - rozkazał. - Szybko!

Kobieta podniosła się na łokciach i wytrzeszczyła oczy w światło.

- Co znowu?

- Czego chcecie od nas - mruknął Kawecki, podnosząc się niezdecydowanie.

- Nie zadawać głupich pytań! - ofuknął go Herman. - Wstać!

Mężczyzna ociągając się wysunął nogi spod kołdry.

- O Boże, Boże! - jęczała jego żona podnosząc ręce do twarzy.

- Psiakrew! Dosyć zwlekania! - warknął Niemiec gniewnie. - Wstańcie w tej chwili, bo inaczej porozmawiamy! Liczę do trzech. Raz... dwa...

Kobieta ociągając się stanęła obok łóżka. Kawecki spiesznie wciągnął spodnie, potem narzucił żonie gruby sweter na ramiona i przygarnął ją do siebie.

- Uspokój się! - powiedział łagodnie. - Przecież...

Zamknijcie gęby i marsz z nami! - rozkazał Herman.

Wyszli na korytarz. Niemiec oświetlał drogę. Przechodząc obok schodów, podniósł metalową skrzynkę. Otworzył drzwi do piwnicy. Owiało ich zimne powietrze. Światło latarki ślizgało się po szarych ścianach i wydeptanych kamiennych stopniach.

Małżonkowie; przytuleni do siebie, zaczęli schodzić. Kobieta znów zaniósła się szlochem. Zamknięta w kotłowni babcia usłyszała kroki. Z ciemności dobiegł ich jej gniewny głos:

- Swołocz! Bandyci! Kanalie! Po coście przyszli? Pieniędzy ani kosztowności nie mamy... - wykrzykiwała w bezsilnej złości.

- Uspokój się, ty stara jędzo! - syknął Herman podchodząc do drzwi.

- Ja ci się uspokoję, ty bydlaku! Uczciwej pracy im się nie chce! Starych ludzi w zimnej piwnicy zamykać...

- Cicho, bo strzelę w gębę!

Żona Kaweckiego łkała coraz głośniej.

Meyer wyjął skobel. Wepchnęli małżonków do pomieszczenia, w którym nad paleniskiem znajdował się duży kocioł i grube rury na ścianach.

- Łajdactwo! - grzmiała babcia w ciemności. - Ale wam dadzą, jak...

Meyer dwoma skokami znalazł się przed nią i chwycił jej ramię. Zdawało się, że ją uderzy.

- Cicho, mamó! - Kawecki ujął rękę staruszki. - Pomstowanie nie pomoże.

Meyer pchnął go do komórki.

- Milczeć! - nakazał. - Jeżeli usłyszymy jeszcze jedno słowo, będzie źle z wami!

Zamknął drzwi i zaczął wpychać skobel. Odchodząc w głąb piwnicy usłyszeli szept mężczyzny. Prawdopodobnie uspokajał kobiety, a zwłaszcza wojowniczą babcię.

Wrócili do pomieszczenia, w którym znajdowały się zapasy żywności.

- Wyłaź! - Meyer pchnął Hermana w kierunku jaśniejszego prostokąta.

Gdy Herman przecisnął się przez okienko, podał mu metalową skrzynkę, następnie podszedł do półek, zdjął dwa słoje z owocami i postawił je na parapecie.

- Bierz to!

Jeszcze dwukrotnie wrócił i podał Hermanowi jakieś butelki i puszki.

- Niech myślą, że jesteśmy zwykłymi włamywaczami - szepnął wyłażąc na dwór.

- Uff! - Herman odetchnął z ulgą. - Stara zadzióra! Jak oni z tą megerą wytrzymują...

Wszystko w porządku, Willi?

Meyer spojrzał na niego spode łba.

- Tak, wszystko byłoby w porządku, gdyby nie twoja bezmyślność.

- A cóż ja zrobiłem?

- Zdradziłeś im moje imię.

- Och...

- Chodźmy! Teraz nie pora na wymówki.

Niosąc słoje i butelki, wrócili do furtki. Z cienia wysunął się Malwitz.

- Dobrze, że jesteście! Zdawało mi się, że słyszałem głosy. Zbudziliście ich?

- Tak. Siedzą zamknięci w piwnicy. Spokój?

- Nawet psa z kulawą nogą... Wychodzimy?

- Ein Moment! - odparł Meyer. - Rozejrzę się. Przechylił się nad furtką. Było mroczno, dżdżysto, smutno. Głucha cisza przygniatała świat. Niemiec wzdrygnął się.

- Jazda! Skaczemy!

Pośpiesznie wdrapali się na furtkę i zeskoczyli na chodnik. Przebiegli jezdnię.

- Wsiadaj do swego wozu! - powiedział Meyer do Hermana. - Spotkamy się na ulicy Dąbrowskiego.

Otworzywszy drzwi samochodu Niemiec położył swą skrzynkę na siedzeniu, potem odwrócił się i zerknął na cichą willę.

- No, udało się! - powiedział zadowolony.

Zajęli miejsca w wozie. Malwitz natychmiast uruchomił silnik. W nocnej ciszy warkot wydawał się nieprzyjemnie głośny.

- Jedziemy! - Meyer wyjął papierosy. - Zapal! Herman właśnie ruszał z miejsca i dość raptownie zwiększając szybkość znikł po chwili za rogiem. Malwitz włączył bieg.

- Znalazłeś wszystko? - spytał puszczając sprzęgło.

- Tak. - Meyer opowiedział przebieg wydarzeń w kilku słowach.

Gdy wyjechali na ulicę Grabiszyńską, samochód Hermana wyprzedzał ich około 150 metrów. Za mostem minęli terkoczący, niemal pusty autobus, dalej szosa była pusta.

- A papiery? - spytał Malwitz.

- Jakie papiery?

- Te dokumenty, na których Tkaczykowi tak bardzo zależało. Meyer roześmiał się.

- W willi nie było żadnych papierów! Zostały w Friedenthal.

Chwilę milczeli, potem Meyer mruknął:

- Jedź szybciej! Musimy wydostać się stąd, zanim zawiadomią milicję.

Zaciągnął się dymem papierosa. Napięcie nerwowe towarzyszące ostatnim godzinom z wolna ustępowało. Gestapowiec jednak nad czymś przemyślał, marszczył brwi i zagryzał wargi, jakby go coś gnębiło.

- Co się martwisz, stary? - zawołał Niemiec. - Już po wszystkim! Nie mieliśmy czasu przygotować akcji z należytą dokładnością, ale poszło nie najgorzej. Za paręw minut będziemy...

Wtem, zgoła nieoczekiwanie, Malwitz zaczął gwałtownie hamować. Koła wozu przez moment ślizgały się po wilgotnej nawierzchni. Meyer zsunął się z siedzenia i z impetem uderzył o drzwi.

Malwitz przez chwilę szarpał kierownicą, usiłując utrzymać wóz na jezdni, i wreszcie stanął pod kątem prostym na brzegu szosy.

- Herr Gott! Was ist los? - Meyer stękając wyprostował się. - Zwariowałeś?

- Milicja... Zatrzymują Hermana!

Wytrzeszczyli oczy. Daleko przed nimi, na środku szosy, małe czerwone światełko podnosiło się i opadało. Postacie milicjantów nie były widoczne. Z boku jarzyło się blade światło reflektora, pochodzące prawdopodobnie od zaparkowanego motocykla.

*

Herman, skoro tylko dostrzegł sygnalizujące światło, przesunął lewarek na drugi bieg i kilkakrotnie mocno wdepnął hamulec.

- Psiakrew! - syknął.

Lewą ręką trzymając kierownicę, prawą dobył z kieszeni pistolet.

Znajdował się w odległości dwudziestu metrów od milicjantów. Jeden z nich, wyraźnie widoczny, wywijał „lizakiem” z czerwoną lampką, drugi stał przy motorze.

- Tak łatwo wam to nie pójdzie! - mruknął Herman zdenerwowany.

Milicjant opuścił „lizak” i podszedł do sunącego na drugim biegu i pozornie zatrzymującego się samochodu. Gdy był o krok od niego, Herman niespodzianie nacisnął pedał „gazu”. Silnik Fiata zawył, wozem szarpnęło do przodu. Milicjant odskoczył, krzyknął coś, lecz szum motoru zagłuszył słowa.

Z bijącym sercem Herman zmieniał biegi. Docisnął „gaz do deski” i wkrótce jechał z dużą szybkością. Za nim warknął motor, błysnął reflektor.

Przez głowę przemknęła mu niepokojąca myśl, że w ten sposób im nie ujdzie. Światło milicyjnego reflektora wpadało przez tylne okienko do samochodu i jaskrawo oświetlało wnętrze.

„Ich motor jest szybszy... zbliżają się!” - powtarzał sobie, kurczowo zaciskając rękę na kierownicy. Nagle pojawiła się nowa myśl: „Zatrzymam wóz. Ucieknę przez cmentarz!”

Zaczął gwałtownie hamować. Głośniej zawarczał zbliżający się motocykl. Herman wysunął rękę z pistoletem przez okno i nie mierząc, dwukrotnie nacisnął spust, potem docisnął hamulec. Przerażliwe kwilenie rozerwało ciszę nocy.

Po strzałach reflektor milicyjnego motocykla natychmiast zgasł, silnik także umilkł. Przypuszczalnie zatrzymali się w bezpiecznej odległości.

Herman szarpnięciem otworzył drzwi i wyśliznął się na szosę. Sekundę lub dwie czaił się w cieniu samochodu. W odległości nie większej jak dwadzieścia metrów widział sylwetki chyłkiem biegnących milicjantów. Podniósł pistolet, próbując wziąć ruchliwą postać na muszkę, lecz ciemności uniemożliwiały dokładne celowanie.

Huknęły strzały. Jeden z biegnących odskoczył w bok, jak pchnięty zniecka, i zachwiał się. Herman susem przesadził rów i pomknął w kierunku czerniejącej opodal gęstwy drzew i krzaków.

Nie ubiegł nawet kilku metrów, gdy usłyszał głośnie:

- Stój, bo strzelam!

Sekundę później huknął strzał. Kula świsnęła mu gdzieś nad głową. Skulił się w sobie i grzęznąc w rozmokłej ziemi, to znów potykając się o korzenie, biegł dalej. Lepka ziemia utrudniała ucieczkę, błoto lgnęło do butów. Dysząc wchłaniał do płuc zimne powietrze.

Przed sobą, za gmatwaniną krzaków, zobaczył wysoki mur cmentarza. Znajdował się w połowie drogi do niego, gdy na szosie błysnął reflektor. Smuga światła spadła na uciekającego jak ogromna dłoń i trzymała go w niemiłosiernym uścisku jaskrawego światła.

Herman z rosnącym przerażeniem zdał sobie sprawę, że dalsza ucieczka jest beznadziejna. Nawet gdyby dobiegł do muru, nie potrafiłby się nań wspiąć. Wytężając siły zrobił jeszcze kilka kroków i rzucił się za niskie, porośnięte zwiędłą trawą usypisko. Snop światła natychmiast wbił się w kopiec.

Walcząc o oddech, Herman przez chwilę leżał nieruchomo. Czuł się ogłuszony i bezwładny. Przygniatała go świadomość absolutnej bezbronności. Półprzytomny ze strachu, nie śmiał nawet poruszyć gałkami oczu. Rozpaczliwe myśli tłukły się po głowie, nie budząc w nim żadnego oddźwięku.

Nagle wydało mu się, że całkiem blisko słyszy ciche, skradające się kroki. Zaciśnął mocno zęby, by nimi nie szczekać, jednak nie mógł opanować drżenia rąk. Dużym wysiłkiem, przezwyciężając panikę, ostrożnie wychylił się zza usypiska i oburącz podniósł pistolet.

*

W Wartburgu Malwitz i Meyer prowadzili gorączkową dyskusję nad konsekwencjami ucieczki Hermana. Gdy milicjanci ruszyli w pościg za samochodem, Malwitz wolno pojechał dalej, aż skierowana w bok na pole smuga reflektora ostrzegła ich przed niebezpieczeństwem. Domyślili się, że Herman porzucił Fiata i pobiegł w kierunku cmentarza.

Zatrzymawszy Wartburga w bezpiecznej odległości, Malwitz wpatrzył się w jaskrawy promień światła tkwiący nieruchomo w jakimś miejscu niewidocznym z ich stanowiska.

- Czy nie możemy pojechać do miasta inną drogą? - niespokojnie spytał Meyer. - Lada moment przyjadą posiłki, wtedy się w ogóle stąd nie wydostaniemy.

- Można spróbować przejechać obok nich. Na pewno są tak zajęci Hermanem, że nie zwrócą na nas uwagi.

- To jest zbyt ryzykowne. Jeżeli przypadkiem nas zatrzymają - nie mamy papierów wozu.

- Jakie widzisz inne wyjście?

- Moglibyśmy pojechać tramwajem - sugerował Meyer.

- A samochód? Przecież nie może tu zostać!

Przed nimi huknął strzał. Zniekształcone echo kołatało się wśród drzew i murów, cmentarza. Reflektor drgnął, lecz światło natychmiast wróciło w to samo miejsce.

- Pewnie się schował - powiedział Malwitz.

- Dobrze, że dałem mu pistolet. Przynajmniej ma się czym bronić.

Znów usłyszeli strzały.

- Skąd o nas wiedzieli? - mruknął Meyer wytrzeszczając oczy w mrok.

- Myślę, że nie wiedzieli, a po prostu natknęliśmy się na przypadkową kontrolę drogową.

- Mag sein...

Przed nimi już się nic nie poruszało. Panowała cisza.

- Powinniśmy mu pomóc - powiedział Malwitz po namyśle. - Gdyby wiedział, że tu stoimy - mógłby pobiec w tym kierunku i wsiąść do naszego wozu.

- Co ty pleciesz! Pomóc! Będę zadowolony, jeżeli cało wyjdę z tej przygody - rzekł Meyer zdenerwowanym głosem. - W tej sytuacji każdy jest zdany na własne siły.

- Nie rozumiesz mnie. Nie zależy mi tyle na Hermanie, ile na wiadomości, czy zdołał uciec, czy też wpadł w ręce milicji. Jeżeli go capną, wygada wszystko.

- Masz rację! - posępnie przyznał Meyer. Daleko na szosie zobaczyli światła tramwaju.

- Oto nasza szansa! -; zawołał Malwitz. - Gdy tramwaj ich minie, przejedziemy wolno i zorientujemy się...

- Nie, nie! Minęlibyśmy tramwaj z tej strony, po której stoi milicja. Wpakowalibyśmy się wprost na nich.

Malwitz zawahał się.

- To prawda - przytaknął. - Wobec tego zostaje tylko jedna możliwość: wysiądę, ostrożnie podejść bliżej i przynajmniej zobaczę, co się tam dzieje.

Meyer, choć niechętnie, przyznał mu słuszość. Zdawał sobie sprawę, że jego wyjazd z Wrocławia także zależy od udanej ucieczki Hermana. Jeżeli milicja go złapie, bez wątpienia wyda swych towarzyszy! Natychmiast zarządzono by obławę...

- Idź, ale staraj się wrócić jak najszybciej.

Malwitz wyszedł na jezdnię. Wykorzystując cień drzew, zaczął chyłkiem skradać się w kierunku cmentarnego muru.

Meyer pozostał sam. Niemal cieleśnie odczuwał tę samotność. Także czuł się bardzo znużony. Ostatnie dni przyniosły nadmiar wrażeń. Do tego dochodził niedostatek snu, duże ilości papierosów, wódka i nerwowe napięcie. Na dobitkę wszystkiego nie był z siebie zadowolony. Ucieczka Tkaczyka... Herman... Oto jedne z tych nieoczekiwanych wydarzeń, które płaczą szyki nawet najbardziej starannie układanych planów.

Zerkając od czasu do czasu na światło milicyjnego reflektora, położył sobie na kolanach dwa wyjęte ze skrytki pistolety. Obejrzał je, szmatką starł z nich tłuszcz i jak

potrafił, tak przeczyścił lufy. Następnie napełnił magazynki. Zabezpieczywszy pistolety, wsunął je za pasek od spodni, pod kurtkę.

Spojrzał na zegarek: za dwadzieścia pięć dziesiąta. Szybko uporali się z Oporowem. Domownicy pewnie już się uwolnili. Wezwą milicję...

Jakby w odpowiedzi w dali rozległ się jękliwy głos syreny.

Malwitz wrócił po kilku minutach. Przybiegł do wozu i zdyszany usiadł za kierownicą. Chwilę patrzył przed siebie, potem zapuścił silnik.

- Co się stało? Mów! - zawołał Meyer zaniepokojony dziwnym milczeniem gestapowca.

- Herman nie żyje.

- Unmöglich!

Lakoniczna wiadomość wstrząsnęła nim. Twarz mu się wydłużyła, kilkakrotnie nerwowo przełknął ślinę. Znów, nie wiadomo skąd, pojawiło się owo osobliwe uczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa. A co dziwniejsze - te ostrzegawcze sygnały wcale nie były bezpośrednio związane z akcją w Oporowie i wiadomością o tragicznej śmierci Hermana. Gdzieś w tym mrocznym mieście działo się coś, co go dotyczyło, ale o czym on nie wiedział, i przed czym w żaden sposób nie mógł się uchronić.

- Skąd wiesz? Mówże!

- Byłem blisko. Herman niepotrzebnie wpadł w panikę. Zatrzymała go milicja drogowa.

- Drogowa?

- Mają białe czapki i białe mankiety na rękawach.

Meyer podał mu papierosa i ogień. Zaciągając się dymem Malwitz kontynuował:

- Widziałem, jak go nieśli, i - Może był tylko ranny?

- Rozmawiali dość głośno. Jeden z nich powiedział: „Szkoda, że dostał w łeb. Trudno będzie wyjaśnić, dlaczego uciekał”. Na to drugi milicjant odpowiedział: „Na pewno ukradł ten samochód...” Dalej już nie słuchałem.

- Unglaublich! - powtórzył Meyer kręcąc głową. Nagle spojrzał na zegarek. - Psiakrew! Późno! Oczekuję telefonu o dziesiątej. Wracajmy!

- Ale którądy? Przed nami milicja...

- Nie ma innej drogi?

- Jest, dłuższa. Musimy wrócić do Oporowa i skręcić w lewo na ulicę Klecińską. Stamtąd mamy drogę do miasta.

- To jedźmy, jedźmy!

Kilka minut przed godziną dziesiątą zajęchali na ulicę Dąbrowskiego. Ponieważ długa jazda przebiegła bez wydarzeń, ochłonęli nieco z emocji i niepokoju.

Malwitz zatrzymał wóz w pewnej odległości od domu, w którym mieszkał, i wyłączył wszystkie światła.

- Co dalej? - zapytał.

- Nie widać nic podejrzanego - powiedział Meyer rozglądając się. - W twoich oknach widzę światło. Chciałbym tam wejść na chwilę. Ktoś miał dzwonić na twój numer.

- Ja także muszę zabrać swoje rzeczy i papiery z mieszkania - posępnie mruknął Malwitz. - Nie mogę tu zostać... Diabli nadali tę przygodę! - mruknął ze złością.

- Dolary mamy...

- Ba, dolary nie rozwiązują kwestii. Nie chcę ci robić wymówek, Willi, ale tę akcję należało dokładniej przemyśleć. Ostrzegałem, że nie jesteśmy przygotowani. Teraz wszystko strasznie się skomplikowało...

Przerwał dostrzegając wychodzące z domu Zosię i Elżbietę. Szybko podeszły do Wartburga.

,- Jesteście w komplecie? - zapytała narzeczona Malwitza sadowiac się w samochodzie. - Jak poszło? Wszystko w porządku?

- I tak, i nie - odparł Malwitz zerkając na zegarek. - Ale teraz nie mamy czasu na rozmowę. Willi spodziewa się telefonu o dziesiątej, a ja muszę spakować parę rzeczy.

Zosia także spojrzała na zegarek.

- W takim razie musicie się śpieszyć. Jest dziewiąta pięćdziesiąt trzy.

- Proszę, zaczekaj tutaj z panią Elżbietą, dobrze? - powiedział otwierając drzwi wozu.

- Gdyby coś się wydarzyło - powiedział Meyer do Zosi - proszę nie wychodząc z wozu zapalić zapalkę. Jeden z nas będzie z okna bezustannie obserwował ulicę i samochód.

Zosia skinieniem wyraziła zgodę. Była czymś bardzo przejęta, gdyż kręciła kosmyk włosów nadzwyczaj nerwowo.

Meyer i Malwitz przeszli przez jezdnię. Gdy wchodzili do domu, Niemiec zwrócił się do gestapowca:

- Niepotrzebnie się niepokoisz. Skoro Heinrich nie żyje, to milicja nie zna naszych nazwisk ani adresów. Możemy więc spokojnie wejść do twego mieszkania. Na razie nic nam nie grozi.

- Chyba tak - sceptycznie przytaknął Malwitz. - Herman nie miał papierów przy sobie. Potrwa kilka dni, zanim go zidentyfikują, a wtedy śledztwo przypuszczalnie utknie w miejscu. Samochód także im dużo nie pomoże. O kontaktach Hermana z nami nikt nie wie, prawda?

- Nie. Zostaje tylko sprawa Tkaczyka. Ale o tym jeszcze porozmawiamy.

Wbiegli na drugie piętro. Malwitz spiesznie otworzył drzwi.

W mieszkaniu Meyer postawił swą skrzynkę na stole i podchodząc do okna uchylił firankę.

- Zostaw światło tylko w przedpokoju - powiedział. - Lepiej, aby okna wychodzące na ulicę były ciemne.

Malwitz nie zdejmując płaszcza otworzył szafę, wyjął walizkę i zaczął układać w niej rzeczy.

- Jednak się pakujesz?

- Co mam robić? Sprawa tak czy inaczej jest przesądzona. Tutaj już nie czułbym się bezpiecznie.

- Myślę, że uda mi się nakłonić Tkaczyków do milczenia... Ale rób, co chcesz.

Podszedł do stołu, wziął skrzynkę i przeniósł ją na parapet okna. Otworzył wieko i sięgnął do wnętrza.

- Ha, es hat sich gelohnt! - zawołał wyjmując gruby plik banknotów.

- Czy się opłaciło, to zależy od tego, ile warte jest ludzkie życie - sucho zauważył Malwitz, układając bieliznę w walizce.

- No tak, biedny Heinrich. Szkoda go! Ale to jego wina. Całkiem niepotrzebnie stracił głowę.

Meyer zaczął liczyć dolary.

- Udział Heinricha podzielimy między siebie. Skrzynkę razem z markami i rublami wrzucimy do rzeki, co? - spytał, bezustannie zerkając na ulicę.

- Zrób, jak uważasz za słuszne. Mam inne zmartwienia.

Znowu spojrzął na zegarek, który tego wieczoru zdawał się mieć jakąś magiczną siłę przyciągania. - Dziesiąta!

O godzinie 21.58 kapitan Filipiak niezwykle podekscytowany nakręcił numer telefoniczny. Z drugiej strony natychmiast podniesiono słuchawkę.

- Mówi Filipiak. Nastaw uszu, Michaś. Właśnie otrzymałem wiadomość, że spodziewana rozmowa zostanie przeprowadzona o dwudziestej drugiej. Meyer czeka na ten telefon w mieszkaniu Lipińskiego. Zawiadom centralę. Mamy tylko parę minut czasu. Wszystko przygotowane?... W takim razie już jedziemy. Wytłumacz chłopcom raz jeszcze” że to nasza jedyna szansa. Musimy ją wygrać. Akcja przebiega według planu. To wszystko. Spotkamy się na dole.

Położył słuchawkę, zerwał płaszcz z wieszaka i wybiegł z biura.

Na oświetlonym dziedzińcu stały trzy gotowe do jazdy Warszawy. Filipiak skinął ręką czekającym milicjantom i zajął miejsce w pierwszym samochodzie.

Kierowca ubrany w cywilny garnitur puścił sprzęgło i gwałtownie ruszył z miejsca.

- Zawiadomiłeś centralę, Michaś? - rzucił kapitan przez ramię.

- Tak, oczywiście! - odparł siedzący za nim barczysty mężczyzna.

- Mamy strasznie mało czasu - mówił Filipiak sadowiąc się wygodnie na siedzeniu. - Dosłownie kwestia sekund.

- Nie szkodzi. Jeżeli nasze przewidywania są słuszne, to go dziś złapiemy.

- Musimy go dostać. W obecnej sytuacji już nic nie możemy zmienić. Ale wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują na to, że się kręci w okolicy ulicy Pomorskiej. O tak późnej porze i przy tej pogodzie nie odejdzie zbyt daleko od domu.

- Pytanie: skąd zadzwoni?

- Sklepy już są zamknięte, budek telefonicznych nie ma tak wiele. Oczywiście może skorzystać z prywatnego telefonu...

- Tym lepiej dla nas. Staniemy na Dubois, jak planowaliśmy?

- Tak, Gawlas zatrzyma się na placu Trzebnickim, a Budryk na Rynku.

Pędzili z szybkością przekraczającą sto kilometrów na godzinę. Ponieważ nie mogli skorzystać z syreny, kierowca włączył reflektory i jaskrawym światłem ostrzegał znajdujące się w ruchu samochody.

- Zadzwoń do centrali i upewnij się, czy wszystko w porządku - poradził towarzysz kapitana.

Filipiak uzyskał połączenie. Zadał kilka pytań i odłożył słuchawkę radiotelefonu.

- Szafa gra! - powiedział. - Są na linii. Czekają. Wyrzał na ulicę.

- Psiakrew - zaklął. - Dopiero szpital...

- Ale pan kapitan dzisiaj niecierpliwy! - mruknął kierowca. - Szybciej nie mogę, bo rozwalę samochód na drobny maczek.

- Dobrze, dobrze, Grzesiak. Nie mam do was pretensji. Jak skręcimy w Dubois, to zgaście światła i zwolnijcie.

- Tak jest!

Z lewej wyrosły ściany wysokiego spichlerza, potem mignęły przesła krótkiego mostu. Na ciemnej wodzie igrały refleksy nadbrzeżnych latarni.

Kierowca skręcił w prawo i dostrzegając jadący w tym samym kierunku tramwaj oraz wolno za ostatnim wozem sunącą ciężarówkę, zamykającą przejazd, zaklął pod nosem, potem

zdecydowanym ruchem skierował rozpedzony samochód w lewo i jeszcze dodając gazu minął tramwaj z lewej strony.

- No, no! - mrucał Filipiak. - Nie wygłupiajcie się! Jeszcze wam jakiś milicjant wlepi mandat!

Gdy jechali wzdłuż ulicy Dubois, zaterkotał radiotelefon.

- Słucham, Filipiak... Ach to wy, Budryk! Już tam jesteście? Dobrze. Krążcie wokół Rynku według planu. Na razie tyle.

Osią, wokół której wszystko obracało się tej nocy, był emeryt, liczący pięćdziesiąt trzy lata, Roman Karol Tyszkę vel „Różycki”, mieszkający w pokoiku na poddaszu starego domu przy placu Staszica.

O godzinie 21.30 tego wieczoru Tyszkę przyrządzał sobie kawę. Ponieważ był pedantem par excellence, czynił to ze zwykłą sobie starannością i pietyzmem. Ta zwykła czynność urastała u niego do rangi rytuału. Wpierw wrzątkiem wyparzył filiżankę, w której wyłącznie przyrządzał kawę, następnie odmierzył dwie łyżeczki kawy, zmielił ją w staroświeckim młynku, wsypał proszek do filiżanki, zalał wrzącą wodą i przykrył napar szklanym spodkiem. Spojrzał na zegarek - kawa musiała być pod przykryciem dokładnie dwie minuty.

O jego przeszłości właściwie nikt nic nie wiedział. Podobno brał udział w kampanii wrześniowej, a potem został wysłany do Niemiec na roboty. Do ojczyzny wrócił kilka lat po wojnie i rozpoczął - uwieńczone sukcesem - starania o rentę inwalidzką. Podobno gdzieś za granicą miał syna. Podobno kiedyś, w 1959 roku, syn zaprosił ojca do siebie. Stary wyjechał i po kilku miesiącach wrócił do Polski.

Wszystkie te pogłoski jednak nie były potwierdzone. Tyszkę z zasady o swoich sprawach nie mówił, toteż mieszkańcy domu przy placu Staszica, zrażeni notoryczną mrukliwością sąsiada z mansardy, przestali się nim interesować, a niektórzy nawet go ignorowali.

Roman Karol Tyszkę był dziwakiem o niezwykle skomplikowanym charakterze. Nosił w sobie głęboko zakorzeniony uraz do całego świata. Trudno byłoby doszukać się początków tego stanu. Cierpienia i krzywdy, których doznał podczas wojny, nie zostawiły na nim piętna głębszego niż na tysiącach współmęczenników. Stał się odludkiem, lecz nie z własnej winy. Osiedliwszy się we Wrocławiu, nie potrafił znaleźć sobie odpowiedniego środowiska.

Upłynęły lata, spędzone w samotności i oczekiwaniu na jakąś niesprecyzowaną zmianę dotychczasowego życia. Coraz częściej ogarniała go obsesja starości. Wtedy nadeszło nieoczekiwane zaproszenie od syna mieszkającego w Augsburgu.

Wyjazd był przełomowym punktem w monotonnym życiu Romana Karola Tyszkę. W jaki sposób doszło do spotkania z agentami Gehlena - było jego tajemnicą. Dość na tym, że takie spotkanie miało miejsce, a gdy po starannym wybadaniu nastrojów i poglądów starego ostrożnie wysunięto propozycję współpracy, wahanie emeryta było krótkie i, prawdę mówiąc, niezbyt szczere. Synekura gwarantowała wygodne życie, świadomość przynależności do tajnej organizacji byłaby źródłem nowych sił. Dodać należy, że przed ostatecznym sprecyzowaniem tej propozycji odmalowano mu barwnymi słowami niezwykle ponętny obraz.

Wymagano niewiele. Od czasu do czasu miał przybyć do Polski człowiek, z którym należało się telefonicznie skontaktować, ten z kolei przekaże mu nazwiska, telefony i ewentualnie adresy agentów, od których w przyszłości będzie odbierał rolki filmu i przechowywał je aż do chwili, kiedy ktoś się po nie zgłosi. Ponadto sugerowano, aby Tyszkę dla własnego bezpieczeństwa obserwował agentów i w ogóle opiekował się nimi z odległości.

W depozycie u emeryta także znajdowały się dwa pistolety typu „Walter PPK”, kilka rolek miniaturowego filmu, paręset dolarów i kilka tysięcy złotych.

Do tej pory Tyszkę raz tylko otrzymał listę, zawierającą trzy nazwiska. Z zapałem przystąpił do wykonywania swych obowiązków. Lecz ku jego rozczarowaniu grupę zlikwidowano, zanim agenci zdolali mu przekazać choćby jedną rolkę naświetlonego filmu. Minął długi okres beczynności. Potem nadeszła lakoniczna wiadomość o przyjeździe Harolda Winkla.

Trzy dni temu rozmawiał z nim po raz pierwszy z recepcji hotelu.

Tyszkę małymi łykami wypił kawę i odstawił garnuszek. Uczuł przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele. Ale nawet smak ulubionego napoju nie umniejszył dręczących go od rana, osobliwie irytujących przeczuć. Wiedział, że za kilka minut musi telefonicznie przekazać Winklowi ważne ostrzeżenie. I choć nie potrafiłby powiedzieć, czego się obawia, to jednak wzdragał się i wahał. Niemcowi nikt już nie pomoże - mówił sobie po raz setny. Jednakże wrodzona pedanteria nakłaniała go do spełnienia obowiązku, nawet gdy rozsądek się temu sprzeciwiał.

O godzinie 21.45 wstał, umył filiżankę w zlewie, starannie wytarł ją ściereczką i odstawił do ściennej szafki. Potem przyczesał włosy i z szafy wyjął brezentową kurtkę. Wdziewając ją, powiódł wzrokiem po meblach i przedmiotach swego małego pokoju.

„Czas rodzi przywiązanie” - pomyślał z niewytłumaczalnym uczuciem nostalgii.

Kilka minut później przechadzał się pod murem szkoły na ulicy Jedności Narodowej.

- Zwolnijcie teraz - powiedział kapitan Filipiak do kierowcy. - Weźmiemy na oko tę budkę przy postoju taksówek.

- Gdzie stanąć?

- Tutaj, przed sklepem cukierniczym.

Gdy samochód zatrzymał się przy krawężniku, zaciekawieni spojrzeli na oświetloną rozmównicę. Właśnie wchodziła do niej jakaś kobieta.

- Wyjdźcie z wozu i czekajcie na przystanku tramwajowym - powiedział Filipiak. - Obserwujcie okolicę i budkę telefoniczną. Facet, na którego polujemy, to cwana sztuka, jeżeli tu przyjdzie, będziemy mieli najwyżej kilka sekund, by się z nim rozprawić. Ja zostanę przy radiotelefonie. Gdy wyjdę z wozu, to szybko, ale ostrożnie podejdziecie. No, hop!

W tej chwili zaterkotał telefon.

- Słucham... Ach, to ty, Gawlas... Dobrze, zostańcie na placu Trzebnickim i czekajcie na dalsze rozkazy. Koniec.

Filipiak odłożył słuchawkę i spojrzał na rozmównicę. Kobieta jeszcze prowadziła rozmowę. W pobliżu nie było nikogo, kto by czynił wrażenie czekającego. Trzymając rękę na słuchawce, kapitan przygryzł wargi. Prześladowała go obawa, czy nie przeczył jakiejś drobnostki i nie popełnił jakiegoś błędu. Może poszukiwany mężczyzna skorzysta z telefonu znajdującego się na peryferiach miasta? Wtedy nie zdążyliby przyjechać w porę na miejsce...

Zachnął się. Zrobił, co dyktowały okoliczności. Rozmowy telefonicznej nieznanego z Meyerem spodziewano się o godzinie dwudziestej drugiej. Po otrzymaniu wiadomości, że Niemiec czeka na telefon w mieszkaniu Lipińskiego, zarządzono nasłuch. Jeżeli poszukiwany człowiek nawiąże łączność, centrala zlokalizuje miejsce, z którego mówi, i natychmiast powiadomi radiowozy milicyjne. Trzy samochody czekają w pogotowiu...

Filipiak zmarszczył brwi i w myślach raz jeszcze sprawdził każdy szczegół szeregu wypadków i posunięć, których epilog, jeżeli szczęście dopisze, musiał rozegrać się w ciągu najbliższych minut.

Trochę żałował, że dysponuje tylko trzema wozami, lecz zdawał sobie sprawę, że od dwóch dni te samochody były trzymane w stałej gotowości. Do tego dochodziło pięciu funkcjonariuszy, którzy otrzymali rozkaz stawienia się przy wozach w ciągu trzydziestu sekund od chwili zawiadomienia.

Kobieta odłożyła słuchawkę i szykowała się do wyjścia. Filipiak sprawdził czas: trzy minuty po dziesiątej. Rozejrzał się wkoło. Nieliczni ludzie szli w tym lub innym kierunku, lecz nikt nie zdradzał zamiaru korzystania z rozmównicy.

Kapitan zaczął się niecierpliwić. Nagle drgnął. Na jezdnię szybkim krokiem wszedł krępy mężczyzna w brezentowej kurcie. Głowę wtulił w postawiony kołnierz, ręce trzymał w kieszeniach. Nie rozglądając się, zdążył wprost do pustej budki telefonicznej.

*

Tyszkę z właściwą sobie dokładnością zamierzał zadzwonić do Niemca punktualnie o dziesiątej. Stojąc pod murem szkoły rozglądał się. Na przystanku tramwajowym czekało kilka osób, rząd taksówek stał na postoju. Właśnie chciał przejść jezdnię, gdy do rozmównicy zbliżyła się kobieta w kraciastym płaszczu. Tyszkę mruknął coś pod nosem i niezadowolony odszedł parę kroków w prawo. Zirykowany zwłoką, nie zwrócił uwagi na samochód, który zatrzymał się przy krawężniku pod sklepem winno-cukierniczym.

Niecierpliwie obracając w kieszeni pięćdziesięciogroszówkę, zerkał raz po raz na zajętą rozmównicę. Sprawdził czas: dwie minuty po dziesiątej. Pomyślał, że Niemiec czekający na rozmowę telefoniczną na pewno już się niepokoi... Jeżeli w ogóle jeszcze czekał!

Nagle znów owionęło go przykre uczucie lęku. Świat jakby ściemniał, w mdłych światłach i mrocznych cieniach ulic i domów było coś osobliwie nieprzyjemnego.

Wydało mu się, że on, Tyszkę, śledzi film, w którym dramat zbliża się do punktu kulminacyjnego, a chwilowa cisza w głośnikach i brak akcji na ekranie służą tylko do natężenia uwagi widzów. Napięcie musi się lada chwila rozładować!

Czuł, że zwilgotniały mu dłonie, dotkliwie biło tętno w skroniach. „No cóż - pomyślał z rezygnacją - nietrudno wyciągnąć wnioski ze zdobytych tego wieczoru faktów”. Zrozumiał, dlaczego milicja, o wszystkim poinformowana, do tej pory nie interweniowała...

Kobieta w kraciastym płaszczu skończyła rozmowę i opuściła budkę telefoniczną. Tyszkę ocknął się z niemiłych rozważań, westchnął głęboko, mocniej ścisnął monetę w wilgotnych palcach i zdecydowanie przeszedł jezdnię.

Chwilę później rozmawiał z Meyerem.

*

Czekający w samochodzie kapitan Filipiak zerwał słuchawkę radiotelefonu z widełek.

- Halo!... Nawiązał łączność z rozmównicy na rogu Dubois i Jedności... Świetnie! Powiadomcie Gawlusa i Budryka. Dziękuję!

Położył słuchawkę. Zamknął drzwi wozu i wyszedł na jezdnię. Nie spuszczając oka z mężczyzny w rozmównicy, kciukiem odbezpieczył pistolet w kieszeni. Zerknął w prawo. Jego towarzysze zbliżali się z dwóch stron.

Twarz rozmawiającego stała się wyraźnie widoczna. Chuda, porysowana zmarszczkami, wąskie usta. Trzymając słuchawkę przy uchu, wyjaśniał coś z wielkim przejęciem i akcentował poszczególne słowa ruchami głowy.

Rozmowa trwała niespodzianie krótko. Potem Tyszkę niemal rzucając słuchawkę na widełki wybiegł z rozmównicy i... wpadł wprost na kapitana Filipiaka.

Stanął jak wryty. Spojrzeli na siebie. Jeden spod zmrużonych powiek, z zaciekawieniem i nieufnością, drugi wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem i przerażeniem.

- Milicja Obywatelska - spokojnie powiedział Filipiak, trzymając rękę na pistolecie. - Proszę pójść ze mną.

Tyszkę zwiesił głowę i zrezygnowany dał się odprowadzić do czekającego samochodu.

10

O ile Malwitz się gorączkował i niecierpliwie rozrzucał rzeczy wyjmowane z szuflad i półek, to Meyer wydawał się niezwykle opanowany. Spokojnie odliczył część banknotów i bez słowa położył ją przed swym kompanem. Ten, po krótkim wahaniu, schował pieniądze do kieszeni.

- Nie policzysz?

- Teraz nie mam czasu - odrzekł Malwitz. Niemiec rzucił okiem na zegarek.

- Już dwie minuty po dziesiątej! - mruknął i znów wyjrzał na ulicę.

Zaparkowany samochód był dobrze widoczny. Jakaś kobieta wolnym krokiem przeszła ulicę. Po chwili z chrzęstem i zgrzytem przejechał tramwaj.

- Teraz twoje plany wzięły w łeb, co? - spytał Malwitz próbując docisnąć wieko walizki. - Tkaczyk i Herman...

Dzwonek telefonu przeciął dalsze słowa. Meyer drgnął, Malwitz już był przy aparacie.

- Słucham!

Meyer stanął za nim.

- Tak, jest tutaj. Oddaję słuchawkę.

- To ja, Meyer - powiedział Niemiec. - Dziś jest środa... Mhm, byliśmy tam, ale sprawy nie poszły całkiem dobrze. Straciliśmy Hermana. W drodze powrotnej wdał się w niepotrzebną strzelaninę z milicją... Tak, nie żyje... O, ten zrezygnował z udziału w akcji... No, słucham... Co?! Niemożliwe!... Tak, tak, rozumiem. Czy pan jest absolutnie pewny? - Po chwili powiedział: - Oczywiście. Sądzę, że się uda. A więc do widzenia!

Wolno położył słuchawkę i kilka sekund stał bez ruchu. Malwitz układał papiery w obszernej teCzce.

- Skończyłeś?

- Tak - odparł Niemiec. - Tak, skończyłem - cicho powtórzył i ociężale usiadł przy stole.

Długo się nad czymś zastanawiał. Nagle zerwał się z miejsca i stanął przed Malwitzem.

- Słuchaj, Johannes. Muszę swoje plany gruntownie zmienić. Chciałbym, abyś mi w tym pomógł. Nie znam tutaj nikogo, komu mógłbym ufać. Poznam cię z pewnym człowiekiem. Razem znajdziemy jakieś wyjście - powiedział szybko.

- O co w ogóle idzie?

- Omówimy to po drodze. Chcę także odebrać swoją walizka od Tkaczyków. Po południu schowałem ją w garażu. Chodź, chodź!

Meyer naraz zaczął się bardzo śpieszyć. Malwitz podniósł swa walizkę i teczkę. Gdy wyszli do sieni, starannie zamknął drzwi za sobą.

Zbiegli po schodach na ulicę. Niemiec przesadził jezdnię długimi krokami i zapukał do okna samochodu. Zosia otworzyła drzwi.

- Co jest?

- Chodźcie, proszę. Samochód na razie musimy zostawić. Szybko!

- Nie pojedziemy? - zdziwił się Malwitz.

- Nie tym wozem - krótko odparł Meyer. - Proszę, śpieszcie się! - przynaglił wychodzące na chodnik kobiety. - Nie mamy ani sekundy do stracenia!

Szybkim krokiem doszli do skrzyżowania. Tam Niemiec skręcił w prawo na ulicę Kościuszki. Malwitz szedł tuż za nim wyprzedzając Zosię i Elżbietę o metr lub dwa.

- Powiedz przynajmniej, dokąd tak pędzisz? - spytał sapiąc.

- Na dworzec, do taksówek - rzucił Meyer przez ramię.- Istnieje możliwość, że milicja Zna numer Wartburga. - Któż im zdradził? - Może Albert...

- Sądzisz, że poszedł na MO?

- Nie wiem. Powiedziałem: może...

W ciągu kilku sekund byli przed Dworcem Głównym. Tam, jak zwykle, było rojno i gwarno. Około dziesięciu taksówek, stojących półkolem jedna za drugą, czekało na pasażerów.

Zajęli miejsca w jednej z nich. Meyer wskazał Malwitzowi miejsce obok kierowcy, a sam usiadł w tyle. Taksówkarz niechętnym okiem spojrzał na całą czwórkę.

Meyer zrozumiał spojrzenie.

- Proszę pana! - powiedział. - Nam się bardzo śpieszy. Zapłacę panu podwójną taryfę, tylko proszę nas jak najszybciej dowieźć na ulicę Dubois.

Taksówka ruszyła z miejsca i po chwili mknęła ulicami miasta.

Meyer, siedzący z lewej strony, nie zauważył lub może udał, że nie widzi dwóch szybko w przeciwnym kierunku jadących Warszaw z antenami i niebieskimi lampami na dachach. Natomiast Malwitz poznał milicyjne wozy, rzucił okiem za nimi, w zamyśleniu zmarszczył brwi, lecz również milczał.

Ze względu na kierowcę nie rozmawiali po drodze. Tylko Zosia dwukrotnie coś szepnęła do Elżbiety i otrzymała równie ciche odpowiedzi.

Minęli śródmieście. Meyer bębnił palcami po swej metalowej skrzynce. Był zdenerwowany i próbował zebrać rozproszone myśli. Ostatni telefon otworzył mu oczy na wiele dotychczas niejasnych spraw. Na podstawie niespodziewanej wiadomości mógł uporządkować fakty, skojarzyć je, dopasować do sytuacji i wydarzeń. Końcowy bilans, niestety, zgadzał się. Jednak przed podsumowaniem należało przeprowadzić jeszcze jedno niezbędne działanie...

- Jesteśmy na Duboisa - powiedział kierowca wymieniając nazwę według pisowni.

- Dobrze, proszę stanąć tutaj.

Niemiec zerknął na licznik i odliczył należność.

Taksówka odjechała. Meyer bacznie rozejrzał się. Ruch był nikły. Tu i ówdzie stały zaparkowane samochody, przeważnie małe lub starsze wozy. Zatrzymując się w pewnej odległości od domu Niemiec zwrócił się do Elżbiety:

- Proszę, niech pani wejdzie do garażu i przyniesie mi stamtąd moją walizkę. Albert położył ją na szafce z narzędziami. Zaczekamy tutaj.

Gdy odeszła, powiedział szeptem do gestapowca:

- Powiedz narzeczonej, aby chwilowo zatrzymała się u Elżbiety. One chyba nie są zagrożone, jak sądzisz?

- Raczej nie. A kiedy wrócimy?

- To zależy od... okoliczności.

- Idziemy na randkę Zosiu - powiedział Malwitz do narzeczonej. - Zostań, proszę tutaj. Bądź tak dobra i weź tę walizkę i teczkę. Są w nich moje rzeczy. Nie wiem, czy wrócę na Dąbrowskiego.

Zauważyła dziwny ton jego głosu.

- Stef... myślę, że już wszystko jest skończone. Nie widzę potrzeby, abyś się nadal narażał...

- Nie sądzę, by groziło mi niebezpieczeństwo - odparł z namysłem. - Zresztą, Willi naprawdę potrzebuje pomocy.

- Wolałabym, abyś został.

- No, no! - energicznie zaprotestował Meyer. - Stefan wie, co robi.

Elżbieta wróciła niosąc walizkę.

- Oto jest. Nie wejdziecie? - spytała z lekką ironią. - Dziś jest bardzo ciekawy program telewizyjny.

- W naszym wieku jeszcze mamy inne zainteresowania - odpalił Meyer. - Dziękuję. - Wziął walizkę z jej rąk. Niecierpliwie skinął na gestapowca.

Malwitz podszedł do Zosi i wyciągnął rękę.

- Pa!

- Trzymaj się!

Gdy znów znaleźli się sami, Meyer skierował się ku ulicy Pomorskiej.

- Czy teraz możesz mi powiedzieć, dokąd idziemy? - spytał Malwitz.

- Przed siebie, drogi Johannes. Chciałbym z tobą porozmawiać o pewnych sprawach.

- Bardzo chętnie, choć pogoda niezbyt sprzyja spacerom...

Noc rzeczywiście była wyjątkowo ponura. Późna pora, nasycone wilgocią zimne powietrze i przejmujący chłodem wiatr zapędziły wszystko co żywe pod dachy. Nad miastem wciąż przetaczały się ociążałe chmury. Nadchodził deszcz.

Meyer zwolnił kroku.

- W obecnej sytuacji czuję się najbezpieczniej na ulicy...

- Może powiesz, o co idzie?

- Jak wiesz, miałem wykonać pewne polecenie, ale teraz już nie mogę się z niego wywiązać. Za kilka dni wyjadę z tego kraju. Chciałbym, abyś mi doradził, co mam robić i ewentualnie porozmawiał z człowiekiem, który się tymi sprawami interesuje.

- Jakimi sprawami?

- Przestań, Johannes. Już nie pora na te głupstwa.

- Masz słuszność. Najwyższy czas, by zagrać w otwarte karty.

- Właśnie. Między nami nie powinno być niedomówień. Należymy do starej gwardii. Ty, byłeś gestapowiec, zasłużony członek NSDAP, ja, Rottenführer der Waffen SS, odznaczony Żelaznym Krzyżem... Przeszłość związała nas nierozdzielnie, prawda? - mówił z przesadnym patosem.

Malwitz tylko zerknął na niego spode łba, lecz nie odpowiadał. Gdy przeszli parę kroków, poczęstował Niemca Extra Mocnymi. Meyer przyjął papierosa, zapalił i pokręcił głową.

- Wtedy paliło się inne papierosy! - westchnął. - Pamiętasz, Johannes, jakie piliśmy likiery, wina, szampany? Czy nie żałujesz, że te czasy minęły?

- Piliśmy szampany i likiery wtedy dopiero, gdy było oczywiste, że wszystko jest stracone.

;- Cynik! No pewnie, ale w pamięci zacierają się niemiłe wspomnienia - kontynuował Meyer półgłosem po niemiecku - a złudna pamięć z czasem wyolbrzymia drobne uciechy i przyjemne chwile. Teraz, po latach, wydaje się, że ówczesne życie miało w euforii. Kiedy w czterdziestym piątym roku przyszliśmy do ciebie, także nieźle sobie poczynaliśmy. Lotte, Lotte du aleine hast so schlanke, hubsche Beine... - zanucił. - Szkoda, że nie zdołałeś poznać jej umiejętności w łóżku.

- Ba, nie ma o czym mówić. Drobnny epizod.

- Johannes! A co stało się z twoją żoną? Wtedy mówiłeś, że wyjechała na wieś. Teraz znowu chcesz się żenić?

Malwitz wzruszył ramionami. Zdawał sobie sprawę, że ta gadanina Meyera ma jakiś cel, lecz jeszcze nie wiedział, do czego Niemiec dąży.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Wszelki ślad po niej zaginał. Przypuszczalnie żyje gdzieś w Niemczech.

- Nie kochałeś jej?

- Chyba tak. Dziś jest dla mnie tylko odległym wspomnieniem. Pewnie przestała za mną tęsknić i znowu wyszła za mąż. Była niebrzydka.

- Jesteś cynikiem - powtórzył Niemiec. - Ale w tym duchu hartowaliśmy się. Na czułości i sentymenty nie było miejsca. Pamiętasz ulubione powiedzenie szefa sztabu, starego Fischera: „Odrzućcie litość, skrupuły, postępujcie bezwzględnie, podstępnie...” Znałeś go, Johannes?

- Kogo?

- Szefa sztabu pułkownika Fischera.

- Nie. Słyszałem o nim wiele, ale osobiście go nie znałem.

- Oczywiście! Wy, tam na Tauentzienstrasse, żyliście w odrębnym świecie. Wszechmocne gestapo! Ha, poznałem później jednego z twoich zwierzchników Kurta Werkmana. *Mein Gott!* Co za babiarz! Codziennie o ósmej wieczór zamykał się w swoim

mieszkańiu koło Fursten-brucke i przy pomocy najwyborniejszych trunków uwodził nową dziewczynę. Najśmieszniejsze było to, że od miesiący miał lues!

Doszli do placu Staszica. Tam, na otwartej przestrzeni, zimny wiatr dotkliwie dawał się we znaki. Meyer podniósł kołnierz palta i, jakby niezdecydowany, dokąd pójść, przystanął koło kiosku „Ruchu”. Uczynił to w ten sposób, że światło bliskiej latarni padało w pełni na Malwitza.

- Nie rozumiem ciebie, Johannes - powiedział dziwnie łagodnym tonem. - Uważam siebie za znawcę ludzi. Ciebie zawsze klasyfikowałem jako inteligentnego i prostolinijnego człowieka, toteż nie mogę uwierzyć, że grasz podwójną rolę. Twoją przeszłość znam, sądziłem, że dostatecznie gwarantuje ona za ciebie. A jednak okazało się, że popełniłem przykrą omyłkę.

Malwitz zmienił pozycję tak, aby latarnia oświetlała ich obojgu z boku. Nie był zaskoczony, wiedział, że prędzej czy później Meyer odkryje jego tajemnicę, a po rozmowie telefonicznej, którą Niemiec odebrał o dziesiątej, domyślał się, że kości zostały rzucone.

- Tak, Willi - odparł z pozornym spokojem - popełniłeś omyłkę. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

Meyer przytaknął.

- Dowiedziałem się o tym, niestety, dopiero dziś wieczór i, wyobraź sobie, jeszcze nie potrafiłem uwierzyć, aby zaufany członek NSDAP, krewniak gauleitera Hanke, zasłużony funkcjonariusz policji politycznej i zdecydowany wróg Polaków mógł tak całkowicie zmienić swe przekonania i zdradzić swą ojczyznę i rodaków. Musiałem otrzymać definitywne potwierdzenie...

Mówiąc nie patrzył Malwitzowi w oczy, lecz wodził zamyślnym wzrokiem gdzieś w przestrzeni.

- W naszej rozmowie spytałem cię o losy twojej żony. Nie potrafiłeś na to odpowiedzieć. Widzisz, mój drogi, Malwitz wcale nie był żonaty!

Po tych słowach przerwał i spode łba łypnął na swego przeciwnika, obserwując, jaki skutek na nim wywarła ta wiadomość. Nie widząc żadnej reakcji, nieco rozczarowany kontynuował:

- Malwitz od lat żył z pewną kobietą, ale nie miał z nią ślubu. To była pierwsza nieścisłość w twoich wypowiedziach. Wspomniałem o szefie sztabu pułkownika Fischerze. Będąc w służbie politycznej musiałbyś pamiętać, że w czterdziestym piątym roku, w Festung Breslau, szefem sztabu był pułkownik Tiessler. To druga nieścisłość. Potem wymieniłem nazwisko Werkmana, mówiąc, że był jednym z twych zwierzchników. Nie zaprzeczyłeś. Ale

Kurt Werkman był tylko jednym z wartowników na Tauentzienstrasse! To trzecia nieścisłość. Wystarczyło, aby zrozumieć, że Johannes Malwitz, do którego oddelegował nas Skorzeny, i Malwitz, który przyjął nas we Wrocławiu, nie był jedną i tą samą osobą.

Znów zamilkł na moment, potem powiedział:

- Lecz wciąż nie rozumiem dwóch rzeczy: po pierwsze - co się stało z prawdziwym Malwitzem, a po drugie - co ty robiłeś tej nocy w jego willi?

- Nie widzę powodu, aby czynić z tego tajemnicę. W czterdziestym piątym roku należałem do osobowo nielicznej, ale bardzo aktywnej grupy ludzi działających przeciwko Trzeciej Rzeszy. Johannes Malwitz był naszym wrogiem numer jeden. Kierował akcją przeciwko nam, zbierał dowody, prowadził śledztwo, tropił nas dzień i noc. Kiedy na skutek donosu jednego z konfidentów gestapo sprawy przybrały groźny obrót, byliśmy zmuszeni usunąć go jak najszybciej...

- Co?!

- Po rozważeniu jego szkodliwej działalności został skazany na śmierć - ciągnął domniemany Malwitz, bacznie obserwując Meyera. - Wyrok wykonałem osobiście, razem z jednym z naszych ludzi. Przybyliście do willi Malwitza kilka minut po jego śmierci. Gdy rozmawiałem z tobą i porucznikiem Hildebrandtem, trup gestapowca leżał w przyległym pokoju, a mój towarzysz warował za drzwiami z pistoletem w rękę.

Meyer pokiwał głową.

- Więc nie było żadnej Lotty... A skąd wiedziałeś o naszym przyjeździe?

- Nie wiedziałem. Gdy się tak niespodzianie zjawiliście, musiałem improwizować. Wprawdzie w terminarzu na biurku gestapowca przeczytałem notatkę mówiącą o przygotowaniu kwatery i odzieży dla wysłanników pułkownika S., lecz początkowo nie poświęciłem temu większej uwagi. Na szczęście mój trick udał się znakomicie.

- Hm, co zrobiliście z Malwitzem?

- Wynieśliśmy go z domu, kiedy wy siedzieliście w jadalni. Sądziłem, że będzie korzystniej, jeżeli zniknie bez śladu.

- Więc to tak... - Niemiec zamyślił się. - Przejdźmy kilka kroków - powiedział. - Jest zimno.

Idąc zauważył:

- Mimo woli dopomogliśmy waszym planom. Zgłosiliśmy w gestapo, że Malwitz według wszelkiego prawdopodobieństwa zginął podczas nalotu.

Zamyśleni zrobili kilka kroków.

- Więc nasze spotkanie przed dwoma dniami nie było przypadkowe - mruknął Niemiec. - Skąd wiedziałeś, że moja wizyta we Wrocławiu ma... ukryte powody?

- Domyślałem się. Aby nabrać pewności, musiałem dowiedzieć się szczegółów. Poprosiłem o kilkudniowe zwolnienie. Przed naszym spotkaniem przygotowałem starannie teren. W swym mieszkaniu na wszelki wypadek zmieniłem kilka drobnostek, jak książki i zdjęcie... Lecz daruj, jeżeli nie wtajemniczę cię w dalsze szczegóły! - dodał z sarkazmem.

- Zosia nie jest twoją narzeczoną?

- Pracujemy razem.

- O la la! - zawołał Niemiec zaskoczony. - Coraz lepiej! No i potem zaaranżowałeś spotkanie ze mną... Muszę przyznać, że wyglądało zupełnie naturalnie. Sposób, w jaki w tym barze zwróciłeś na siebie moją uwagę, był genialny. Poleciałem na przynętę jak mucha. Ha, dopiero niedawno powiedziałem Elżbiecie, że mucha siada na lepie tylko na chwilę, a lepi już ją ma! Popelniałem jedno głupstwo za drugim...

Gniewnym ruchem potrząsnął głową.

- Co się stało z Albertem? Niewątpliwie przyczyniłeś się do jego ucieczki?

- Jest w bezpiecznym miejscu.

- Nie wątpię. Powiedz mi tylko jeszcze jedno: dlaczego dzisiejszej nocy zgodziłeś się na udział w akcji?

- Willi! Czy nie pora, abyś ty przestał zadawać pytania?

- Ba, panie... Właściwie, jak ty się nazywasz?

- Stefan Lipiński.

- Ach so! Beruf: Geheimpolizist?

- Takiej instytucji u nas nie ma. Jestem kapitanem sekcji śledczej Milicji Obywatelskiej.

- Ho, ho! - drwiąco zawołał Meyer. Po chwili powiedział: - A cóż będzie dalej, panie kapitanie?

Lipiński zmierzył go z boku.

- Wyrecytowanie sakramentalnej formułki, że cię aresztuję, byłoby trochę naiwne, jednak musisz się udać ze mną na komendę.

Willi Meyer powiódł wzrokiem po wyludnionej i mrocznej ulicy.

- Mam broń przy sobie... umiem z niej korzystać - powiedział półzartem, lecz nie bez ukrytego celu.

Lipiński jakby czekał na te słowa. Sięgnął do kieszeni płaszcza i w następnym momencie trzymał w ręku szaro połyskujący pistolet. Od razu włożył go z powrotem do kieszeni, lecz ręki już z niej nie wyjmował.

- Oddaj swoją broń! - rozkazał. I

Meyer coś tam mruknął pod nosem, wzruszył ramionami i bez sprzeciwu wręczył pistolet.

„Dobrze, że wyjąłem dwa ze skrytki” - pomyślał.

- Pozwól, że raz jeszcze zapytam, dlaczego pojechałeś ze mną do Oporowa - rzekł. - Zresztą... nie odpowiadaj na to. Zdaje się, że przejrzałem twoje plany.

- Tak?

- Skoro stawiałeś tak wiele na jedną kartę, to stawka musiała być tego warta.

- Cel uświęca środki. Meyer nagle spoważniał

- Właśnie o ten „cel” idzie. Słuchaj Mai... - skrzywił się. - Słuchaj, jeżeli ci tak bardzo na nim zależy, dam ci go, w zamian za moją wolność - zaproponował.

- O kim mówisz, Willi?

- Wiesz doskonale, o kim mówię. O łączniku, z którym Tkaczyk i Herman mieli się kontaktować po moim wyjeździe.

- Znasz jego adres? - wyrwało się Lipińskiemu.

- Naturalnie! - Meyer uśmiechnął się nieznacznie. - Przecież odebrałem broń od niego przed jazdą do Oporowa.

- Nie przeczę, że mi na nim zależy, ale w obecnej sytuacji nie mogę się o jego skórę targować. Jednak radziłbym powiedzieć wszystko, co o nim wiesz, zanim coś zwęszy i przepadnie. Jeżeli nam ujdzie, zapiszemy to na twoje konto. Tak więc współpraca z nami na pewno ci nie zaszkodzi. Meyer krótko się zastanowił.

- Sądzę, że masz rację - powiedział pokornie. - Zdaję sobie sprawę, że przegrałem. - Zwiesił głowę i posępnie dodał: - Jestem tylko człowiekiem... Nie chciałbym spędzić reszty życia za kratkami. - Zamilkł na moment, potem szybko dodał: - No, to chodźmy do niego!

Lipiński niczym nie zdradzał swych skrytych myśli. Było oczywiste, że Meyer nie jest szczery. Mimo swoich wad i ułomności był zbyt zagorzałym Niemcem, aby niemal bez wahania zdradzić towarzysza. Zresztą zdawał sobie sprawę, że niewiele mu to pomoże. Idąc przy boku Meyera postanowił jak najszybciej odprowadzić go na komendę.

Dochodzili do szpitala Rydygiera.

- Gdzie mieszka?

- Blisko.

Daleko za nimi, z placu Staszica w ulicę Pomorską, skręcało „zero”. Nie zwalniając kroku, Niemiec zerknął przez ramię. Z przeciwnej strony nadjeżdżała ciężarówka. Wyprostował się nieznacznie. Jego zmrużone oczy były spokojne i uważne.

„Chce uciec”? - pomyślał Lipiński i odbezpieczył trzymany w kieszeni pistolet.

- Daj mi papierosa.

Lipiński wyjął paczkę lewą ręką.

- Zapal sam.

Przeczuwając, że zbliża się krytyczny moment, rozejrzał się. W pobliżu nie było nikogo. W dali, na przystanku, czekały dwie osoby. Silnik zbliżającej się ciężarówki huczał coraz głośniej.

Meyer zatrzymał się i bez pośpiechu wziął papierosa. Postawił walizkę obok siebie, potem odwracając się plecami do wiatru zapalił zapalniczkę.

Ciężarówka była tuż. Z przeciwnej strony hałaśliwie sunął tramwaj.

Nagle Niemiec zrobił błyskawiczny obrót, chwycił Lipińskiego w pól i z całej siły pchnął go z chodnika na jezdnię pod koła nadjeżdżającego wozu.

Tracąc równowagę Lipiński kurczowo wpił palce w rękaw palta przeciwnika. Meyer bez wahania uderzył go pięścią w twarz. Przeraził go zgrzytnięty zablokowane hamulcami opony. Lipiński odurzony ciosem upadł na kolana, lecz w oka mgnieniu odepchnął się rękami od szorstkiej nawierzchni. Przednia opona otarła się o jego but i odtrąciła nogę na bok.

Niemiec na nic nie zważając pobiegł długimi susami przed siebie. Ciężarówka zatrzymała się z zamierającym kwileniem hamulców. Kierowca wyskoczył na jezdnię.

- Co do cholery!

Lipiński, mobilizując wszystkie siły, podniósł się i nieco utykając ruszył w pościg za uciekającym.

- Hej, ty pijany bydlaku! - wrzeszczał kierowca. - Stój, niech ci mordę spiorę!

Lipiński wściekły pomknął za Meyerem, który wyprzedzał go o trzydzieści metrów.

- Willi!

Meyer głuchy na wołania pędził jak na skrzydłach. Dobył pistolet z kieszeni. Zerknął przez ramię.

„Za daleko! - pomyślał. - Nie trafię”.

Naraz, poznając bramę, w której tego wieczoru rozmawiał z „Różyckim”, skręcił w prawo i znikł w ciemnym korytarzu.

Kapitan Lipiński zauważył pistolet w ręku Meyera. „Mogłem się tego domyślić z obojętności, z jaką przedtem oddał broń! - zarzucał sobie. - Jeżeli się w sieni zaczął, na pewno zrobi z niego użytek...”

Wśliznął się do wnęki bramy i cichaczem zaczął skradać się pod murem. W głębi korytarza usłyszał jakieś szmery.

- Willi! - zawołał w czern. - Bądź rozsądny! Nie uciekniesz!

Zaskrzypiały otwierane drzwi. Zatupotały kroki.

Lipiński wpadł do sieni. Meyer już znajdował się na podwórzu. Przesadził małą przestrzeń dwoma lub trzema susami zamierzając czmychnąć do bramy przeciwległego domu i stamtąd - wykorzystując znane mu przejście - wymknąć się na ulicę Rydygiera, gdy znieacka potknął się o kamień lub cegłę i jak długi runął na ziemię.

Na podwórku, zewsząd otoczonym murami, było ciemno, choć oko wykol. Czerniały jakieś wnęki, węgły, zakamarki, szarzały wysokie ściany domów. Słyszając spieszne kroki Lipińskiego Meyer potoczył się na bok i przywarł do zimnych kamieni. Zerknął za siebie. W tym mroku nie potrafił dostrzec, która z ciemnych plam była bramą, toteż przed ryzykowaniem dalszej ucieczki musiał upewnić się, że dobiegnie do niej w prostej linii, a nie runie na oślep w którąś z wnęk. Domyślał się, że jego przeciwnik jest blisko. „Dobrze, iż nie chcąc się narażać, Lipiński nie może zaświecić latarki!”

Nie poruszając głową ani ramionami, Niemiec wolno podniósł pistolet. Zimna stal dawała mu pewność i spokój. Bezgłośnie łapiąc otwartymi ustami powietrze, nasłuchiwał i czekał...

*

Potem wszystko przebiegło jak w przyśpieszonym filmie. Jaskrawe błyski strzałów rozerwały mrok, hałas zaalarmował całą okolicę. Paniczna ucieczka. Ciemne sklepienie długiego korytarza. Mroczna ulica. Wąski ganek prowadzący na ulicę Pomorską. W nim dosięgła go celna kula...

Zgubiwszy pistolet Meyer, mimo wyczerpania i żrącego bólu w lewym ramieniu, zdobył się na desperacki wysiłek i przebiegł przez mały park. Chwilę potem leżał dysząc za niskim murkiem ogrodzenia, a gdy milicja rozpoczęła obławę, zakradł się na ciche podwórko, stamtąd wśliznął się do opuszczonego mieszkania i półprzytomny legł na łóżku.

11

Meyer nie zdawał sobie sprawy, jak długo leżał w ciemnym pokoju, do którego schronił się po ucieczce przed kapitanem Lipińskim. Pograżony w drętwą niemoc, błędził po

mglistej krainie wspomnień. Friedenthal... Festung Breslau... Malwitz... Tkaczyk... Herman... Oporów... Lipiński. Korowód nazw, osób, wydarzeń.

Zaalarmował go stukot podkutych butów. Podniósł się na łokciach i z bijącym sercem słuchał zbliżających się kroków. Ktoś wszedł na schody. Każde stąpienie dudniło w pustej sieni. Potem trzasnęły drzwi, znów było cicho.

Meyer uspokoił się. Odurzenie mijało, wracała przytomność. Lecz razem ze zdolnością rozsądnego myślenia wróciło uczucie lęku, potęgowane świadomością, że jest sam w obcym, wrogim mieście, w którym milicja uparcie go tropi.

Poruszył lewym ramieniem. Rana jeszcze doskwierała, lecz ból był jednostajny i tępy. Zastanowił się, co robić dalej. Zdawał sobie sprawę, że cała okolica jest otoczona. Poszukujący go mężczyźni na pewno wciąż przetrząsali pobliskie domy, ogrody i podwórka. Meyer wiedział, że w tym pokoju nie może zostać. Gdy wróci właściciel, niechybnie podniesie alarm. Starając się zapanować nad swą bezsilną przewrócił się na bok i zsunął stopy na ziemię.

Czuł się słaby i nędzny. Wyczerpany wpływem krwi i oszołomiony zmęczeniem stanął na drżących nogach i zataczając się zrobił kilka kroków. Przyzwyczajony do ciemności wzrok rozpoznawał kontury mebli. Dostrzegł drzwi. Trzymając się framugi nacisnął klamkę. W mroku bielił się gazowy piec, był tam także kredens, zlew, stół i jakieś półki. Odkręcił kran i nabierając wody w dłonie, obficie zwilżył twarz. Chłodna wilgoć dobrze mu zrobiła.

Zakręcił wodę i czubkami palców powiódł po przestrzelonym ramieniu. Zakrzepła krew przylepiła koszulę do rany.

- Verdamter Dreck! - mruknął w ciemność i od razu poczuł się lepiej.

Po omacku otworzył ścienną szafkę. Stały tam puszki, butelki i słoiki, lecz było zbyt ciemno, by rozpoznać ich zawartość. Zdawało mu się, że z lewej strony dostrzega butelkę o charakterystycznym kształcie. Ostrożnie ją wyjął. Wyciągnął luźno włożony korek i powąchał zawartość.

Wódka!

Podnosząc butelkę do ust wypił dwa głębokie łyki. Trunek rozgrzał go, pokrzepił. Postawił butelkę na stole. Pomyślał, że już jest dość silny, by opuścić to mieszkanie i podjąć próbę przedarcia się przez kordon milicji. Jedynym miejscem, do którego mógł się schronić, było mieszkanie dziewczyny Hermana, Hanki, z którą nieszczęsny Heinrich zapoznał go po południu.

Meyer wyprostował się i dwukrotnie obszedł stół dokoła. Szybko wracało mu zaufanie w swe siły. Zastanowił się, jakim sposobem przedostać się na ulicę Kłęczkowską, gdzie

mieszkała przyjaciółka Heinricha. Wyjął z kieszeni zmiętą paczkę i zasłaniając płomiem dłonią zapalił papierosa. Po starannym rozważeniu możliwości doszedł do wniosku, że tylko zuchwały i brawurowy krok może uratować go z tej matni.

Sięgając po butelkę, jeszcze raz napił się wódki, następnie wrócił do pokoju i próbował otworzyć drzwi na korytarz. Były zamknięte na klucz. Podeszedł do okna. Na podwórku nie było żywej duszy. Zdjął swój zabrudzony płaszcz i rzucił go na łóżko. Jak mógł, tak oczyścił zachlapanie błotem spodnie, przyczesał włosy. Potem zrobił kilka głębokich oddechów i czując, że dostatecznie panuje nad osłabieniem, uchylił okno. Owiąło go zimne powietrze. Raz jeszcze nabrał tchu i wysliznął się na zewnątrz.

Deszcz wciąż siąpił, Meyer wzdrygnął się, żałował, że nie zabrał wódki ze sobą... Czając się za węglem natężył wzrok i słuch. Zdawało mu się, że w pobliżu domu ktoś rozmawia. Cichaczem wszedł do sieni i ostrożnie zbliżył się do wyjścia na ulicę.

- Wiesiek mówił, że to niemiecki szpieg - usłyszał męski głos.

- Musi być ważny, boby nie urządzali takiej obławy - odparł drugi mężczyzna. -

Ciekawym, czy go złapiemy?

- Prędzej czy później ktoś go złapie, bo gdzie drań się schowa? Zresztą Wiesiek mówił, że jest postrzelony w rękę.

Meyer z zapartym tchem wyjrzał na dwór. Po prawej stronie bramy stało dwóch milicjantów. Jeden z nich miał zawieszony na piersi pistolet maszynowy, broń drugiego tkwiła w kaburze u pasa, w ręku trzymał dużą latarkę.

Zwalczając wracające niezdecydowanie, Niemiec zebrał odwagę, cofnął się kilka kroków w mroczną sień, potem, stąpając jak najgłośniej, wrócił do bramy i wysunął głowę przez szparę w drzwiach.

- Psst!

- Kto jest? - milicjanci odwrócili się. Stawiając wszystko na jedną kartę Meyer szepnął:

- Hej, panowie! Słyszałem szmer na sąsiednim podwórku, tak jakby ktoś wdrapywał się na mur.

Nieufni podeszli bliżej. Ten z lewej podniósł latarkę.

- Nie, nie! - zaprotestował Niemiec. - Nie róbcie światła ani hałasu, bo zwieje! Radziłbym, aby jeden z panów obszedł dom od tyłu, a drugi może wejść na nasze podwórze przez sień. W ten sposób złapiecie go z dwóch stron. Tylko, na Boga, spokojnie!

- Może zawołać Wieśka? - niezdecydowanie powiedział ten z pistoletem maszynowym.

- E, nie ma czasu - szepnął Meyer śmiejąc, widząc, że jego szalony plan ma szansę powodzenia. - Śpieszcie się! Który z was pójdzie ze mną?

Milicjant z latarką postąpił krok do przodu.

- No to zobaczymy, co tam jest. Idź od tyłu, Franek, jak coś zobaczysz, to zawołaj.

Wszedł do sieni i odpiął kaburę.

- Niech pan stąpa na palcach! - ostrzegł Meyer. - Ten sukinsyn może być blisko! „Nawet nie wiesz, jak blisko!” - dodał w myśli.

- Dobrze, dobrze - mruknął milicjant i cichaczem zaczął się skradać do wyjścia na podwórze.

Niemiec szedł za nim jak cień. W połowie korytarza zarzucił mu zdrowe ramię na szyję i przegubem ścisnął krtań. Latarka z brzękiem potoczyła się po kamieniach posadzki.

Szamotanina trwała zaledwie kilka sekund. Milicjant, mocny, barczysty mężczyzna, wił się jak piskorz. Udało mu się szarpnąć okaleczone ramię przeciwnika. Niemiec syknął z bólu, ale wyteżając wszystkie siły jeszcze zacieśnił chwyt. Milicjant nie potrafił uwolnić się z dławiącego uścisku i po coraz słabszych próbach przewrócenia przeciwnika nieprzytomny osunął się na ziemię.

Meyer dysząc nachylił się nad nim, odpiął mu pas i ściągnął z niego płaszcz. Uważając na obolałą rękę, wdział płaszcz milicjanta, przypiął pas z pistoletem, następnie podniósł czapkę i włożył ją na głowę. Potem szybko wyszedł na dwór.

Wiedział, że ma najwyżej parę minut, aby dostatecznie oddalić się od domu. Rozglądając się dostrzegł kilka zaparkowanych samochodów, a w nich ciemne sylwetki mężczyzn. Od ulicy Dubois wolnym krokiem zbliżało się dwóch milicjantów. Zerkając na nich społem Meyer ruszył na ukos przez park.

Chłodne powietrze orzeźwiło go, wódka lekko odurzyła i przyprawiła o raczej przyjemne zawroty głowy; krótka walka przyspieszyła bicie serca i ożywiła bieg krwi. Ból w ramieniu, choć wzmógł się, już nie był nieznośny. Nasłuchując Niemiec rażnym krokiem szedł przed siebie.

Z ulicy Pomorskiej dobiegło go szczekanie psa. Meyerowi przemknęło przez myśl, że opuścił kryjówkę w samą porę. Kierując się w lewo jeszcze przyspieszył kroku.

Wokół roztaczał się gęsty mrok, noc była ciemna i niespokojna. Wyczulonym słuchem Niemiec łowił mruczenie motorów, cichy gwar rozmów, strzępy nawoływań i tupot licznych nóg. Świadomość, że to wszystko dotyczy tylko i wyłącznie jednej osoby, jego - Willi Meyera, dodała mu osobliwej podniety.

Dochodząc do bocznej ulicy musiał przejść tuż obok milicyjnego samochodu. Na szczęście w wozie znajdował się tylko kierowca, który właśnie prowadził rozmowę telefoniczną. Zerknął na Meyera, lecz widząc milicyjny płaszcz i czapkę nie zwrócił na idącego większej uwagi.

„Oto prawdziwa próba odwagi! - myślał Niemiec dumny z siebie. - Tylko w obliczu niebezpieczeństwa mężczyzna może wypróbować reakcję zmysłów i udowodnić swą rzeczywistą inteligencję...- Z uczuciem nienawiści pomyślał o Lipińskim. - Przebiegły lis! Sprytnie wkradł się w jego zaufanie i chytrze zwodził do ostatniej chwili. Ale sumując wszystko, co się wydarzyło, decydującej rozgrywki właściwie nie wygrał. Łącznik, pan «Różycki», po telefonie na pewno przepadł, schował się, jak pająk przeczuwający niebezpieczeństwo znika w jakiejś niedostępnej szczelinie; Herman nie żyje, Tkaczyk był i jest bez wartości. A on, Meyer?» Uśmiechnął się zjadliwie zerkając na milicjantów właśnie wychodzących z domu po przeciwnej stronie ulicy.

- Szukajcie sobie! - mruknął.

Wtem z dość dużej odległości dobiegł go gwizdek Alarmujący dźwięk wibrował chwilę przejmującym świstem, przycichł, potem raz jeszcze przeciął ciszę i zamilkł. Znow zatupotały kroki. Milicjanci, stojący po przeciwnej stronie, wymienili kilka zdań i pobiegli w kierunku, z którego usłyszeli gwizd.

„Znaleźli go! - pomyślał Meyer. - Dopiero teraz zacznie się zabawa!”

Nadjeżdżał tramwaj. Niemiec bez wahania przebiegł jezdnię, gdy pierwszy wóz go mijał, złapał uchwyt i zwinnym susem wskoczył na stopień. Znajdujący się na tylnym pomoście młody człowiek zdziwiony spojrzał na zdyszanego milicjanta, ale kiedy Meyer rzucił mu wyzywające spojrzenie, opuścił wzrok.

Wkrótce tramwaj skręcił w prawo i zatrzymał się na przystanku przy placu Staszica. Na pomost natychmiast weszło dwóch funkcjonariuszy milicji. Przyjrzeni się z bliska młodemu mężczyźnie, który zaskoczony patrzył, co się dzieje. Potem jeden z milicjantów odsunął drzwi i wszedł do wnętrza wozu. Drugi, jakby z wahaniem, zerknął na Meyera. Ten nie zastanawiając się zrobił krok do przodu i poufnie szepnął:

- Jeszcze go nie macie? Tamten zaprzeczył głową.

!- Jadę z polecenia kapitana Lipińskiego - mówił Niemiec - pod pewien adres koło Dworca Nadodrze. Nie wolno niczego przeoczyć - dodał bez związku.

Milicjant coś bąknął pod nosem i udał się za swym towarzyszem. Tramwaj wkrótce ruszył. Meyer odsapnął. Ni stąd ni zowąd przypomniał sobie słowa instruktora w szkole wywiadowczej: „Jeżeli znajdziecie się kiedyś w trudnej sytuacji, musicie działać szybko,

odważnie i... bezczelnie!” Instruktor miał słuszość. Milicjanci szukali zakrwawionego i przerażonego uciekiniera ukrywającego się w jakimś zakamarku, a nawet do głowy im nie przyszło, że poszukiwany swobodnie porusza się wśród nich.

Meyer był z siebie coraz bardziej zadowolony. Szanse ucieczki rosły z minuty na minutę. Jak to dobrze, że po południu pomyślał o konieczności znalezienia rezerwowego schronienia i poprosił Hermana, aby przedstawił go swej narzeczonej. Wprawdzie mieszkała razem z rodzicami, ale miała osobny pokój.

- Przepraszam pana! - usłyszał za sobą. Wyrwany z rozmyślań odwrócił się szybko. Młody człowiek uśmiechnął się.

- Przepraszam - powtórzył. - Panowie kogoś szukacie?

- A tak - odparł Meyer nonszalancko. - Niemieckiego szpiega.

- Szpiega?

- No! Już go mieliśmy, ale nam uciekł.

- To jakiś tutejszy? - interesował się młodzian.

- Nie, przyjechał z Niemiec.

- Coś takiego! Ale mu się dostanie...

- Ha, najpierw trzeba go złapać, a to nie będzie łatwe.

- Myślę, że już mu się stąd nie uda zwać.

- Kto wie... Facet jest sprytny! - chwalił się Meyer. Tramwaj zbliżał się do Dworca Nadodrze. Tam panował spokój. Obława koncentrowała się głównie w rejonie ulicy Pomorskiej.

Meyer wysiadł przewidując, że po znalezieniu milicjanta wyślą samochody w pościg, za nim. Na oświetlonym pomoście dostrzegliby go bez trudu. Spiesznie udał się w kierunku tunelu na ulicy Trzebnickiej. Już dochodził do wylotu, gdy usłyszał szum nadjeżdżającego samochodu. Skoczył w lewo i przylgnął do węgla. Szczęściem dla niego ulica była pusta i w pobliżu nie było nikogo, kto by zwrócił uwagę na dziwne zachowanie domniemanego milicjanta.

Samochód, granatowa Warszawa, bijąc w noc światłami reflektorów, oddalił się. Meyer odpiął pas, zdjął płaszcz i czapkę. Następnie wyjął pistolet z kabury, włożył go do kieszeni spodni, a odzież milicjanta rzucił daleko za mur.

- Dumkópfe! - mruknął swój ulubiony epitet i chyłkiem skręcił w lewo.

Wkrótce znalazł się przed domem na ulicy Klęczkowskiej, w którym mieszkała przyjaciółka Hermana. Zerknął na okna pierwszego piętra. Ciemno. Z rynsztoka podniósł

garść kamyków. Starannie mierząc cisnął jeden z nich w ostatnie okno po lewej stronie, gdzie, jak pamiętał, był pokój dziewczyny.

Kamyk stuknął o framugę i spadł na chodnik. Druga próba powiodła się lepiej. Cicho zabręczała szyba. Chwilę później w pokoju zapalono światło. W ramie okna ukazała się głowa dziewczyny. Meyer skinął ręką. Otworzyła okiennicę i wychyliła się.

- To ty, Heniek?

- Nie, to ja, Willi Meyer - odparł Niemiec półgłosem. - Bardzo proszę otworzyć drzwi. Ale niech pani nie budzi rodziców. Koniecznie musimy porozmawiać.

Zaskoczona nocną wizytą, po krótkim wahaniu wyraziła zgodę.

- Dobrze, niech pan wejdzie na górę.

Meyer wśliznął się do korytarza i cicho wbiegł na pierwsze piętro. Drzwi mieszkania otworzyły się przed nim bezgłośnie.

- Nie chcę zapalać światła - powiedziała z progu. - Niech mi pan da rękę.

Po ciemku zaprowadziła go do swego małego pokoju.

Z nocnej lampki światło padało na rozrzuconą pościel, barwną kopię „Słoneczników” Van Gogha i grzbiety książek ustawionych na ściennej półce. Budzik na stoliku przy łóżku wskazywał godzinę 23.50.

Dziewczyna ogarnęła Niemca szybkim spojrzeniem. Zauważyła wilgotne i zabrudzone spodnie, oblepione błotem buty, potem na wierzchu jego ręki dostrzegła ślady zakrzepłej krwi. Zdumione spojrzenie wróciło na twarz późnego gościa.

Meyer, zerkając na nią spode łba, zastanawiał się, od czego zacząć rozmowę.

Podsuwając mu krzesło powiedziała:

- Niechże pan siądzie. Skaleczył się pan?

- Tak, ale to głupstwo. Są ważniejsze sprawy. Usiadł i wyciągnął nogi przed siebie.

Z jego miny i wahaniami odgadła, że chce powiedzieć jej coś nieprzyjemnego.

- Gdzie jest Heniek? - spytała. - Przyjdzie? Zaprzeczył.

- Czy coś się stało?

Udając konsternację rzucił okiem na jej ciemne, krótko ostrzyżone włosy, pełne usta, duże, blisko osadzone oczy, które nadawały jej niebrzydkiej twarzy wyraz sówki, i opuścił głowę. Odpowiednio przygnębionym głosem zaczął mówić:

- Wieczorem wyjechaliśmy w dwójkę na krótką przejażdżkę za miasto. W restauracji zjedliśmy kolację i do niej wypiliśmy po dwa kieliszki wódki.

Zamilkł, jakby mu było trudno powiedzieć resztę.

- No i co? Co się stało?

Wzruszył ramionami. Zniżył głos niemal do szeptu.

- W drodze powrotnej natknęliśmy się na patrol milicji drogowej. Hein... Henryk, obawiając się nieprzyjemności z powodu picia wódki, dodał gazu i zaczął uciekać... - znów przerwał.

- Niechże pan mówi! - nalegała zniecierpliwiona.

- Było ciemno, więc udało mi się uciec, zanim nas milicja dopędziła.

- A Heniek?

- Złapali go...

Wstała. Meyer spojrział jej w oczy.

- Nic mu nie będzie - powiedział. - Udowodni, że pożyczył samochód od znajomego. Najwyżej odbiorą mu prawo jazdy. Posiedzi dzień, dwa...

Dziewczyna zwiesiła głowę. „Nie pierwszy raz ma do czynienia z milicją - pomyślała.

- Kiedyś nawet zeznawała jako świadek. Twierdził, że spędził noc u niej... Poświadczyła to - niezgodnie z prawdą...”

- Ale teraz milicja mnie szuka - powiedział Meyer posępnie. - Nie mogę pozwolić, żeby mnie wsadzili do więzienia. Przecież nic nie zawiniłem!

Po chwili dodał błagalnie:

- Proszę, niech mi pani pomoże!

- W czymże ja mogę panu pomóc? Niby po namyśle Niemiec powiedział:

- Muszę ukryć się gdzieś przez dzień lub dwa. Potem wyjadę. Może pani zna kogoś, kto by wynajął pokój? Zapłacę dobrze, nawet w dolarach.

- Czy Heniek... dużo wypił? - spytała, jakby nie słyszała jego słów.

Opanował irytację.

- Nie, przecież mówiłem, że dwa kieliszki!

- Biedny Heniek! Niepotrzebnie napytał sobie kłopotu. Dopiero po chwili Meyer spytał:

- Czy teraz może mnie pani wysłuchać? Skinęła głową.

- Muszę mieć lokum na dzień lub dwa - powtórzył. - Nie znam tutaj nikogo. Tylko pani może mi pomóc.

- U mnie nie może pan zostać. Gdyby rodzice zauważyli...

- Może u którejś z pani znajomych albo przyjaciółek? Jeżeli ma osobny pokój, gotów jestem zapłacić dziesięć dolarów dziennie za odstąpienie go na parę dni.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Ada ma oddzielny pokój w willi na Karłowicach - powiedziała. - Jest studentką. Mogłaby sprowadzić się do mnie na pewien czas. Porozmawiam z nią. Ale gdzie pan się zatrzyma na tę noc?

Z twarzy dziewczyny oczy Niemca powędrowały na łóżko.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - mówił szeptem - lecz nie widzę innego wyjścia, jak pozostać tutaj. Daję słowo, że nie zawiodę pani zaufania.

Wyjął z kieszeni plik banknotów i odliczył pewną ilość.

- Oto jest sto dolarów - rzekł. - Niech pani je przyjmie jako dowód wdzięczności.

Zdumiona wyprostowała się.

- A rodzice?

- Pani wstaje wcześniej rano, prawda?

- Tak, o szóstej.

- Rodzice wtedy jeszcze śpią?

- Naturalnie. Budzą się około siódmej.

- Więc proponuję następujący plan: pani wstanie o godzinę wcześniej niż zwykle i uda się do swej koleżanki na Karłowicach. Wyjaśni jej pani, że znajomy z zagranicy szuka prywatnego pokoju i gotów jest dobrze zapłacić. Powie pani, że to jest okazja zarobienia pieniędzy, i zaproponuje, by zamieszkała kilka dni tutaj. Zgoda?

Po namyśle powiedziała:

- No, ja się zgadzam. A co będzie dalej?

- Jeżeli koleżanka również się zgodzi, przywiezie ją pani rano, przed siódmą tutaj, a ja wezmę klucze i sam pojedę na Karłowice.

Znów się zastanowiła.

- Właściwie dlaczego pan się nie zgłosi na MO? - spytała. - Przesłuchaliby pana jako świadka... Przecież pan nic złego nie zrobił?

„Głupia gęś, zadaje kłopotliwe pytania!” - pomyślał.

- To nie jest takie proste! - powiedział. - Heniek popełnił duże głupstwo nie zatrzymując się. Ja przyjechałem z Zachodu. Milicja mnie będzie podejrzewać o jakieś niejasne zamiary. Zacznie się śledztwo. Zechcą dowiedzieć się, jaki jest powód mego przyjazdu, dlaczego uciekaliśmy i tak dalej. Mogą mnie trzymać w areszcie przez długie miesiące. Tego oczywiście chciałbym uniknąć.

Chociaż te argumenty nie trafiały jej do przekonania, dłużej ich nie kwestionowała.

- Po kilku dniach, gdy sprawa przycichnie, wsiądę w pociąg i wyjadę do Warszawy. Tam udam się do ambasady. Oni już się mną zaopiekują...

„Muszę zmienić temat” - pomyślał.

- Teraz ja mam do pani pytanie.

- Słucham.

- Czy któryś ze znajomych Henryka zna pani adres?

- Czy ja wiem? Chyba nie.

- To dobrze. Nawet gdyby tutaj dotarli, to musi pani zaprzeczyć, że mnie kiedykolwiek widziała. To samo dotyczy koleżanki. Wszystko, co się działo i co omawialiśmy dzisiejszej nocy, zostanie naszą tajemnicą, prawda?

Skinęła głową i zerknęła na zegarek.

- Już późno. Może pan się zdrzemnie parę godzin?

- A pani?

- Położę się w pokoju rodziców na kanapie.

- Nie zbudzą się?

- O nie, śpią obok, w sypialni, a drzwi są zamknięte.

- Czy pani się zbudzi rano w porę?

- Wątpię, czy mi się w ogóle uda zasnąć...

*

W czasie gdy Meyer wracał do przytomności i zaczął zastanawiać się nad możliwością ucieczki, Malwitz-Lipiński, w samochodzie zaparkowanym na ulicy Pomorskiej, prowadził ożywioną rozmowę ze swym przyjacielem, kapitanem Filipiakiem.

- Natychmiast po aresztowaniu Tyszkę wysłałem dwa wozy na Dąbrowskiego, ale was już tam nie było - mówił Filipiak.

- Co powiedział Tyszkę? - spytał Lipiński.

- Wpierw zaciął się, potem, gdy minął pierwszy szok i gdy zastanowił się nad swym położeniem, doszedł do wniosku, że już nie ma nic do stracenia, i zaczął mówić. W pięćdziesiątym dziewiątym roku był u syna w Augsburgu. Tam Niemcy zwerbowali go do swego wywiadu. Miał być łącznikiem dla grupy, którą niedawno rozbiliśmy, Tyszkę opowie nam wiele ciekawych rzeczy... Niestety, musiałem go zostawić i pędzić tobie na ratunek. Rozpaczliwe wezwanie telefoniczne, które otrzymałem od Zosi, byłoby poruszyło góry. Mam dziwne przeczucie, że pewna osóbką interesuje się tobą więcej, anizeli wynika z obowiązków służbowych.

Lipiński coś mruknął i nieco zażenowany udał, że bacznie obserwuje ulicę.

- Co ty na to? - nalegał Filipiak.

- Dziewczyna jest inteligentna, spisała się dzielnie - powiedział Lipiński starając się nadać słowom obojętne brzmienie. - W niespodziewanych sytuacjach reagowała bystro i rozsądnie. Głównie jej zawdzięczamy aresztowanie Tyszkego...

- Recytujesz, jakbyś dyktował sekretarce opinię z miejsca pracy!

W okolicy kontynuowano obławę na Niemca. Uzbrojeni milicjanci patrolowali ulice, zaglądali w zaułki i podwórka, wchodzili na strychy, przetrząsali piwnice i przyglądali się pasażerom w przejeżdżających tramwajach i taksówkach. Lecz pomimo ich wysiłków poszukiwania do tej pory nie dały rezultatów.

Do samochodu podszedł sierżant milicji. Filipiak otworzył drzwi.

- Co słychać, Gawlas?

- Jeszcze go nie mamy, panie kapitanie. Przeszukaliśmy każdy zaułek. Myślę, że ukrył się w którymś mieszkaniu.

- Możliwe - odparł Filipiak. - Mimo to szukajcie dalej.

- Obawiam się - dorzucił Lipiński - że Meyer jeszcze szykuje nam jakieś niespodzianki. Trudno przewidzieć, co zrobi, ale nie liczcie na to, że skrył się w czyjejs piwnicy i biernie czeka, aż go tam znajdziecie.

- Więc co robić? - spytał sierżant.

- Miejcie oczy i uszy otwarte, baczcie na wszystkie drobnostki, które wydadzą się podejrzane lub niezwykłe, i nie dajcie się niczym zaskoczyć. - Po namyśle dodał: - Prawdopodobnie jest ranny, lecz nie sądzę, by to w zupełności krępowało swobodę jego ruchów.

- Obawiam się, że przed świtem niewiele wskóramy - zauważył Filipiak. - Ciemna noc sprzyja draniowi.

Gdy sierżant się oddalił, Filipiak zwrócił się do swego przyjaciela:

- Ponieważ zanosi się na dłuższe czekanie, może opowiesz mi szczegóły, których jeszcze nie znam?

Lipiński zamyślił się. Teraz, gdy właściwie już było po wszystkim, czuł ogromne znużenie i potrzebę spokoju. Napięcie nerwowe ostatnich dni porządnie dało mu się we znaki.

- Jest ich tak wiele... - powiedział bez zapału. - Od czego zacząć?

- Od początku. Kiedy po raz pierwszy zacząłeś podejrzewać Meyera o związek z niemieckim wywiadem?

- Trudno na to odpowiedzieć. Podejrzewałem go od razu, a później zauważyłem, że w jego pytaniach i sposobie mówienia kryła się osobliwa ciekawość i nieufność. Gdyby przyjechał tylko w celu zwiedzenia starych stron, nie wypytywałby mnie tak dokładnie o

moje prywatne sprawy. Przekonania nabrałem dopiero wtedy, gdy wspomniał o Tkaczyku i Hermanie. Jego plany dotyczące wydobycia ukrytych pieniędzy przez pewien czas zbiły mnie z właściwego tropu. Podczas wojny schował dolary we Wrocławiu, obecnie chciał je wydobyć. To brzmiało całkiem wiarygodnie. Później, gdy dowiedziałem się, że Tkaczyk pracuje w WSK, a Herman w „Rokicie”, zacząłem dopatrywać się rzeczywistej przyczyny przyjazdu Meyera.

Brak 13-tu stron

yerem po południu między godziną piętnastą a osiemnastą?

Herman przygarbił się, opuścił głowę.

- U mojej narzeczonej - powiedział cichym głosem. Lipiński rzucił szybkie spojrzenie na Filipiaka i Zosię, potem spytał:

- Czy udaliście się tam na życzenie Meyera?

- Tak.

- Czym Meyer motywował swoje życzenie?

- Powiedział, że chciałby poznać moją dziewczynę.

- To wszystko?

- Nie... - Herman wciąż patrzył w podłogę i mówił niemal szeptem. - Willi powiedział, że takie miejsce może mu się przydać.

- Jej adres.

Hermanowi jakby zabulgotało w gardle. Ledwo słyszalnie podał adres dziewczyny.

- W depozycie są klucze, które miał w kieszeni - zauważył Filipiak.

- Czy te klucze są od mieszkania narzeczonej? Herman milczkiem przytaknął.

- Odprowadźcie go do samochodu - zwrócił się Lipiński do milicjanta stojącego za krzesłem więźnia. - Jedziemy na Klęczkowską.

Herman ociężale wstał i powłócząc nogami opuścił pokój.

*

Meyera trapiły niespokojne sny. Osaczający go korowód groteskowych postaci o mglistych twarzach krępował swobodę ruchów, a niewidzialne palce boleśnie ścisnęły okaleczoną rękę. Dręczony koszmarami, przewracał się na łóżku i głośno dyszał.

Na przejeździe kolejowym metalicznie zastukotały koła pociągu. Nocną ciszę przecięła gwizd parowozu. Niemiec jęknął i zbudził się. Choć cały był spocony, odczuwał przykre zimno. Lewe ramię nieznośnie doskwierało. Jeszcze odurzony snem podniósł głowę i nasłuchiwał. Było cicho, pokój zalegały ciemności. Gdy przypomniał sobie, gdzie jest, trochę

się uspokoił. Patrząc na ciemnoszary prostokąt okna pomyślał, że wkrótce będzie brzask. Dziewczyna pojedzie do Karłowic po przyjaciółkę...

Raptem usłyszał stłumiony zgrzyt klucza w zamku. Cichy szmer spędził resztę snu z powiek. Meyer w pierwszej chwili drgnął niespokojnie. Chciał zapalić światło, lecz nie mógł znaleźć wyłącznika. Zdawało mu się, że w korytarzu ktoś szeptem.

„Wróciła? Ach, ja! Przecież umówili się, że załatwi wszystko przed siódmą. Widocznie już przyjechała...”

Zsunął nogi na podłogę. Ktoś stał za drzwiami pokoju. Meyer raczej wyczuł to, niż słyszał. Niecierpliwie znowu szukał wyłącznika lampki.

Z zewnątrz poruszono klamką.

„Dlaczego nie puka?” - myślał Niemiec. - Na pewno nie chce budzić rodziców” - wytłumaczył sobie natychmiast.

Myszkuje palce natrafiły na wystający guzik. Światło rozjaśniło mały pokoik. Drzwi uchylały się centymetr po centymetrze. W tym wolnym ruchu było coś groźnego, niesamowitego.

Siedzący na łóżku Meyer wyprostował się. Nagle ogarnął go lęk. Odruchowo wyciągnął rękę ku poduszce, pod którą włożył pistolet.

Wtem osłupiał, ciarki przeszły mu po plecach, przerażenie odebrało siły.

Na progu błąd jak trup stał... Herman.

W ciemnym korytarzu zamajaczyły cienie. Moment później szeroko otwarto drzwi. Wytrzeszczone oczy Meyera utkwili w twarzy kapitana Lipińskiego.